

Ladakh w krainie wysokich przełęczy.

Tegoroczny wyjazd to powrót po 5 latach do Indii, ale w tym roku chcemy skupić się głównie na górskim regionie zwanym Ladakhiem. Nie na darmo nazywany jest ten region krainą wysokich przełęczy. Każdy turysta musi się zmierzyć z wysokimi przejściami międzygóorskimi na wysokościach ponad 5 000 m n.p.m. To kraina gór, śniegu, surowego klimatu i ladakijczyków, którzy mają więcej wspólnego z Tybetem niż Indiami. To tutaj znajdziemy tybetańskie klasztory i pocujemy ducha buddyźmu.

Oprócz magicznego Ladakhu pojedziemy również zobaczyć Amritsar – święte miejsce sikhów, gdzie znajduje się Złota Świątynia. A nieopodal Amritsaru znajduje się Attari, moje kolejne geograficzne marzenie – czyli granica indyjsko – pakistańska, na której codziennie rozgrywany jest spektakl zamykania owej granicy. Naoglądałam się filmów w internecie i po prostu muszę to zobaczyć.

Czeka na nas również Delhi, stolica Indii, czyli indyjski tygiel biedoty i bogactwa. Zobaczmy czy robi na nas takie wrażenie jak Bombaj 5 lat temu. Chociaż teraz jesteśmy już na to przygotowani. Ruszajmy!

16.07.2015 (czwartek)

Dokładnie 30 minut po północy jesteśmy na dworcu autobusowym w Krakowie i czekamy na Lux Busa, który zawiezie nas na lotnisko do Warszawy. Niesamowicie w całym autobusie tylko 6 osób, komu to się opłaca? Kierowca śmieszny człowiek, bo instruuje wszystkich, że można zamówić coś do picia. Raczej w środku nocy z tego nie skorzystamy. Dużo miejsca więc nawet udaje nam się do samego lotniska w Warszawie spać.

Na miejsce dojeżdżamy o 4:30. barbarzyńska godzina. Przenosimy się do hali lotniskowej. Jeszcze za wcześnie aby nadać bagaż, więc znajdujemy sobie miejsca na krzesłach, aby jakoś przekimać do godziny 7 rano. Co ciekawe nawet nam się to udaje, mimo sporego ruchu na lotnisku. Po nadaniu pozbywamy się bagaży nadając je na stanowisku odprawy biletowej Swiss Aira. No to teraz można iść do hali odlotów i poczekać na samolot do Zurychu. Oczywiście nie może się obyć bez poślizgu. Samolot nie wylatuje o 9:35 tylko pół godziny później, a wszystko z powodu lotniczego korka w powietrzu. Jak już w końcu wylatujemy z Warszawy to lecimy około dwóch godzin, ale nad samym Zurychem też sporo krążymy zanim lądujemy. Trochę to stresujące, bo samolot ląduje o 12, a o 12:10 zaczyna się boarding na nasz drugi samolot, a nie wiemy jak daleko mamy z jednego samolotu do drugiego. Jakby jeszcze tego było mało samolot jedzie po płycie lotniska i jedzie... potem jeszcze kolejka do wyjścia z samolotu, przesiadka do autobusu, znowu jazda po płycie lotniska i w końcu docieramy do terminala B, a nasz drugi samolot jest aż terminala E. Nie pozostaje nam nic innego tylko pędzić... Szybko wsiadamy do kolejki lotniskowej i zmieniamy terminale. Do samolotu docieramy o 12:35, dokładnie 10 minut przed odlotem. Uff udało się... ale moment... co z naszymi bagażami??? Z nosem przyklejonym do szyby patrzę co pakują do luków bagażowych. Nagle melex wiezie plecak Pawła. A gdzie mój??? Już prawie zamykają luki bagażowe jak prze płytę lotniska widzę, że jedzie mój niewielki plecak. A jednak zdążył. Pakują go do luków i zamykają. Samolot gotowy do odlotu. Nie ma to jak szwajcarska precyzja. Zdążą z każdą rzeczą. Teraz mogą już zatopić się w siedzeniu lotnicze i spokojnie lecieć do Indii.

W samolocie cała masa Hindusów. Za mną siedzi Sikh z wielkim czerwonym turbanem na głowie. Samolot startuje z półgodzinnym opóźnieniem. W międzyczasie dostajemy obiad. Jak zawsze tradycyjnie lotnicze jedzenie, czyli kurczak z ziemniakami i surówką, a do tego obowiązkowo bułeczka z masłem i ciasteczko. A, że to Szwajcaria, to obowiązkowo mierzwiiony ser. Sikh siedzący za mną usilnie pije alkohol, aż mu szwajcarska stewardessa odmawia nalania

podwójnej ilości wódki i każe przyjść za jakiś czas.

Lot mija spokojnie. Większość pasażerów śpi. O dziwo... Okazuje się, że duża część Hindusów ma inne niż indyjskie obywatelstwo. Śmiesznie to wygląda, jak dzieciak Hinduś nieźle szwargoli po niemiecku. Gdy dostajemy do wypełnienia karty przylotu, to widzę, że Hindusi wyciągają różne paszporty, głównie szwajcarskie, ale i innych krajów europejskich.

Czeka nas w samolocie jeszcze jeden posiłek, na który składa się wrap z kurczakiem i warzywami, ciasteczko, ale całość dopełniają szwajcarskie lody truskawkowo-malinowe. Jeszcze nigdy na pokładzie samolotu nie serwowano nam lodów!!!

Kiedy lądujemy w Delhi, o dziwo nie ma żadnych turbulencji, mimo że to czas monsunów i burz. Lądujemy na lotnisku Indiry Gandhi 5 minut przed północą. Lotnisko jest ogromne, samolotowi trochę czasu zajmuje dotarcie do miejsca postoju. Kiedy docieramy do hali przylotów czas ciągnie się niemiłosiernie w oczekiwaniu na pojawienie się bagaży. Strasznie długo to trwa. Paweł w tym czasie wysłał smsa do naszego hostelu, że wylądowaliśmy i jeszcze trochę czasu nam zajdzie zanim do nich dotrzemy. Kiedy w końcu mamy nasze bagaże, czas na zdobycie planu Delhi, wyciągnięcie z bankomatu trochę indyjskich rupii, bo w kantorach kurs wymiany dość kiepski. Potem szukamy miejsca gdzie można zamówić taksówkę pre-paid. To bezpieczny sposób na uniknięcie zdzierstwa za przejazd. Idzie się do okienka na lotnisku, opłaca przejazd i ze świstkiem udaje się do miejsca postoju taksówek. Ma się dość dużą pewność, że wszystko będzie ok. Kierowca wiezie nas do dzielnicy „plecakowiczów” czyli do Paharganj. Po niespełna pół godzinie jazdy szerokimi i pustymi o tej porze ulicami rządowej dzielnicy docieramy do Paharganj. Oczywiście po drodze mijamy pierwszych bezdomnych. Po pamiętnym pobycie w Bombaju, teraz już jesteśmy na ten widok przygotowani.

W hostelu Zostel jesteśmy około 1:30 w nocy. Taksówka wjeżdża w małą uliczkę w pobliżu głównego dworca kolejowego, na której znajduje się chyba kilkadziesiąt większych i mniejszych hoteli, w zależności od posiadanego budżetu. Czas na zameldowanie się, czyli uzbrojenie się w cierpliwość zanim recepcjonista wypełni wielką księgę meldunkową. Oczywiście danych obojga osób. Niestety trzeba podać szczegółowe informacje osobowe, łącznie z miejscem gdzie jedziemy dalej, a także całą masę innych szczegółów z paszportu i wizej, miejsca zamieszkania w Polsce... Nie znoszę tej indyjskiej biurokracji. Padam na przysłowiowy pysk, a tu trzeba wypełniać sto danych. Nie pozostaje mi nic innego jak rozejrzeć się po hostelowym holu, w którym jest mnóstwo kolorowych napisów i obrazków. W końcu dostajemy pokój... niestety bez okna. Nie lubię pokoi bez okien, bo gdy człowiek rano się budzi jest ciemno niczym w nocy. Poranne wstanie, z racji późnej już pory plus braku okna (aaa no i wcześniejszej nocy w autobusie do Warszawy), będzie nas kosztowało sporo wysiłku. Dobra czas na mycie i spanie... ze zmęczenia zasypiam w trzy sekundy.

17.07.2015 (piątek)

Mimo, że budzik dzwoni o 8:30, to nie jesteśmy w stanie wstać... Postanawiamy przesunąć go na 10:00). Zjadamy szybkie śniadanie i o 11:00 wychodzimy z hotelu. Uff jak gorąco. No to teraz trzeba się przygotować na parną pogodę.

Delhi to miasto i dawna stolica Indii położona w północnych Indiach nad rzeką Jamuną; zamieszkuje ją 11,2 mln mieszkańców, a aglomerację miejską 17,8 mln mieszkańców. Delhi jest stolicą Indii. Można napisać że to miasto miast, na jego obszarze powstało łącznie siedem a niektóre źródła mówią nawet osiem miast, nakładając się jedno na drugie. Pierwsze z nich powstało w 1200 roku p.n.e. - Indraprastha. Było stolicą Pandawów. Następnie powstało Siri. Założycielem jego był sułtan Ala ad-dina Chaldzi. Po trzecim – Tughlakabad pozostały tylko ruiny. W XIV wieku powstało Dżahanpanah. Firuzabad, piąte Delhi, położone było na terenie Firuz Szach Kotla – dzisiejszego New Delhi. Założycielem szóstego na terenie Starego Fortu był afgański władca Szer Szach. Siódme to dzieło mongolskiego cesarza Szacha Dżahana obejmowało tereny dzisiejszego

Old Delhi. I ostatnie już ósme to wpływy brytyjskie. Jego budowa zakończyła się w 1931 roku, a od 1947 roku stało się stolicą Indii.

Stare Miasto, zabytkowa część miasta otoczona jest XVII wiecznym murem Szachdżahanabadu. Warto zwiedzić tutaj Czerwony Fort i Wielki Meczet. Poza tym znajduje się tu wiele świątyń, meczetów i bazarów. Nowa część Delhi – New Delhi łączy w sobie bogactwo i biedę. Znajdują się tu dzielnica rządowa, bogate ekskluzywne budynki i wille. Pięknie zaprojektowane ulice i parki. Connaught Place to bogata dzielnica handlowa i mieszkalna z położoną tuż obok dzielnicą rządową i Rashtrapati Bhawan (pałacem prezydenckim). Wszystko to jednak przemieszane jest z biednymi slumsami wokół miasta i na jego wolnych terenach wewnątrz.

Delhi ma ono podobno ponad 5 tysięcy lat i wspólnie z Damaszkiem uznawane jest za najstarsze istniejące miasto na świecie. Mówi się, że w tym czasie zostało zniszczone i odbudowane 11 razy. Dziś Delhi jest wielką, wiecznie zakorkowaną, przeludnioną, zanieczyszczoną aglomeracją. Z turystycznego punktu widzenia, Delhi nie jest żadnym hitem, chociaż trudno je ominąć z uwagi na różne sprawy natury transportowo - organizacyjnej. Tutejsze lotnisko jest najważniejszym portem łączącym Indie ze światem zewnętrznym.

O Delhi mówi się, że jest miejscem, w którym przez tysiąclecia nabudowano na sobie i obok siebie siedem miast Delhi. Niedawne badania archeologiczne potwierdziły, że u źródeł powstania Delhi leży założenie w 1200 p.n.e. pierwszego z tych miast o nazwie *Indraprastha*. Było ono stolicą państwa Pandawów. Fakty te opiewa starożytny indyjski epos *Mahabharata*. W czasach Imperium Maurijów Delhi leżało na szlaku ważnych dróg ze wschodu na zachód. Początki obecnego Delhi wiążą się z założeniem przez klan Radżputów Toamra w 736 roku n.e. miasta *Lal Kot*. Radżpucki klan Čauhan rządzący miastem Adźmer zdobył ówczesne Delhi i zmienił nazwę miasta na *Qila Rai Pithora*.

W 1192 roku ostatni władca indyjski, książę Radżputów Prithwiradź Čauhan (1162-1192) zginął po zajęciu Delhi przez Mohammad Ghoriego. Dla miasta zaczął się czas panowania muzułmanów. Po śmierci Mohammada Ghoriego władzę objął jego generał i niewolnik zapoczątkowując tzw. dynastię niewolniczą. Z tego czasu pochodzi zbudowana w 1199 roku najwyższa na świecie wieża minaretu Kutb Minar. Panowanie muzułmańskie trwało aż do czasu zdominowania Indii przez Brytyjczyków. Powołany w 1206 roku Sułtanat Delhijski przetrwał aż do najazdu Mongołów w 1526 roku. Delhi była wówczas stolicą sułtanatu rządzącego prawie całymi Indiami, największym centrum sufizmu (mistyczna tradycja islamu). W tym czasie nastąpiła budowa fortów, które są częścią siedmiu miast Delhi.

Kwitający okres przypadł na czas panowania Muhammada Tughlaka z dynastii Tughlaków (1320-1355), do momentu, gdy Timur z hordami mongolskimi spustoszył miasto zabijając 100 tysięcy jego mieszkańców i osadzając na tronie muzułmańską dynastię Sajjidów (1414-1451).

Islam królował w Delhi także, gdy w 1556 roku po wygranej bitwie armii Babura miastem, a z czasem i Indiami zaczęli rządzić Wielcy Mogołowie.

Mogołowie lub Wielcy Mogołowie byli władcami Indii w okresie od XVI do XIX w. Ich panowanie obejmowało początkowo północ kraju, potem w XVII w. prawie cały Półwysep Indyjski. Przez pierwsze dwa wieki ich panowania państwo przeżywało swój największy rozkwit. Ich scentralizowane rządy i brak poważniejszych zagrożeń zewnętrznych, sprawiały, że państwo rozwijało się pomyślnie. Zwłaszcza dzięki wydajnemu rolnictwu, największej w świecie produkcji tekstyliów i intensywnemu handlowi, głównie z regionem Bliskiego Wschodu i Europą. Na kulturę państwa Wielkich Mogołów wielki wpływ miała kultura perska. Za ich panowania powstało wiele imponujących budowli, głównie sakralnych, o monumentalnej architekturze, łączącej style i ornamentykę budownictwa hinduskiego i muzułmańskiego. Najślynniejszą z nich jest grobowiec Taj Mahal w Agrze, zbudowany przez Szahdżahana.

Wielcy Mogołowie byli muzułmanami, rządili krajem, gdzie ogromna większość społeczeństwa stanowili wyznawcy hinduizmu posługujący się głównie językiem hindi. Mogołowie

mówili po turecku, a językiem dworu – językiem elit był język perski. Przynieśli oni inną kulturę, inną religię, stanowili mniejszość na tak dużym subkontynencie indyjskim, a mimo to utrzymali władzę przez kilkaset lat.

Państwo Wielkich Mogołów było znacznie większe niż imperium perskie czy tureckie. Miało 3,2 mln km² powierzchni, liczyło 100-150 mln mieszkańców. Z ich potęgą mogli równać się tylko chińscy władcy z dynastii Ming.

Dynastia Wielkich Mogołów

Mogołowie była to dynastia panująca w Indiach w latach 1526-1857. Dynastia została zapoczątkowana przez afgańskiego władcę Babura (potomek Timura Wielkiego – Tamerlana po mieczu, Czyngis Chana po kądzieli). Najbardziej do rozwoju kraju przyczyniło się pierwszych sześciu władców mogolskich, których nazywamy Wielkimi Mogołami. Panowali oni 180 lat, od roku 1526 do 1707 r. Stworzyli własne Indie, zadziwiające rozmachem i różnorodnością. Pierwszy władca Babur – stworzył nowoczesną armię, wyposażył ją w artylerię, zdobył Agrę, był wybitnym wodzem, politykiem, protektorem nauki i sztuki. Humajun syn Babura, jego mauzoleum wzniesione w Delhi przez jego żonę jest pierwszą wielką budowlą mogolską. Akbar – syn i następca Humajuna zasiadł na tronie w Agrze w wieku 13 lat, zreformował administrację kraju, ogłosił się imperatorem zarówno muzułmanów jak i hindusów, usiłował pojednać obydwie religie. Akbar stawiany jest dziś przez historyków w rzędzie największych władców świata, takich jak Aleksander Macedoński, Juliusz Cezar czy Karol Wielki, podobnie jak oni zbudował cesarstwo zupełnie sam. Akbar założył miasto Fatherpur Sikri, do którego przeniósł stolicę swojego państwa. Zbudowane z dużym rozmachem za jego czasów, imponujące miasto Fatherpur Sikri można podziwiać do dziś. Akbar był bezsprzecznie największym cesarzem, podczas długiego panowania bez mała pół wieku, stworzył imperium, które pod względem kultury i gospodarki nie miało sobie równych na świecie w owym czasie. Każdy urzędnik miał pensję wypłacaną w monetach, a chłopci, choć płacili podatki wedle swych plonów, to w odróżnieniu od europejskich wieśniaków mieli pełne prawo własności do uprawianej ziemi. Pod wpływem perskim rozwinęło się wspaniałe malarstwo miniaturowe. Dżahangir wznosił dla swojego ojca wspaniałe mauzoleum w Sikandrze oraz ozdobił Agrę licznymi budowlami. Szahdżahan – rządził państwem Mogołów od 1628 do 1658 r. Był wybitnym mecenasem sztuki, a także wielkim budowniczym. Na cześć swojej żony wybudował mauzoleum Taj Mahal, powiększył i ozdobił fort w Agrze, rozpoczął budowę nowego miasta – Delhi, postawił wspaniałe budowle w Czerwonym Forcie – Perłowy Meczec. W czasie jego panowania imperium znajdowało się u szczytu zarówno potęgi politycznej, jak i rozwoju kulturalnego. Aurangzeb – ostatni z „Wielkich Mogołów”, zniszczył wiele świątyń hinduistycznych, był fanatycznym muzułmaninem. Uwięził swojego ojca Szahdżahana w Agrze, przeniósł stolicę z Agry do Delhi.

Z tego czasu pochodzą takie zabytki Delhi jak Czerwony Fort i największy meczet w Indiach, Dżami Masdżid. Najślawniejsi z Wielkich Mogołów to Akbar (1542-1605), budowniczy nowej stolicy Fatehpur Sikri i Dżahan zwany też Szahdżahanem (1592-1666), który kazał dla swojej żony zbudować grobowiec Taj Mahal. On też jest twórcą "siódmego miasta Delhi" nazwanego na jego cześć Shahdżahanabad. Powszechnie znane jest ono jednak pod nazwą Starego Delhi.

W lutym 1739 roku Delhi zostało splądrowane przez wojska szacha Iranu Nadir Szaha (1688-1747). Najeźdźcy wywieźli ze sobą sławny Pawi Tron Wielkich Mogołów, z którego władcy Persji, a potem Iranu rządzili do końca. Ostatni siedział na nim Mohammad Reza Pahlavi (1919-1980). W połowie XVII wieku w mieście za zgodą Mogołów rozpoczęła działalność handlową Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska. W wojnach Wielkich Mogołów z południem Indii Brytyjczycy stawali po ich stronie. W tym czasie Delhi uniknęło najazdów. Tylko raz w 1752 było splądrowane podczas najazdu afgańskiego króla Ahmeda Szaha Durrani (1724-1773).

30 grudnia 1803 Delhi zostało zdobyte przez wojska brytyjskie. Zarządca brytyjski pozwolił Wielkim Mogołom zachować tytuły i własność prywatną. W 1857 podczas powstania Sipajów powstańcy wraz z armią bengalską zaatakowali Brytyjczyków i dokonali wśród nich rzezi. Cztery

miesiące potem Brytyjczycy odbili miasto, ale zdecydowali się przenieść stolicę do Kalkuty. Delhi stało się wówczas czasowo częścią prowincji Pendżab. Dopiero w 1911 roku król Wielkiej Brytanii Jerzy V ponownie przeniósł stolicę do Delhi, aby powstrzymać zabiegi muzułmanów o autonomię. W tym też roku burząc częściowo Stare Delhi Brytyjczycy rozpoczęli na brzegu Jamuny budować Nowe Delhi. Zaprojektowali je brytyjscy architekci -Edwin Lutyens (1869-1944) i Herbert Baker (1862-1946). W 1931 roku uznano je za stolicę Indii brytyjskich, a w 1947 niepodległych Indii.

Podczas podziału Indii Brytyjskich na Pakistan i Indie w 1947 roku ze strachu przed pogromem ze strony muzułmanów tysiące wyznawców hinduizmu i sikhizmu wywędrowało z Zachodniego Pendżabu i Sindhu do Delhi. Nadal liczba ludzi zjeżdżających z całego kraju do Delhi jest wyższa niż wskaźnik urodzin w mieście. Zamach na premiera Indii Indirę Gandhi okonany przez jej ochroniarzy – sikhów przyczynił się w 1984 roku do rzezi wśród wyznawców tej religii. Zginęło 2700 osób. Współcześnie miasto boryka się z problemami typowymi dla wielkich aglomeracji trzeciego świata, takimi jak przeludnienie, niskie standardy sanitarne i duże kontrasty w poziomie życia mieszkańców.

W 1947 nastąpił podział Indii Brytyjskich na Pakistan i Indie i wtedy, ze strachu przed pogromem ze strony muzułmanów, tysiące wyznawców hinduizmu i sikhizmu wywędrowało z Zachodniego Pendżabu i Sindhu do Delhi. Ta migracja trwa dalej. Ponieważ stolica oferuje większe możliwości niż inne miasta, do Delhi przybywają ludzie z prowincji. Niestety stolica jest też miejscem walki politycznej i religijnej. Tragiczną kartą historii Indii był zamach na premier Indii Indirę Gandhi, którego w 1984 roku dokonali jej ochroniarze sikhijskiego pochodzenia. Jego następstwem była rzeź prawie trzech tysięcy wyznawców tej religii. Problemy Delhi nie kończą się na konfliktach religijnych. Poza bogatymi dzielnicami, jest to typowa aglomeracja kraju trzeciego świata – przeludniona, brudna, niehigieniczna i rażąca kontrastami między bogatymi a żyjącymi w nędzy.

Patrząc na zabytki, na chwilę znika nam z oczu bieda i bolączki współczesnego świata. A jest co oglądać w Delhi. Najwyższa na świecie wieża minaretu Kutb Minar wpisana jest razem ze świątynią na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, podobnie jak Grobowiec Humajuna. W Delhi możemy też podziwiać największy meczet w Indiach - Dżami Masdzid, Czerwony Fort, Bramę Indii, czyli pomnik poświęcony Indusom poległym w I wojnie światowej, Jantar Mantar – obserwatorium astronomiczne, Fortecę Purano Quila, budynek Parlamentu Indii, Rashtrapati Bhavan – rezydencję prezydenta, Raj Ghat – miejsce kremacji Gandhiego, Świątynię Lotosu, Świątynia Laxminarayan – Birla Mandir, Świątynię Akshardham, Rajpath – Aleję Republiki Indii, Vijay Chowk – Plac Zwycięstwa, Hazrat Nizamuddin – starą dzielnicę z grobowcem średniowiecznego świętego muzułmańskiego. Najbarwniejszą częścią Starego Delhi jest bez wątpienia czynny przez całą dobę bazar Chandi Chawk. Interesująco wpisujący się w tło współczesnych wieżowców Nowego Delhi.

Z każdego miejsca jestem bombardowana napisami w języku hindi. Wszystko jestem w stanie przeczytać! A jaką mam radochę, kiedy rozumiem cały napis na wózku, który sprzedaje wodę. Napis w hindi głosi, że jest to maszynka do robienia zimnej wody, 2 rupie za szklankę. Yupii na coś przydało się uczęszczanie na kurs hindi. Nie wiem czy słuchać ludzi, czy czytać napisy. Niesamowite to!

Na początek idziemy do pobliskiego tzw. Old Delhi, które jest plataniną uliczek, gdzie głównie mieszkają muzułmanie. W starej części tzw. Old Delhi stolicy muzułmańskich Indii do XIX wieku znajdują się liczne meczety, forty i zabytki z tamtego okresu. Wszędzie widać ich na ulicach. Na dodatek dzisiaj ostatni dzień ramadanu, więc muzułmanie śpieszą na modlitwę do meczetów.

Idziemy najpierw obok dworca kolejowego. Największy dworzec Indii więc ruch koło niego niesamowity. Śpieszą się ludzie z bagażami, torbami, pudłami, którzy gdzieś jadą. Przemieszcza się cała masa obwoźnych sprzedawców. Wszędzie jadą riksze. Każdy używa klaksonów. Po pięciu minutach zaczyna boleć głowa od tego huk. Na skrzyżowaniu ruch tak chaotyczny, że nie

wiadomo jak iść aby nie zostać przejechanym, albo w najlepszym razie potrąconym. Nawet lokalni biedacy mieszkający pod mostem kolejowym prowadzą małe stoiska ze sprzedażą różnego badziewia z Chin, gazet, lub drobnych posiłków, robionych w tak „higienicznych” warunkach, że gdyby spróbował to jedzenie Europejczyk to by szybko wyłądował w szpitalu.

Włóczymy się uliczkami New Delhi. To istny labirynt małych uliczek, gdzie często mieści się tylko 1 riksza, tak jest wąsko. Wszędzie małe sklepiki, jak zawsze to jakiś drobny interes. A to sklepik z artykułami spożywczymi, a to napoje, warzywa, naprawa butów, sprzedaż butli z gazem. Każdy mały interes, który pozwoli na zarobek, to dobry interes. Z powodu gorąca czas na pierwszy napój mango, czyli tradycyjną maazę.

Trafiamy na czyścicieli kanałów burzowych. Siedzą tam Hindusi, ubrani tylko w gatki i gołymi rękoma wybierają kamienie i szlam do wiadra. Masakra.

Docieramy pod Jama Masjid. Największy tutejszy meczet, ale nie możemy wejść, bo właśnie zaczynają się modły i setki, jak nie tysiące muzułmanów biegnie wręcz do meczetu.

Główny meczet Delhi zbudowany w latach 1654-1658 przez władcę mogolskiego Szahdżahana z dynastii Wielkich Mogołów, budowniczego Taj Mahal. Zbudowany z czerwonego piaskowca znanego z fortu oraz białego marmuru używanego do dekoracji. Meczet ma trzy kopuły i dwa 40-metrowe minarety. Z ich szczytu roztacza się efektowny widok. Brama wschodnia była przeznaczona tylko do użytku cesarza, który miał również swój własny krużganek. Jest to największa muzułmańska budowla sakralna w Indiach. Nazwa budowli nawiązuje do tradycji budowli sakralnych w islamie. W każdej miejscowości gdzie zamieszkiwała społeczność muzułmańska budowano jeden centralny meczet na tyle duży, aby pomieścić w nim całą gminę w czasie obowiązkowych, piątkowych modlitw. Budowla taka zwana była najczęściej džami lub al-masdzid al-dżami. Z myślą o modłach codziennych budowano znacznie mniejsze świątynie. Budowla położona jest na wzgórzu w centrum starego miasta Delhi. Do wnętrza prowadzą 3 bramy. Meczet zbudowany jest z czerwonego piaskowca i białego marmuru. Obszerny dziedziniec meczetu może pomieścić 25 tysięcy osób. Posiada dwa minarety o wysokości 41 metrów. W zbiorach meczetu znajduje się kopia Koranu spisana na jeleniej skórze. W trakcie piątkowych modlitw 14 kwietnia 2006 na terenie meczetu dokonano bombowego zamachu terrorystycznego. Rannych zostało 13 osób, w tym jedna ciężko (w modlitwach brało udział ok. 1000 wiernych). Wybuch nie uszkodził samej budowli.

Dzisiaj ostatni dzień ramadanu. Na ulicy wszędzie zasięki z bramek i stojący policjanci i wojskowi. Takie miejsca nie są do końca bezpieczne, więc rząd specjalnie zwiększa obstawę wojskową. Nawet co niektórych muzułmanów kontrolują. Niestety musimy przyjść później jak meczet będzie dostępny dla turystów. Oooo! Po drodze trafiamy na stoisko sprzedaży soku z trzciny cukrowej. To coś czego nie ma u nas w Polsce. Uwielbiamy ten sok, który wyciskany jest prosto z trzciny cukrowej. Pierwszy sok z trzciny zaliczony.

No to postanawiamy podejść pod Fort – Lal Kila (Czerwony Fort). Trochę bładzimy, bo wszędzie w pobliżu budują metro i wszystkie drogi są pozostawiane płotami. No ale w końcu znajdujemy drogę i jesteśmy na miejscu.

Oczywiście obcokrajowcy płacą za wejście 250 rupii, a Hindusi tylko 10. Niestety w Indiach przebiec ceny biletu dla obcokrajowca takie jest. Kupujemy bilety i wchodzimy do fortu,. Oczywiście najpierw musimy stanąć do dwóch kolejek – męskiej i damskiej, bo trzeba przejść kontrolę. Wszyscy grzecznie stoją w kolejce i czekają na swoją kolej. Sam fort jest niesamowity. Już z zewnątrz robi wrażenie. Nazwa Czerwony Fort nie jest przypadkowa, taki właśnie ma kolor, bo został zbudowany z czerwonego piaskowca.

W 2007 roku kompleks został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Czerwony Fort, czyli Lal Qila, został tak nazwany od czerwonego piaskowca, jakiego użyto do zbudowania jego rozległych murów.

Czerwony Fort był pałacem w nowej stolicy Szacha Dżahana – znajdował się w jednym z siedmiu starożytnych miast Delhi – Shahjahanabadzie. Szach przeniósł stolicę z Agry, aby podnieść

wagę swojej władzy i po to, by mieć okazję wprowadzić w życie swoje pomysły na wielkie budowle. Czerwony Fort znajduje się we wschodniej części Shahjahanabadu. Jego nazwa pochodzi od koloru ścian tej budowli. Mur ma długość 2.5 km, a jego wysokość waha się w granicach 16m przy rzece, do 33m w stronę miasta.

Fort leży wzdłuż rzeki Jamuny, która odgrywała rolę fosi – teraz koryto rzeki znajduje się 1km od fortu. Mur z północno-wschodniej części postawił już w 1546 roku Islam Szah Sur. Budowę fortu rozpoczęto w 1638 roku i skończono w 1648.

11 marca 1783 sikhowie zajęli Czerwony Fort. W XVIII wieku została zniszczona pewna część budynku. Od 1903 roku prowadzi się program ochrony i odbudowy fortu.

Czerwony fort jest jednym z najpopularniejszych obiektów turystycznych w Delhi – przyciąga każdego roku miliony odwiedzających. Jest on również symbolem uzyskania niepodległości w 1947 i tym samym uwolnienia się z rąk Wielkiej Brytanii.

Fort był wykorzystywany przez Brytyjczyków jako kwatera armii. Po roku 1947 stała się kwaterą wojsk indyjskich. Od 2003 Czerwony Fort został oddany do użytku turystycznego.

W 2000 roku fort stał się miejscem ataku terrorystycznego grupy Laszkar-i-Toiba, która zabiła dwóch żołnierzy i jednego cywila. Media opisały to jako zakłócenie chwilowego pokoju w sporze Indii i Pakistanu o Kaszmir.

Różne pałace i komnaty audiencyjne w ich wnętrzu wykonano z cenniejszych materiałów. Fort budowano dla szacha Dżehana z dynastii mogulskiej w latach 1638-1648, a jego bogactwa -marmury, srebro i złoto, hojnie używane klejnoty – były szeroko znane. Wiele tych bogactw, co jest nieuniknione, z biegiem lat zniknęło, a niektóre z pierwotnych budowli zostały zniszczone. To, co przetrwało, jest dla nas ważnym źródłem wiedzy na temat imperium w jego najlepszym okresie. Siedemnastowieczny podróżnik powiedział, że Czerwony Fort „przerasta pałace obiecane w niebie”. Na dziedzińcach pluskały wtedy fontanny, a ogrody były prześlicznie zdobione cyprysami. Szach Dżahan zamierzał po śmierci żony, dla której zbudował mauzoleum Taj Mahal, przenieść stolicę imperium z Agry do Delhi, czy też raczej nowego miasta zwanego Szachdżehanabad. Zbudował tam Czerwony Fort, który sam w sobie stanowił istne miasto królewskie.

Typową częścią każdego dworu były dwie duże komnaty audiencyjne: Dywan-i-am oraz Dywan-i-kas. Pierwsza z nich służyła do publicznych audiencji u władcy, a druga była przeznaczona do audiencji prywatnych. Obydwie przetrwały w Czerwonym Fortie do naszych czasów. Dywan-i-am jest dużą salą wzniesioną na podwyższeniu, otwartą z trzech stron na dziedzińce. Mogło się tutaj zgromadzić wiele osób, a władca mógł publicznie wysłuchiwać ich próśb. Dywan-i-kas był miejscem prywatnych konsultacji władcy z jego urzędnikami lub zagranicznymi ambasadorami. Niegdyś miał on przestronny dziedziniec, marmurową posadzkę i srebrny sufit. Do Dywan-i-kas szach Dżahan kazał wykonać słynny „pawie tron”. Budowano go 7 lat, a była to konstrukcja niezwykle bogata: każdy z 12 filarów zdobiły dwa pawie wysadzone klejnotami. W 1739 roku tron wywieziono do Persji, lecz inskrypcja w Dywan-i-kas zawiera opinię szacha Dżahana o tym miejscu – *„Jeśli na ziemi jest raj, to jest on tutaj, właśnie tutaj”*.

W Czerwonym Fortie było kiedyś 6 pałaców królewskich (mahal). Mamta Mahal to obecnie muzeum. Inny pałac nazywa się Rang Mahal (malowany pałac), lecz malowidła, podobnie jak sufit ze srebra, zniknęły dawno temu. Kas Mahal składa się z trzech prywatnych apartamentów władcy, pokoi do spożywania posiłków, spania i oddawania czci Bogu. Syn i następca szacha Dżehana, Aurangzeb, zbudował w fortie Moti Masdzid, czyli Perłowy Meczet. Meczet i jego dziedziniec są względnie małe, lecz mają w sobie pewną lekkość i przestronność, a inkrustacje z czarnego marmuru w budynku z przeważnie białego marmuru są niezwykle efektowne.

Ze wspaniałej bramy Lahore nadal widać na drodze do fortu sklepy pod arkadami. Doczekały także naszych czasów łaźnie królewskie. Po rewolucji sipajów w 1857 roku sporą część fortu zburzono, aby uzyskać miejsce pod koszary wojskowe. James Fergusson, znany dziewiętnastowieczny autor, opisał tę rozbiórkę jako „rozmyślny akt zbędnego wandalizmu”.

Po powstaniu sipajów w 1857 roku Brytyjczycy usunęli kilka inkrustowanych marmurowych płyt dekoracyjnych z Dywan-i-am i wysiali je do Londynu. Jednym z przedstawionych na nich tematów była historia Orfeusza z mitologii greckiej, co pozwalało przypuszczać, że było to dzieło Europejczyka. Te marmurowe płyty, znieważone użyciem jako blaty stołów, zostały ostatecznie wystawione w londyńskim Muzeum im. Wiktorii i Alberta. Curzonowi udało się je odzyskać i wstawić w pierwotne miejsce. On również zajął się dekoracyjnymi ogrodami Czerwonego Fortu, które były straszliwie zaniedbane.

Na terenie samego fortu, budynki są różnorodne, gdyż budowniczy użyli też innych materiałów. Znajduje tutaj typową indyjską studnię „baoli”. Studnia znajduje się w dole, a do niej prowadzą schody z różnych stron. Podobno najpiękniejsze studnie tego typu znajdują się w Radżasthanie. Niestety w forcie dojście do studni jest zamknięte bramą na trzy spusty, ale udaje mi się wypatrzyć po drugiej stronie dziurę w płocie, więc trzeba z takiej okazji skorzystać. Obchodzimy miejsce dookoła i włączymy na teren studni przez dziurę w płocie.. Warto było, choć studnia wielka nie jest.

Spacerujemy alejkami, gdzie na ławeczkach siedzą sobie hinduskie pary, rodziny z dziećmi. Też każdy z nich zwiedza to miejsce i napawa się ciszą i śpiewem ptaków. Jakoś tutaj zgiełk stolicy nie dociera.

Postanawiamy wrócić pod Wielki Meczet. O dziwo idąc znajdujemy skrót, więc nie musimy gnać dookoła. Szkoda, że nie znaleźliśmy tego przejścia wcześniej, tylko musieliśmy obejść wszystko dookoła. Przejście prowadzi przez wielki bazar pod meczetem. Muzułmanie jak w amoku, no cóż jutro wielkie święto końca ramadanu, ulegają szałowi zakupów. Wszyscy ci, którzy wychodzą po modlitwach z meczetu udają się na ten bazar i kupują konieczne świąteczne ubrania, prezenty, czy też artykuły spożywcze na odświętny posiłek. Święta na całym świecie robią to samo z ludźmi pchając ich w szal zakupów. Nie mam pieniędzy, ale i tak coś kupię. Przechodzimy przez jedną z bram meczetu, a tu na schodach w rzędach cała masa żebraków, wyciągających ręce. Muzułmanie chętnie dają im drobne monety. Jałmużna w islamie, to bardzo ważna rzecz, zwłaszcza w okresie świątecznym.

Przy wejściu do meczetu okazuje się, że wprawdzie nie ma biletów dla turystów, ale musimy wnieść opłatę za aparaty. Nie pomaga tłumaczenie, że zapłacimy za jeden. Gość w bramie jest mało uprzejmy i stwierdza że możemy zostawić aparaty w hotelu i przyjść bez nich. Wkurzeni postanawiamy obejść meczet i wejść drugą bramą. Tu jest lepiej opłacamy jeden aparat i wchodzimy na główny plac meczetu.

Plac jest gigantyczny. Na środku znajduje się sadzawka, w której muzulmanie obmywają ręce, nogi i twarz zanim wejdą do meczetu. Ruch jak w ulu. Oczywiście dzieci mają największą zabawę przy tej sadzawce. Za chwile jednak okazuje się że sadzawka jest zbyt wąska, bo zaliczamy pierwszą popołudniową ulewę. Kiedy stoję na środku placu dostrzegam, krople wody uderzające o bruk po przeciwnej stronie. Ściana deszczu zbliża się do mnie. Pędzę pod zadaszenie, ale deszcz jest szybszy, niestety trochę mnie zmoczył. Pod zadaszeniem w krużgankach siedzi cała masa osób, którzy kontemplują to miejsce, co nie przeszkadza całym rodzinom na spożywanie obiadu, który wyciągają z miliona pudełek. Dzieci latają po całym placu wskakując do kałuż, albo wpadają z impetem w zbiorowiska lokalnych gołębi.

Wychodzimy z meczetu i idziemy szukać metra w pobliżu Ćandi Chowk, gdzie ulice są pełne bazarowych stoisk. Trudno przejść chodnikiem, bo owe stoiska zajmują większość przestrzeni. Na dodatek nad całym chodnikiem są zadaszenia z płacht, aby dobytek nie został zalany deszczem. Znalezienie metra to wyższa szkoła jazdy... wielokrotnie musimy pytać o drogę do metra. Nieźle je schowali. Kupujemy bilet w postaci plastikowego pieniążka za całe 10 rupii (ok 55 groszy) i jedziemy co Connaught Place. Jest to wielkie rondo, dookoła którego koncentrycznie ulokowane są ulice z kwaterami oznaczonymi liczbami, w których mieszczą się sklepy. Ale nie są to takie sklepy jak w Old Delhi, tylko zdecydowanie lepsze, a nawet takie z górnej półki. To tutaj kwitnie nowoczesne życie Hindusów, których portfel zawiera zdecydowanie więcej pieniędzy niż w

Old Delhi. Widać to nawet po ubiorach nowoczesnych młodych Hindusów. Chcemy zobaczyć Jantar Mantar, dawne obserwatorium astronomiczne, ale okazuje się być zamknięte. Trudno zobaczymy je za miesiąc.

Czas coś zjeść, bo nasze żołądki mają już na coś ochotę. Trafiamy do małej restauracyjki. Jak na Indie to strasznie drogo, ale postanawiamy na początek zjeść w czystym miejscu. Dostajemy isticie mikroskopijne ilości dania i powstrzymujemy się aby nie zacząć się śmiać. Za całe 500 rupii dostajemy dwa soki z limonki, 2 chlebki, ziemniaki z przyprawą i paluszki z jakiegoś mięsa. Po zjedzeniu tego nadal jesteśmy głodni.

Idziemy spacerem dookoła owego wielkiego ronda, aby popatrzeć jeszcze na owe lepsze sfery Indii, które tutaj spędzają czas. Chociaż pod markowymi sklepami w kruzgankach porozkładane są stoiska sprzedaży biedaków. Taka koegzystencja, bogactwa i biedy.

Postanawiamy wracać i wstąpić jeszcze na dworzec kolejowy, aby zobaczyć jak wygląda to miejsce i abyśmy jutro nie szukali naszego pociągu do Agry. Jednak tuż przy braniu łapie nas jakiś Hinduś wymachujący legitymacją kolejową i mówi, że nasz pociąg jutro nigdzie nie pojedzie, bo dużo pociągów jest odwołanych z racji powodzi. Każe nam jechać do specjalnego biura, gdzie dowiemy się więcej i będziemy mogli zamienić bilet. Tyle, że my nie możemy nic zamieniać, mamy tylko jeden dzień na to aby pojechać do Agry i stamtąd wrócić do stolicy. Pakuje nas do rikszy i jedziemy 15 minut do owej agencji rządowej. Tam chwilę siedzimy, jakiś gość bierze nasz bilet wydrukowany z internetu, po chwili wraca i mówi, że pociąg nie pojedzie. Mamy pojechać ową rikszą do innego biura gdzie oddamy bilet i kupimy nowy. Coś nam tu zaczyna śmierdzieć. Rikszarz za wszelką cenę chce nas wieźć do drugiej agencji, ale my się upieramy że wracamy pod dworzec. I tu zdziwienie po 3 minutach jesteśmy pod dworcem. Jak to jest, że przedtem wiozł nas 15 minut??? tak nas zakręcił, że pojechaliśmy krętą drogą? Na dworcu postanawiamy inna brama wejść na dworzec i ominąć owych „pracowników kolei”. Ktoś coś tam za nami wrzeszczy, ale twardo idziemy do budynku dworca. Na telebimie z odjazdami faktycznie widać, że sporo pociągów jest odwołana, a podróżni z bagażami koczują na hali. Na piętrze odnajdując biuro informacji kolejowej, gdzie zostajemy rzetelnie poinformowani, że nasz pociąg jutro o 6 rano będzie punktualnie. Pracownik klei sprawdził to w połączeniach na komputerze i wyszło mu że pociąg będzie. Ciekawe o co tu chodzi? Aby naciągnąć głupiego zagranicznego turystę na inny nowy bilet sprzedany z prowizją w agencji???

Po tych ciekawych wydarzeniach postanawiamy coś zjeść. Skoro w czystym miejscu było mało i drogo, to stwierdzamy, że zjemy coś w małej knajpce, których są dziesiątki zaraz przy dworcu kolejowym. Wybieramy taką restauracyjkę, która wygląda najbardziej schludnie. Jest wegetariańska, jak wiele tutejszych restauracji. Nawet obsługa pyta nas czy ma być jedzenie nieostre! Cud!!!! 5 lat temu na południu Indii nawet na nasze prośby aby było nieostre i tak dostawaliśmy super ostre. Zjadamy super tani i super smaczny dal z soczewicy z chlebkami naan i zadowoleniu już po zmroku wracamy do naszego hostelu. Po drodze wszędzie na chodnikach i pod mostem porozkładani na kartonach bezdomni.

Czas spać, bo jutro o 5 rano pobudka. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i uda nam się pojechać i wrócić z Agry. Jestem zmęczona gorącem, przemierzonymi piechotą kilometrami i przeczytaniem całej masy napisów w hindi...

18.07.2015 (sobota)

Pobudka chwilę po godzinie 5 rano i mkniemy na dworzec kolejowy. Miasto o tej porze jeszcze śpi. Tylko pod samym dworcem dość spory zgiełk. Wchodzimy do budynku na hale dworcową i od razu zauważamy nasz pociąg na pierwszym peronie. Stoi to i znaczy, że pojedziemy do Agry. Chcemy wejść na peron specjalnymi bramkami, gdzie również prześwietla się bagaż, ale zostajemy zatrzymani przez pracownika kolei (znowu?), który łapie nasz bilet i twierdzi że musimy

go wymienić. Nie możemy mieć bilet z puli ogólnej tylko z racji tego, że jesteśmy turystami to z puli turystycznej. Nie wiem o co chodzi, ale nie mamy czasu chodzić i sprawdzać co z naszym biletem. Kiedy gość zajmuje się innym podróżnym, my szybko przesuwnijemy się dalej na peron. Na naszym wagonie wisi naklejona lista z nazwiskami pasażerów. Sprawdzamy, czy na niej widzimy. Jesteśmy to znaczy, że nasz bilet musi być właściwy. Wsiadamy i zajmujemy nasze miejsca.

Pociąg, którym jedziemy to super ekspres, który do Agry śmiga tylko w dwie godziny. Wszędzie są tylko miejsca siedzące i na dodatek wszędzie działa miło klimatyzacja. Jakby tego było mało to w pociągu jest serwowane jedzonko. Na początek śniadanie. Obsługa wagonu przynosi termosiki z gorącą wodą i torebkę z herbatą. Można sobie zrobić samemu własną herbatę. Jest też do tego ciasteczko.

Kiedy przychodzi konduktor i sprawdza nasze bilety, ani słowem nie wspomina, że miałyby być z nimi coś nie tak. Jakaś szajka kolejowa działa na tym dworcu, byleby tylko skołować biednego turystę z zagranicy.

Za oknem mijamy całe zgrupowania osiedli składających się z namiotów, gdzie żyje biedota tego kraju. Dookoła całe masy śmieci, które piętrzą się niczym na wysypisku śmieci. Biedni w tych śmieciach cały czas grzebią. Najgorszą rzeczą jest to, że przy torach zrobili sobie toaletę. Jak tak jedziemy o poranku, to widzimy przez okno całą masę osób która „świeci” tyłkami w stronę pociągów. Okropne, w jakich warunkach ludzie tutaj żyją.

Pociąg rzeczywiście jest szybki, w dwie godziny ma do pokonania aż 200 km. Przed pięcioma laty takimi pociągami nie mieliśmy okazji jechać. Nawet w samym pociągu widać, że podróżni są z wyższej półki. Cena biletu na taki pociąg dla nas nie jest duża, ale dla przeciętnego Hindusa to spory wydatek.

Niedługo przed dotarciem do Agry pojawia się jeszcze mały ciepły posiłek. Normalnie niesamowita sprawa. Punktualnie o 8 pociąg pojawia się na dworcu w Agrze.

Agra znajduje się w stanie Uttar Pradesh. Miasto jest położone na południowym brzegu rzeki Jamuny, w miejscu przecięcia się historycznych szlaków handlowych. Nazwa Agra wywodzi się z sanskrytu i znaczy pierwotny. Uważa się, że Agra została założona na miejscu starożytnego hinduskiego królestwa. W 1022 r. została zniszczona przez afgańskiego króla. W 1501 r. Sikandar Lodi ustanowił stolicę swojego państwa nad brzegu rzeki Jamuny. Babur pokonał ostatniego sułtana Lodi w 1526 r. Syn Babura, Akbar, uczynił Agrę stolicą mogolskiego imperium w 1566 r. Okres największej świetności miasta trwał od połowy XVI do połowy XVII w. Na początku XVII w. liczbę mieszkańców Agry szacowano na 750 tysięcy. Agra była w tym czasie jedną z największych i najwspanialszych metropolii ówczesnego świata. W okresie tym panowało tu trzech Wielkich Mogołów Akbar, Dżahangir i Szahdżahan. Każdy następca tronu próbował wystawić budowlę przyćmiewającą wszystkie poprzednie. Dzięki nim wzniesiono tu najwspanialsze zabytki fort, Taj Mahal i grobowce. Agra była ośrodkiem znakomitego rzemiosła, literatury, malarstwa i filozofii. Do Agry ciągnęli europejscy podróżnicy, bowiem tu właśnie można było ujrzeć największe bogactwa, najpiękniejsze kobiety i najpotężniejszych władców. W 1638 r. Szahdżahan rozpoczął budowę nowego miasta – Delhi, do którego 10 lat później jego syn Aurangzeb przeniósł stolicę. Miasto zostało poważnie zniszczone w 1761 r. przez zbuntowanych Dżatów. Zrujnowali oni w Agrze wiele budowli i ograbili Taj Mahal. W 1770 r. miasto zajęli Marathowie, a w 1803 r. władzę przejęli Brytyjczycy.

Obecnie Agra liczy około 1,3 mln mieszkańców. W mieście rozwinięty jest przemysł obuwniczy i włókienniczy oraz rzemiosło. Szeroko są znane wyroby tradycyjnego rzemiosła: biżuteria, brokaty i różne pamiątki. W mieście funkcjonuje uniwersytet założony w 1927 r. A poza tym samo miasto jest duże, średnio przyjemne, brudne, wiecznie spowite smogiem i słynące z niezliczonych sposobów na oszukanie turystów. Często się mówi, że najpiękniejszy zabytek świata jest umiejscowiony w najbrudniejszym mieście Indii.

Na miejscu okazuje się że można wynająć sobie prepaid taxi - znaczy riksę na cały dzień.

Decydujemy się na opcja właśnie całego dnia, aby za każdym razem nie szukać kolejnego środka transportu. Tym bardziej, że zapewne niewiele taniej to wyjdzie. Kierowca rikszy od razu mówi, że należy zacząć od Taj Mahal, z racji tego, że dzisiaj święto końca ramadanu czyli Id-al-Fitr i do godziny 10:00 wejście na teren Taj Mahal jest za darmo. A jednak. Gdzieś trafiliśmy na taką informację, ale później już nie udało nam się znaleźć na to potwierdzenia. Podobno to jedyne 2,5 godziny w ciągu roku, kiedy Taj Mahal jest za darmo. W takim razie jedziemy do Taj Mahal. Kierowca rikszy wiezie nas pod zachodnią bramę.

Przez bramki bezpieczeństwa przechodzą całe tłumy muzułmanów. Ruchem wszędzie kieruje policja, zawsze wyposażona w pałki, które mogłyby pójść w ruch, gdyby tłum nagle przestał słuchać poleceń. Te wielkie tłumy muzułmanów są spowodowane tym, że obok Taj Mahal znajduje się wielki meczet, w którym odbędzie się odświętne spotkanie muzułmanów kończące czas ramadanu.

My też ustawiamy się do kolejki, gdy docieramy do służb bezpieczeństwa, nasze plecaczki zostają dokładnie sprawdzone. Zostaje mi zabrana guma i... gazeta. Podobno takie rzeczy nie są dozwolone na terenie Taj Mahal. Szkoda mi gazety, bo dostałam ją do czytania w pociągu i nawet udało mi się trochę rzeczy w hindi przeczytać.

Idziemy dalej przez trzy bramy prowadzące na teren Taj Mahal wlewa się rzeka odświętnie ubranych muzułmanów. Wszyscy pędzą do meczetu na świąteczną modlitwę. Też przechodzimy przez kolejną bramę, za którą ukazuje się nam znany ze wszystkich książek obraz – białej bryły Taj Mahal. Tutaj znowu dużo policji, która kieruje ruchem. Muzułmanie idę aleją po lewej stronie do meczetu, a zwiedzający prawą aleją prosto do Taj Mahal.

Stojąc w miejscu znanym z robienia zdjęć na tle tej oślepiającej białą budowli, też ulegamy temu trendowi i robimy sobie zdjęcia. Przy okazji sami Hindusi robią sobie z nami zdjęcia. Znowu zostaniemy na milionie zdjęć Hindusów.

Idziemy wzdłuż podłużnej sadzawki w kierunku Taj Mahal robiąc kolejne zdjęcia. Wcześniej dostaliśmy specjalne ochraniacze (niczym w szpitalu) na buty i teraz ich nie musimy zdejmować.

Taj Mahal zwany jest indyjskim, architektonicznym cudem świata. Położony jest nad rzeką Jamuną, półtora kilometra od Czerwonego Fortu w Agrze, na zachodniej części Niziny Gangesu. Jest to najświetniejsza budowla w całych Indiach. Rzeka Jamuna – w hinduizmie uważana jest za jedną ze świętych rzek. Źródła swoje ma w Himalajach, jest głównym dopływem Gangesu. Długość jej 1370 km, przepływa przez Delhi, Agrę i Allahabad.

Mauzoleum Taj Mahal, zbudował Szahdżahan w XVII wieku. Wzniósł ją dla uczczenia pamięci o swej ukochanej żonie, pięknej Mumtaz Maral – w tłumaczeniu: Perła Pałacu.

Jej prawdziwe imię brzmiało Arjumand Banu Begam. Była piękną, inteligentną i dobrze urodzoną wnuczką możnowładcy indyjskiego pochodzenia perskiego Mirzy Ghiasa Bega, teścia i pierwszego ministra cesarza Dżahangira. W dniu 30 kwietnia 1612 r., poślubiła Szahdżahana (znanego w dzieciństwie jako książę Churram). Dzień zaślubin został wybrany przez doświadczonych astrologów. Był to dzień, w którym nie groziło nic złego i miała panować doskonała szczęśliwość.

Kiedy poślubiła księcia miała 19 lat. On był dwudziestoletnim młodzieńcem mającym już dwa małżeństwa za sobą. Muzułmańskie prawo pozwala mężczyźnie na posiadanie czterech żon. Wkrótce po ślubie imię nowej żony zmieniono na Mumtaz Mahal. Przez 19 lat Mumtaz Mahal była żoną cesarza, jego nieodłączną towarzyszką życia i brała razem z nim udział nawet w wyprawach wojennych. Cesarzowa Mumtaz Mahal zmarła przy porodzie czternastego dziecka, 7 czerwca 1631 r., setki kilometrów na południe od stolicy cesarstwa Agry, w mieście Barhanpur w Dekanie. Według kronikarzy królewskich Mumtaz Mahal przeczuwając swoją śmierć, podobno zwróciła się do swego męża Szahdżahana z dwiema prośbami, które cesarz obiecał spełnić. Najpierw błagała go o to, aby nie miał dzieci z inną żoną, w obawie, że między synami z różnych matek dojdzie do walki o tron. Drugim jej życzeniem jakoby była prośba żeby zbudował dla niej mauzoleum, które

swą pięknnością przewyższy wszystkie grobowce świata. Z jej 14 dzieci przeżyło do wieku dorosłego siedmioro, a jednym z nich był następca tronu Aurangzeb.

Kobieta zmarła wkrótce po urodzeniu czternastego dziecka, a Szahdżahan ogłosił dwuletnią żałobę narodową. Zakazał świętowania, słuchania muzyki, używania perfum, a także noszenia biżuterii. Podobno pod wpływem nieszczęścia Szahdżahan zupełnie osiwił w ciągu jednej nocy. Po strasznej tragedii postanowił wybudować mauzoleum. Do pracy sprowadził architektów, rzeźbiarzy z Persji, Turcji i Samarkandy. Z Wenecji natomiast pochodził dekorator wnętrz. Prace nad pałacem zostały ukończone w roku 1648, a budowę otaczających budynków oraz perskiego ogrodu zakończono 5 lat później. Przy pracach brało udział 20 tysięcy robotników. Po ukończeniu budowy obcinano im dłonie lub kciuki, by nie mogli stworzyć dzieła, które dorównałoby mauzoleum.

Świątynia Miłości zbudowana jest z tysięcy ton białego marmuru. Budynek ma cebulasty kształt oraz wieżyczki na skrzydłach. Ściany budowli udekorowano tysiącami szlachetnych kamieni i ozdobiono złotem. Budowa trwała 22 lata. Z Makranu i Raiwalu w Radżastanie, zaprzęgi słoń, wołów i koni zwoziły marmur. Drogie kamienie ozdabiające grobowiec sprowadzano z całego świata. Prace przy budowie Taj Mahal ostatecznie zakończono w 1653 roku.

Taj Mahal zbudowany jest na planie prostokąta o bokach 580 m na 305 m, na południowym brzegu rzeki Jamuny. Idealnie symetryczne jest całe założenie kompleksu budynków i ogrodu. Dłuższy bok przebiega wzdłuż osi północ-południe. Kompleks otoczony jest murem z czerwonego piaskowca, w którego narożnikach wybudowano ośmiokątne wieże. Środkową część placu zajmuje kwadratowy basen, po którego bokach znajdują się dwa pasy przestrzeni. Na pasie północnym mieści się mauzoleum Taj Mahal z centralnie ustawionym cokołem, a na wschodnim jego krańcu znajduje się meczet, który tworzy część muru zewnętrznego, a jego fasada zwrócona jest ku wschodowi. Po zachodniej stronie kompleksu zbudowano lustrzaną kopię meczetu – budynek nazwano jawab (dom gościnny dla pielgrzymów).

Na południowym krańcu znajduje się olbrzymia brama wejściowa prowadząca do całego założenia architektonicznego.

Olbrzymia brama wejściowa do całego kompleksu Taj Mahal symbolizuje wrota do Raju. Potężny portal wykonany jest z czerwonego piaskowca i marmuru, ozdobiony jest eleganckimi arabeskami. Na górze bramy w dwóch rzędach uszeregowane są obok siebie 22 kopuły. Odpowiadają one liczbie lat, które poświęcono na wzniesienie tego mistrzowskiego dzieła sztuki indoislamskiej.

Boski raj na ziemi. Poniżej głównej bramy wejściowej na terenie kompleksu znajduje się kanał, który prowadzi do centralnego portalu mauzoleum. Cały zarys mauzoleum odbija się w lustrze wody.

Ogród z cyprysami i stawami (o powierzchni 18 ha) jest wizją boskiego raj na ziemi. W połowie drogi między główną bramą i mauzoleum krzyżują się ozdobne kanały, dzieląc ogród na cztery części w sposób klasyczny i typowy dla perskiej architektury ogrodowej. Dzięki takim założeniom Taj Mahal nabiera efektownej głębi przestrzennej i w zależności od pory dnia wygląda nieco inaczej. Najkorzystniejsze światło podkreślające proporcje poszczególnych budynków oraz zdobienia na ścianach pada po południu i podczas pełni księżyca.

Podstawowe wymiary Taj Mahal:

- wymiary platformy 104x104 m;
- wysokość platformy 7,5 m;
- wymiary grobowca 62x62 m i 36 m wysokości.

Centralną część mauzoleum tworzą cztery małe kopuły, otaczające wielką środkową kopułę w kształcie cebuli. Zewnętrzna środkowa kopuła w najwyższym punkcie mierzy od podstawy 62 m. Wewnętrzna średnica kopuły wynosi 19 m, wysokość wewnętrznego pomieszczenia – 27 m, a

wysokość minaretów - 52 m.

Groby Mumtaz Mahal i Szahdżahana znajdują się w dolnej krypcie. W górnej krypcie stoją jedynie cenotafy, czyli imitacje grobów. Jest to praktyka przyjęta w tego typu mauzoleach. Światło dzienne wpada tutaj przez kraty subtelnie wykute w marmurze. Pierwotnie oba grobowce rozdzielala złota balustrada, inkrustowana szafirami i diamentami, jednakże syn cesarza Aurangzeb, potrzebując funduszy na walki z rebeliantami w Mongolii przetopił ją i sam zastąpił balustradą bogato rzeźbioną w marmurze. Także wewnątrz krypty było zdobione z przepychem, inkrustowane szmaragdami. Niestety uległo zniszczeniu w czasie kolonizacji angielskiej. Na zdjęciu obok widoczna jest górna część krypty. W jej centralnej części stoi cenotaf Mumtaz Mahal. Cenotaf Szahdżahana (ten większy), został dostawiony później, bardziej z boku. Jest on jedynym niesymetrycznym elementem w całym kompleksie Taj Mahal.

Na wysokiej platformie na rogach wybudowano 4 trzypiętrowe minarety z białego marmuru. Na ich szczycie wznoszą się otwarte pawilony, co całemu obiektowi nadaje niezwyklej lekkości. Minarety są nieco odchylone od pionu w kierunku na zewnątrz, co spełnia dwie funkcje. Stanowi pewne zabezpieczenie budowli na wypadek wstrząsu sejsmicznego (minarety zawaliłyby się na zewnątrz nie niszcząc grobowca) oraz tworzy ciekawe złudzenie perspektywiczne, przez które budowla wydaje się wyższa i bardziej strzelista (linia minaretów rozchodzi się, podczas gdy skrót perspektywiczny pozornie je do siebie zbliża wraz z wysokością).

Taj Mahal na całym świecie uważany jest za najcudowniejsze dzieło architektury indyjskiej, a w samych Indiach, za świętość narodową.

Do wielkiej świątyni prowadzą trzy wejścia - od wschodu, południa i zachodu. Sklepienie wysokiej bramy wejściowej z czerwonego piaskowca, zdobi inskrypcja koraniczna w języku arabskim. Dookoła znajdują się czteroczęściowe trawniki, które przedzielone są strumieniami.

W latach trzydziestych XIX wieku, mający dwieście lat Taj Mahal był zaniedbany i zarośnięty, niemalże popadł w ruinę. Lord William Bentinck, generalny gubernator Bengalu, wysunął propozycję rozebrania tego wyjątkowego monumentu, przesłania marmuru statkiem do Londynu i tam sprzedania go. Zamiar ten nie doszedł do skutku tylko dlatego, że marmur zerwany z Czerwonego Fortu nie znalazł nabywców. W roku 1900 kolejny wicekról Indii, lord George Curzon, nakazał odrestaurować podupadłe mauzoleum.

Według legendy cesarz planował wznieść duplikat po przeciwległej stronie rzeki Jamuny wykonany w całości z czarnego marmuru. Do budowy jednak nie doszło, bowiem syn cesarza Aurangzeb postanowił przyśpieszyć swoje panowanie i nim Szahdżahan zdążył rozpocząć prace budowlane, zamknął ojca w więzieniu, sam obejmując władzę i koronując się na cesarza. Więzieniem Szahdżahana był wspniany pałac wzniesiony przez niego samego na terenie fortu w Agrze. Szahdżahan tylko przez okno mógł podziwiać dzieło swojego życia Taj Mahal. Jak głosi legenda, Szahdżahan patrzył każdego dnia godzinami wzdłuż zakola Jamuny na Taj Mahal i tęsknił do ukochanej żony. Przebywał tam od 1658 r. Zmarł w 1666 r. i został pochowany w Taj Mahal obok żony. Czarny Taj Mahal był jednak tylko wymysłem francuskiego podróżnika Jean-Baptiste Taverniera. Po drugiej stronie widać jednak pewne pozostałości, które można było uznać za fundamenty pod drugi Taj Mahal – są to jednak pozostałości po dalszych ogrodach oryginalnego Taj Mahal, które zostały zrujnowane na skutek powodzi. Inne pogłoski mówią, jakoby Czarny Taj Mahal miał być tak naprawdę tylko odbiciem Taj Mahalu w basenie w przeciwległych ogrodach.

Taj Mahal jest przykładem szczytowych osiągnięć architektonicznych Indii w epoce Wielkich Mogołów. W 2004 roku świętowano 350. rocznicę ukończenia jego budowy, zaś niedługo potem, 7 lipca 2007 obiekt został ogłoszony jednym z siedmiu nowych cudów świata.

Lśniący Taj Mahal, to historia wielkiej miłości cesarza do kobiety, która urodziła jego dzieci. Pałac ukazuje ogrom uczucia, ale także wielki ból po śmierci ukochanej. Zaciekawieni turyści przybywają, by zobaczyć wielką, słynną świątynię miłości w Indiach. W 1983 roku, Taj Mahal został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i pozostaje pod stałą kontrolą konserwatorów zabytków.

Ciekawostki:

- Taj Mahal – obiekt do dziś nie mający sobie równych, nazywany bywa przez niektórych *świątynią miłości*. Ten pałac-grobowiec jest uznawany za najwspanialsze dzieło sztuki stworzone pod wpływem miłości do kobiety. Architekturę obiektu powiązano z mistyką i religią, tworząc odzwierciedlenie boskiego Raju na Ziemi. W Indiach Taj Mahal jest uznane za świętość narodową, narodowe dzieło sztuki.
- Szahdżahan – imię cesarza w języku perskim znaczy „pan świata”.
- Budowa Taj Mahal trwała 22 lata, od 1632 do 1654 r.
- Przy budowie grobowca pracowało ponad 20 tysięcy ludzi z całych Indii, a właściwie z całego świata, w tym Europejczycy: Francuzi, Włosi, Brytyjczycy i Hiszpanie, nazwisko twórcy projektu nie jest znane.
- Wenecjanin Geronimo Veroneo oraz Francuz Austin de Bordeaux byli współautorami srebrnych drzwi wejściowych i złotych płyt na sarkofagach. Ozdoby te zrabowano w XVIII w.
- Do wykonania w Taj Mahal misternej inkrustacji ze szlachetnych kamieni sprowadzono turkusy z Tybetu, lapis-lazuli z Sri Lanki, jaspisy znad Zatoki Kambajskiej, malachity z Rosji, krwawniki z Bagdadu i chryzolity znad Nilu, a oprócz tego agaty, chalcedon, sardoniks i kwarc, ametysty, jadeity i czarny marmur.
- Marmur o niespotykanych odcieniach bieli sprowadzono z odległego o ponad 300 km kamieniołomu w Makaranie znajdującego się w stanie Radżastan. Do transportowania marmuru używano ponad 1000 słoni. Natomiast czerwony piaskowiec pochodził z okolicznych kamieniołomów w Sikri.
- Wszystkie intarsje, na które zużyto ok. 60 rodzajów kamieni półszlachetnych i szlachetnych, położono tak precyzyjnie, że gołym okiem nie widać żadnej szczeliny.
- Oprócz inskrypcji koranicznych, roślinnych reliefów, latorośli i barwnie intarsjowanych szlaków ozdobnych z zawijasami, rzemieślnicy wykonali z diamentów i kamieni szlachetnych najróżniejsze motywy roślinne na murach.
- Marmurowe koronki – cud indyjskiego rzemiosła. Otwory okienne wypełnione są delikatną siatką z białego marmuru wyrzeźbioną z jednej płyty o wymiarach od kilku do kilkunastu metrów a grubości od 5 do 10 centymetrów.
- Do podniesienia ciężkich brył marmuru na wysokość 75 metrów zbudowano rampę o długości 4 km (podobnie jak przy budowie piramid w Egipcie).
- Koszt budowy Taj Mahal oszacowano na sumę równą 466 kg złota.
- W XIX w. brytyjscy urzędnicy mieli w zwyczaju wpadać do mauzoleum na pikniki i ... odłupywać ze ścian drogocenne kamienie.
- W 1900 r. kolejny wicekról Indii, lord George Curzon, nakazał odrestaurować podupadłe mauzoleum wraz z przylegającymi do niego terenami.
- W 1983 r. Taj Mahal został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO.

- Współcześnie biały marmur Taj Mahal zaczyna niebezpiecznie żółknąć pod wpływem zanieczyszczonego powietrza. Naukowcy podobno opracowali specjalny skład glinki, którą mają okładać mury. Ma ona działać jak maseczka na twarz, po jej usunięciu marmur ma odzyskać barwę i blask.

- Agra była kiedyś najbardziej zanieczyszczonym miastem w Indiach. Pod bramę najslynniejszego i najpiękniejszego zabytku – Taj Mahal podjeżdżały autokary turystyczne powodując duże zanieczyszczenie spalinami. Obecnie, kiedy obiekt znalazł się na Liście zabytków UNESCO, w odległości 2 km od niego wybudowano duży parking dla autokarów. Turystów dowozi się z parkingu elektrycznymi busikami lub dorożkami konnymi. Wyznaczono specjalną strefę ochronną wokół Taj Mahal, do której nie można wjeżdżać samochodami. Z miasta usunięto zakłady przemysłowe, które powodowały duże zanieczyszczenie środowiska (głównie zakłady garbarskie).

- Zadziwiająca energia. Mauzoleum Taj Mahal na przedmieściach Agry położone jest w jednym z najsilniejszych miejsc mocy w Indiach. Z przeprowadzonych przez polskiego geomantę Leszka Matełę analiz pól energetycznych wynika, że pierwotnie Taj Mahal został zaprojektowany jako rodzaj wielkiego energetyzatora, którego działanie można by porównać do Wielkiej Piramidy w Gizie. Aby mauzoleum-energetyzator w pełni mogło działać w oparciu o rezonans kształtu, zaplanowano budowę jego symetrycznego odbicia po drugiej stronie rzeki Jamuny. Tam miał powstać zbudowany z czarnego marmuru grobowiec cesarza Szahdżahana.

Wśród tej bieli budowli niesamowicie komponują się kolorowo ubrane w tradycyjne sari Hinduski. Obok w meczecie trwają modlitwy. Tysiące muzułmanów biją pokłony. Widok z góry spod Taj Mahal na położony niżej plac przed meczetem jest niesamowity. Rzędy równo siedzących muzułmanów, w trakcie świątecznej modlitwy. Na dodatek większość ubrana jest w białe szaty. Z góry cały tłum obserwują rozmieszczeni w różnych newralgicznych miejscach policjanci.

Sama modlitwa nie trwa dłużej i tak szybko, jak ludzie pojawili się, tak szybko zaczynają opuszczać to miejsce. Widać teraz ogromną rzekę ludzi idących aleją w kierunku wyjściowych bram.

Jeszcze pół godziny i w obrębie Taj Mahal zostają głównie zwiedzający. Czas wejść do środka i zobaczyć grobowce. Przez to, że Taj jest muzułmańskim mauzoleum, nie ma tu żadnych ozdób, wizerunków tylko biel i ażurowe wykończenia. Nie wolno robić zdjęć, ale jak gość pilnujący obiektu znika, to wszyscy odwiedzający pstrykają kilka fotek.

Z Taj Mahal wychodzimy po dwóch godzinach, przy bramkach wejściowych ludzie z biletami po 750 rupii (około 45zł). Nam się udało spor zaoszczędzić i to czystym przypadkiem. A miejsce naprawdę warte zobaczenia. Nigdy wcześniej nie widziałam tak wielkiej białej budowli, która robi takie wrażenie, mimo swojej surowości.

Naszą riksą jedziemy do Sikandry, położonej kilka kilometrów za Agrą. Na ulicach dość duży ruch, ale riksza i jej kierowca sprytnie omija inne środki transportu i... krowy. Tylko o łokciach trzeba pamiętać, aby nie wystawały, bo można je stracić.

Sikandra jest położona ok. 4 km od Agry. Sikandra to kolejny mistrzowski przykład architektury Mogołów. Akbar zaplanował swoje mauzoleum w miejscu fortu Sikandara Lodiego i rozpoczął budowę ok. 1600r. Po śmierci cesarza w 1605r. jego syn Dżahangir powiększył budowlę, która została ukończona w 1613r. Przy każdym jej rogu wznosi się minaret o trzech kondygnacjach. Do budowy ogromnej bramy wejściowej, powstałej jeszcze za życia Akbara, został użyty głównie czerwony piaskowiec, uzupełniony motywami kwiatowymi i geometrycznymi z białego, żółtego i czarnego marmuru. Można wśród nich znaleźć symbole różnych kultur i religii: hinduistyczną swastykę i kwiat lotosu, muzułmańskie inskrypcje z wersetami z Koranu, chrześcijański krzyż. W 1681 r. grobowiec został złupiony podczas rebelii dżatów – hinduskich powstańców przeciw

władzy Wielkich Mogołów. Szczątki cesarza Akbara zostały wówczas wywleczone z grobowca i zbezczeszczone.

Mauzoleum położone jest pośrodku pięknego ogrodu. Krajobraz jest mocno idylliczny, można zobaczyć m.in. pasące się wśród palm i innych drzew indyjskie gajele.

W Sikandrze jest dużo spokojnie. Budynki zbudowane są z czerwonego piaskowca i cały kompleks bardzo dobrze odrestaurowany i utrzymany. Ludzi tu też niewiele, ale ci co są co chwilę proszą nas o zdjęcie. A jak już zasiadamy na ławeczce, to nasz spokój kończy się totalnie. Dookoła po terenach zielonych biegają antylopy.

Stąd ponownie wracamy do Agry. Rikszarz wiezie nas na lunch – dajemy się zawieźć w jakieś „sponsorowane” miejsce. Kończymy na daalu makhani czyli soczewicy z fasolą z chlebkami oraz napojami, a wszystko za całe 500 rupii. Rozbój w biały dzień. No ale skoro już daliśmy się tu zawieźć to trudno zjemy w tym miejscu.

Potem nasz kierowca zawozi nas do sklepu z biżuterią... niestety to jest bardzo częsty zabieg, wynajmujesz rikszarza, a on cię obwozi po różnych zakładach ręcznej roboty, bo jak coś kupisz to on dostaje za to kasę. Zazwyczaj nie znosimy takich miejsc, bo one są dla zamożnych turystów. My wolimy robić zakupy na lokalnych bazarach. Nie pozostaje nam nic innego jak obejrzeć sklep z biżuterią, poznać kosmiczne ceny. Choć biżuteria faktycznie piękna. Dużo tu sprzedają wyrobów z kamienia, który nazywają gwiazda Indii, bo na kamieniu światło rozchodzi się niczym promienie gwiazdy.

Po sklepie z biżuterią zostajemy zawiezieni do zakładu z rzeczami z marmuru, które są inkrustowane innymi kamieniami. Niezła robota, ale ceny powalające. Oczywiście nic nie kupujemy. Kiedy wsiadamy do riksy gość chce nas jeszcze gdzieś wieźć, ale nie chcemy już więcej żadnych sklepów. Chcemy zobaczyć tutejszy fort.

Rety a dzisiaj jakoś nam wybitnie gorąco. Mam wrażenie, że to co mam na sobie jest całe mokre.

Jadąc do fortu mijamy widok na Taj Mahal, ale z krowami i śmietniskiem. To jest dopiero widok. Zatrzymujemy się na chwilę, ale kierowca riksy nie jest zadowolony, że tam chcemy chodzić. Mówi, że jemu nie wolno się tu zatrzymywać. Nie wiem tylko dlaczego. A zdjęcia i tak mamy.

Docieramy do fortu. Ma wiele budynków, tak jak w Sikandrze również z czerwonego piaskowca, albo tak jak Taj z marmuru. Stąd też roztacza się widok na Taj Mahal.

Ośrodek władzy państwa Wielkich Mogołów od czasów Akbara, wybudowany w północno-wschodniej części Agry. Rozpoczęta w 1565 budowa trwała 8 lat. Masywne, zwieńczone blankami podwójne mury z czerwonego piaskowca wznosiły się na wysokość ponad 20 m i miały obwód około 2,5 km. Całość otoczona była fosą. Droga do Czerwonego Fortu prowadziła przez monumentalną bramę Amar Singh. Służyła też jako miejsce kaźni; za czasów Akbara zrzucano z niej skazanych na śmierć dostojników. Do wewnętrznej części fortu prowadzi kolejna brama, nad którą góruje dwupiętrowa, ośmioboczna Wieża Jaśminowa, kryta złoconą kopułą. W pobliżu wieży mieściły się najważniejsze pawilony cesarskiej rezydencji: Sala Audiencji Publicznych, gdzie cesarz przyjmował sprawozdania urzędników i rozpatrywał sprawy państwowe, oraz Sala Audiencji Prywatnych, gdzie przyjmował dyplomatów i najważniejszych dygnitarzy. Stał tam symbol władzy cesarskiej - Pawi Tron, wywieziony później przez Aurangzeba do Delhi. W 1739 r. w czasie najazdu szacha Nadira, Pawi Tron stał się łupem wojennym Persów. Początkowo Czerwony Fort pełnił funkcje militarne, wkrótce zaczęły przeważać jednak względy rezydencjonalne. Zaczęto budować pałace dla potrzeb rodziny cesarskiej.

Ludzi tu sporo, bo zwiedzają zarówno Hindusi, jak i obcokrajowcy. Znowu zostajemy wciągnięci w robienie zdjęć. Musimy się do tego przyzwyczaić, a to dopiero początek naszego pobytu w Indiach. Tutaj też porządku pilnuje policja ze swoimi słynnymi pałkami.

Kiedy tak sobie siedzimy i robimy zdjęcia, podchodzi do nas dziewczynka tak na oko ze 4 latka i mówi do nas w hindi, że jest z Jammu, czyli z Kaszmiru. I nawet udało mi się to

zrozumieć!!!

W końcu czas wracać na dworzec kolejowy. Docieramy na około godzinę przed odjazdem pociągu. Na telebimie wyświetla się informacja, że nasz pociąg do Delhi będzie na czas. Ale z tego co jest napisane dość sporo pociągów jest odwołana, a ludzie stoją w kolejce do informacji i co chwile słychać odpowiedź: „cancelled” - odwołany. Potem siedzimy sobie na peronie. Ja czytam sobie informację o pociągach, które pojawiają się na wyświetlaczu w hindi. W pewnym momencie okazuje się, że nasz pociąg jest pół godziny opóźniony. Dobrze, że tylko tyle. Ostatecznie spóźnienie wzrasta do 40 minut. Na peronie są żebracy. Żebrzące dzieci mnie zaczepiają, opędzam się od nich w hindi mówiąc aby odeszły. Nawet to skutkuje. Żebracy leżą w różnych miejscach na peronie. Wyglądają żałośnie. Oprócz nich na peronie są bezdomne psy i... małe rebusy. Jeden mały rebus zaczepia usilnie psa, ale jak pies chce się odgryźć, rebus zaraz wskakuje na dużą wysokość i tyle mu pies może zrobić. I tak w kółko znowu zeskakuje znowu łapa paca psa i ucieka.

O 18:30 pociąg wtacza się na peron. To już nie jest expres, tylko normalny pociąg z miejscami do leżenia. Mamy tzw. sleepera, czyli łóżka, ale niestety musimy o nich zapomnieć. Na naszych 2 łóżkach siedzi w sumie 7 osób. I tak trzeba było kogoś wywalić, abyśmy usiedli na teoretycznie swoim miejscu. W całym pociągu tłok niesamowity, dużo nadprogramowych ludzi. Jakoś te 3,5 godziny powrotnej jazdy wloką się niemiłosiernie. Ani się wygodnie, ani się rozprostować, wszędzie mnóstwo ludzi, tobołków. Byleby w końcu dotrzeć do Delhi. O 22:00 docieramy do stolicy, ponownie mijając obozy dla lokalnej biedoty.

Jesteśmy głodni więc zaglądamy do tej samej restauracyjki co wczoraj. Zjadamy mutter palak (czyli groszek ze szpinakiem) i pieczone ziemniaki.

Po powrocie do hostelu zamawiamy taksówkę na lotnisko na 4:30 rano, szybkie przepakowanie u możemy iść spać.

19.07.2015 (niedziela)

Pobudka o 4 rano. Jak ja nie znoszę wstawać w pokoju bez okien.. Zbieramy nasze rzeczy i schodzimy na recepcję. Budzi się recepcjonista, który z kolei budzi gościa śpiącego w holu na sofie. To nasz kierowca. Pakujemy się do samochodu i ruszamy na lotnisko krajowe w Delhi. Na ulicach jeszcze pusto. Aż dziw bierze, że za 2 – 3 godziny będzie tu ruch jak w ulu. Na samym lotnisku rozgardiasz. Jeszcze przed wejściem do budynku lotniska musimy chwilę odstać w kolejce, bo już tutaj sprawdzane są bilety. Tylko na ich podstawie wpuszczają do środka. Czas pozbyć się bagaży, a potem ustawiamy się w kilometrowej kolejce do kontroli bagażu podręcznego. Bagaż podręczny kładziemy na taśmie jadącej do skanera, a sama wchodzę za parawan, gdzie sprawdzane są kobiety. Nawet udaje mi się w hindi ją zagadać. Kontrolerka się śmieje i mówi, że gdybym dłużej mieszkała w Indiach to ona stała by się moją przyjaciółką i na pewno nauczyła tutejszego języka. W tym czasie mój bagaż podręczny z aparatem i kamerą jest pozostawiony na pastwę losu... Uff wychodzę i widzę że nie dostał nóżek. Zbieram wszystkie moje prześwietlone rzeczy. Nie lubię jak takie rzeczy w tym rozgardiaszu znikają mi z oczu, oby następnym razem nie zniknęły na zawsze.

Czekamy na boarding. Zaczyna się chwilę po 6 rano. Samolot do Leh pełny do ostatniego miejsca. Przed nami raptem godzina lotu. Normalnie drogą lądową czas przejazdu z Delhi do Leh to... trzy dni. Autobus wjeżdża wtedy kilka razy na wysokość nawet 5000m n.p.m. Paweł zaczyna się skarżyć ba ból brzucha. Hmmm no tak szybko już by nam coś zaczęło dolegać?

Lecimy, niestety widoki kiepskie, wszystko zasnuwane grubą warstwą chmur. Parę razy coś się te chmury rozganiają i wtedy widać pasma górskie. Pilot informuje nas w pewnym momencie że przelatujemy nad Greater Himalaya Range..... Ale mało co widać z powodu owych chmur.

Himalaje - długi na ponad 2500 km, szeroki do 350 km, system ogromnych równoległych grzbietów ciągnących się pomiędzy Niziną Hindustańską na południu a dolinami górnego Indusu i

Brahmaputry na północy. Doliny te oddzielają Himalaje od pasm Transhimalajów i mniejszych łańcuchów górskich południowego Tybetu. Zachodnią granicą systemu jest Dolina Indusu oddzielająca Himalaje od Karakorum, Kunlun i Hindukuszu, granicą wschodnią - przełomowa dolina Brahmaputry.

Granica wiecznego śniegu przebiega od ok. 4500 m n.p.m. na południowych stokach do 6000 m n.p.m. na stokach północnych. Lodowców, jak na tak wysokie góry, jest stosunkowo niewiele. Jęzory najdłuższych osiągają ok. 30 km.

Najwyższe góry świata należą zarazem do najmłodszych - wypiętrzanie rozpoczęło się około 60 mln lat temu wskutek naporu mas lądu będących dziś Półwyspem Indyjskim na mniej odporne osadowe skały Eurazji.

Ten sam proces odpowiedzialny jest również za pojawienie się innych łańcuchów górskich środkowej Azji: Karakorum, Pamiru, Hindukuszu czy Tien-Szanu.

Płyta Indyjska napiera na Płytę Eurazjatycką powodując wypiętrzanie mas skalnych na ich styku. Szacuje się, że eskalacja tego procesu nastąpiła przed około 20 mln lat. W tym samym czasie, gdy wypiętrzają się masywy Himalajów, część skał wbija się w głąb dokładnie pod nowo powstającym łańcuchem.

Obecnie znajdujemy wiele dowodów na to, że dzisiejsze tereny najwyższych gór świata były niegdyś morzem, dokładniej częścią Oceanu Tetydy. Powszechnie są znaleziska paleontologiczne w skałach osadowych z okresu paleozoicznego i mezozoicznego (350-60 mln lat wstecz). Koryto Kali Gandaki i stoki ponad nim obfitują w skamieniałości amonitów i belemnitów.

Wędrówka płyt kontynentalnych tłumaczy powstawanie wielkich łańcuchów górskich typu Himalajów. Zagadkę stanowi natomiast geneza geomorfologii Tybetu jako gigantycznego płaskowyżu. Pojawiają się koncepcje bądź postulujące większą niż się to powszechnie zakłada plastyczność płyt kontynentalnych bądź też specyficzną budowę geologiczną "spodu" czy też "korzenia" wielkich łańcuchów górskich. Spektakularne masywy i grzbiety widoczne na powierzchni Ziemi są jakby wierzchołkiem gór lodowych zanurzonych w bardziej plastycznym materiale skalnym. Wyniki ostatnich badań geomorfologii Tybetu mogą wskazywać na to, że Tybet po okresie wypiętrzania czeka teraz okres powolnego "opadania".

Himalaje Wysokie, Małe Himalaje i Sziwalik.

Himalaje Wysokie rozciągają się równoleżnikowo od masywu Nanga Parbat na zachodzie po przełom Brahmaputry na wschodzie. Północne stoki są - generalizując - połogie, południowe zaś strome i znacznie trudniej dostępne. Dziesięć szczytów wznosi się ponad 8000 m n.p.m. Są to: Mount Everest (Sagarmatha, Chomolungma) 8848, Kangchenjunga 8585, Lhotse 8501, Makalu 8475, Dhaulagiri 8221, Manaslu 8156, Cho Oyu 8201, Nanga Parbat 8126, Annapurna 8078 oraz Shishapangma (Gosainthang) 8013. Do Himalajów Wysokich zalicza się także pasmo Ladakh. Charakterystyczne dla Himalajów Wysokich są skaliste, ostre wierzchołki, wieczna pokrywa śnieżna, lodowce. Główny budulec stanowią krystaliczne skały prekambryjskie oraz skały magmowe, metamorficzne i osadowe - karbońskie do kredowych.

Małe Himalaje - wspólna nazwa określająca kilka niezależnych pasm górskich położonych na południe od Himalajów Wysokich, a oddzielonych od nich dużymi kotlinami (np. Kotliną Kathmandu). Do Małych Himalajów należą, poczynając od zachodu: Pir Panjal, Dhauladhar, Nag Tibba i nepalski Mahabharat. Najwyższe szczyty przekraczają 5000 m n.p.m. Średnia wysokość to około 3500-4000 m n.p.m. Małe Himalaje prócz skał magmowych i metamorficznych tworzą w dużym stopniu skały osadowe.

Sziwalik - geologicznie odmienne od Himalajów Wysokich i Małych pasmo górskie wznoszące się do wysokości nieco ponad 2000 m n.p.m., średnio - 900-1000 m n.p.m. Praktycznie w całości zbudowane ze skał osadowych, poprzecinane dolinami rzek i, w znacznie większym niż główne pasma himalajskie stopniu, szlakami komunikacyjnymi.

Ladakh to "kraj wysokich przełęczy" zawana Małym Tybetem. Kraina pomiędzy głównym

pasmem Himalajów a górami Karakorum, położona w części górnego biegu rzeki Indus. Geograficznie najbardziej na zachód wysunięty fragment Wyżyny Tybetańskiej; historyczny Tybet Zachodni. Głównym ośrodkiem administracyjnym jest miasto Leh.

Politycznie Ladakh należy do Indii (stan Dżammu i Kaszmir) choć niewielka jego część znajduje się na terenie współczesnych Chin. Niegdyś niezależne królestwo, w XIX wieku zaanektowane przez władcę Kaszmiru. Mieszkańcy Ladakhu są etnicznie spokrewnieni z Tybetańczykami. Niektórzy aktywiści nawołują do utworzenia z Ladakhu terytorium związkowego ze względu na odrębność buddyjskiej kultury regionu od muzułmańskiego Kaszmiru.

Pierwsi współcześni osadnicy docierają do Ladakhu z zachodu (Dardowie - Ariowie pochodzący z rejonów obecnego północnego Pakistanu i Kaszmiru - dzisiaj żyjący głównie w regionie Dha-Hanu) oraz ze wschodu (Tybetańczycy - głównie region Rupshi).

Historię Ladakhu determinowało od wieków jego położenie na szlakach handlowych karawan zmierzających ku Indiom, Tybetowi i Azji Centralnej. Pomiędzy VI a IX w. n.e. Ladakh był celem ekspansji silnych sąsiadów - Kaszmiru, Tybetu i Chin. Ostatecznie region dostał się pod panowanie tybetańskie. Zawładnęła nim linia tybetańskich władców, która w 842 roku opuściła Tybet i opanowała Ladakh, Spiti i Zanskar. Pierwszym królem Ladakhu został Pelgigon, a działo się to w połowie X w. Do IX w. naszej ery główne związki utrzymywano z Kaszmirem, później siłą rzeczy na pierwszy plan wychodzi Tybet. Z tego właśnie okresu pochodzi istniejący do dziś klasztor lamajski w Alchi założony przez rządzącego w latach 1080-1110 Lhachena Uptalę.

Buddyzm był obecny na terenie Ladakhu już dużo wcześniej, być może nawet od II w., wówczas buddyjski był oczywiście Kaszmir i wpływy pochodzą prawdopodobnie właśnie stąd. Jedynie wschodni Ladakh praktykował, podobnie jak ówczesny Tybet, animistyczną religię bon. Kolejni znani nam władcy to Trashigoin (1200-1230) oraz Lotroi-chogden (1440-1470). Za czasów panowania dwóch ostatnich miały miejsce częste najazdy wojsk kaszmirskich w wyniku których zachodni Ladakh przeszedł w ręce muzułmanów, a pozostała część zostaje podzielona na Dolny Ladakh rządony przez Takpabuma z Basgo oraz Górny Ladakh, którego władcą zostaje Takbumde z Leh. Król Bhagen (1470-1500) - potomek władców Basgo jednoczy kraj, przyjmuje imię Namgyal (Zwycięzca) i zakłada dynastię panującą po dziś dzień. Następne lata to ataki Mongołów odparte w połowie XVI w. przez Tashi Namgyala, fundatora górującego nad Leh fortu. Za czasów władania kolejnego króla - Tsewanga Namgyala - Ladakh rozrasta się aż po tereny obecnego Nepalu.

Kolejni władcy - Jamyang Namgyal i Senge Namgyal (1616-1642) pomimo początkowych sukcesów tak na niwie militarnej jak i ekonomicznej i społecznej (z tych czasów pochodzą wielkie klasztory np. Hemis czy przedstawiony na zdjęciu powyżej pałac w Leh) tracą suwerenność na rzecz Imperium Mogolskiego. Od tej pory faktyczną władzę w regionie, pomimo buddyjskiej większości mieszkańców, sprawują muzułmanie. Król Deldan Namgyal (1642-1694) zobowiązuje się do wybudowania w Leh meczetu. Deldan popada także w konflikt z dalajlamą pozostając osamotniony wobec islamskiej ekspansji. Ladakh z czasem coraz bardziej traci swe znaczenie. Rządzący w latach 1705-1734 Nima Namgyal stabilizuje sytuację w krainie. Kolejni władcy wciąż dogłębnie buddyjskiego Ladakhu muszą jednak deklarować się jako muzułmanie i bezwzględnie płacić coroczny trybut Mogołom z Indii, który choć nałożony już wiele lat wcześniej był przez kolejnych władców ignorowany.

Ta względna autonomia kończy się w roku 1834 kiedy to sikhijski władca Ranjit Singh po upadku Imperium Mogołów podbija Ladakh i przyłącza do Kaszmiru. Król Ladakhu Tshespal Namgyal zostaje uwięziony w pałacu w Stok. Tutaj też do dziś rezyduje jego linia.

Począwszy od lat 50. XIX wieku rosną wpływy europejskie - do Ladakhu zjeżdżają turyści, geolodzy oraz sportowcy. W 1885 Leh staje się bazą misyjną braci morawskich. Pod naciskiem Brytyjczyków szlak handlowy między Indiami a Tybetem i Turkiestanem wiodący przez Ladakh ponownie nabiera znaczenia. Z Tybetu do Indii przewożono wełnę i sól, w drugą stronę zaś - żywność i przedmioty codziennego użytku masowo wytwarzane na terenie Indii.

W roku 1947, kiedy Indie uzyskiwały niepodległość, dogryjski maharadża Hari Singh musiał wybrać, czy przyłączyć się do Indii czy Pakistanu. Koniec końców podpisał akt przyłączenia się do Indii. W odpowiedzi Ladakh został najechany przez Pakistan, atak ten został jednak wkrótce odparty.

W 1949 Chiny zamknęły granicę pomiędzy doliną Nubra i regionem Xinjiang, blokując tym samym odwieczne szlaki handlowe. W 1955 rozpoczęła się budowa chińskich dróg łączących Xinjiang z Tybetem, przebiegających przez obszar Ladakhu. Rozpoczęła się również budowa drogi Karakorum łączącej Chiny z Pakistanem. Indie wybudowały natomiast drogę Srinagar-Leh, skracając w ten sposób czas potrzebny na podróż ze Srinagaru do Leh z szesnastu do dwóch dni.

27 października 1951 roku Ladakh oficjalnie stał się częścią Indii. W tym również roku zamknięto granice z Tybetem, co ucięło wszelkie kontakty handlowe.

W tym czasie cały stan Dżammu i Kaszmir jest przedmiotem sporów terytorialnych pomiędzy Indiami, Pakistanem i Chinami. Dystrykt Kargil był obszarem działań wojennych w wojnach indyjsko-pakistańskich w 1947, 1965 i 1971. W czasie wojny z 1971 r. armia indyjska zdobyła znajdującą się poprzednio pod kontrolą Pakistanu wioskę Turtuk w dolinie Shyoku. Ostatnim poważniejszym konfliktem indyjsko-pakistańskim w Ladakhu była wojna kargilska w 1999. Rozpoczęła się ona, gdy indyjska armia zlokalizowała pakistańskich żołnierzy w zachodnim Ladakhu (dokładnie w Kargil, Dras, dolinie Mushkoh, Batalik i Chorbalta) szukających strategicznych punktów wzdłuż drogi Srinagar-Leh. W akcji o kryptonimie operacja Vijay indyjska armia przy wsparciu artyleryjskim i lotniczym wyparła pakistańskich żołnierzy za Linie Kontroli ustanowioną przez indyjski rząd, która nie została przekroczona przez indyjskich żołnierzy.

Od 1984 Indie i Pakistan rywalizują też na obszarze lodowca Siachen, który stanowi tym samym najwyżej położone pole bitwy na świecie. Konflikt powstał z powodu nieprecyzyjnych sformułowań w traktacie z Simli dotyczących obszaru poza punktem NJ 9842. Polityka górską Pakistanu a także agresja kartograficzna Stanów Zjednoczonych spowodowała w końcu wyścig w zajmowaniu kluczowych pozycji w łańcuchu Saltoro Range, który graniczy z lodowcem Siachen[3]. Pozycje te są zajmowane po dziś dzień, przy wyraźnej przewadze strategicznej po stronie Indii[4].

W 1974 roku Ladakh został otwarty dla ruchu turystycznego. Z biegiem czasu turystyka stała się jedną z głównych gałęzi gospodarki Ladakhu i przyczyniła się do głębokich zmian w jego społeczeństwie.

W roku 1979 region Ladakhu został podzielony na dystrykty Kargil i Leh. W 1989 miały miejsce krwawe zamieszki pomiędzy zamieszkującymi ten obszar buddystami i muzułmanami. Większość z nich była odpowiedzią na agresywne przemowy Benazir Bhutto, nawołujące do ataku na Hindusów i buddystów, aby w ich wyniku opuścili oni Kaszmir. W 1993 w odpowiedzi na żądania uniezależnienia się od zdominowanego przez mieszkańców Kaszmiru rządu, została utworzona Ladakhijaska Autonomiczna Rada Rozwoju Wzgórz.

Na dobre chmury znikają na chwilę przed lądowaniem w Leh. Jednak przed lądowaniem stewardessy zabraniają robić zdjęć, tłumacząc, że jest to ścisły teren wojskowy. Ale widoki są faktycznie niesamowite. Wszędzie nagie skały, tylko placki zielonego to doliny rzek z osadami. Samolot obniża swój lot. Lecimy teraz między dwoma pasmami górskimi. Robimy foty... jak wszyscy w samolocie, bo stewardessy już też przypięte do swoich foteli. Góry z ośnieżonymi szczytami robią wrażenie zwłaszcza w lipcu. Wkrótce dostrzegam pas startowy. Hm... jak ten samolot zamierza tam wylądować? Skoro jeszcze pomiędzy tymi dwoma pasmami gór znajdują się mniejsze góry sterczące na trasie przelotu, a przed samym lotniskiem góra sporych rozmiarów. Pierwszy raz tak ląduję... samolot nie podchodzi do lądowania normalnie tylko śrubą. Zatacza kręgi między górami. A to przecież nie jest samolocik tylko kolos, którego siedzący za sterami pilot nie znajduje się tam z przypadku. Aby tak lądować musi to być ktoś kto robi to nie pierwszy raz. Jak przypatruję się przez okno to jeden kiepski ruch takim samolotem a możemy się nie zmieścić. Jednak pilot sprawnie ląduje i wpada w przestrzeń między dwoma górami, za którymi już znajduje

się pas lotniska. Uff, kamień z serca mi spada jak samolot kołami dotyka płyty. Czas teraz aby wsiąść. Ale widoki z tej perspektywy. Same skały dookoła. Ludzie wysiadają na płytę lotniska, chcą robić zdjęcia, ale na płycie już sporo wojskowych, którzy gonią wszystkich którzy wyciągają aparaty. Nie wolno robić tu żadnych fotografii. A takie piękne byłoby zdjęcie samolotu wśród ośnieżonych szczytów górskich. Cały samolot przenosi się do niewielkiej hali przylotów w baraku. Wypełniamy formularze rejestracyjne i czekamy na bagaże, a w tym czasie dodatkowo biegamy tam i z powrotem do toalety. No żeż, oboje mamy biegunkę, ale Paweł dodatkowo dość kiepsko się już teraz czuje. Przyglądamy się osobom czekającym na bagaże. Niektórzy po ubiorze widać, że nie przyjechali tu turystycznie, tak jak my, ale bardziej wyczynowo. Kiedy zaczynają pokazywać się bagaże, niektóre ekipy mają całą masę specjalistycznego sprzętu wspinaczkowego. Nasze plecaki wyglądają przy nich jak mikroskopijne kropki. Co chwilę też taśma przestaje jechać, bo znika prąd. Podobno to tutaj norma. Z megafonów leci informacja na temat aklimatyzacji na takiej wysokości, a jesteśmy na 3500m n.p.m.

Choroba wysokościowa.

Należy pamiętać o tym, iż jest to choroba, która nie dotyka wszystkich w jednakowym stopniu. Zależy bowiem od indywidualnych zdolności danego organizmu do przystosowywania się do wysokości. Nie zależy on od płci, budowy ciała, siły choć jest rzeczą oczywistą, że organizmy o dobrej kondycji ogólnej lepiej sobie z nią radzą. Niektórzy z natury posiadają mniejszą lub większą tolerancję na wysokość.

Wystarczy wymienić tutaj choćby taką legendę jak Jerzy Kukuczka, który słynął z nadludzkiej kondycji i wytrzymałości, co było najprawdopodobniej związane właśnie z indywidualną ponadprzeciętną zdolnością adaptacyjną do dużych wysokości. Podobnie z resztą reagował organizm nieżyjącego już Piotra Morawskiego (wielki talent polskiego himalaizmu), który sam często powtarzał, iż nie ma pojęcia skąd się to wzięło, ale kiedyś po prostu odkrył, że nie ma takiego problemu z wysokością, jak jego koledzy.

Niemniej jednak choroba ta dotyka prawie każdego, tylko, że niektórych wcześniej, innych później, u niektórych objawia się ostrzej, u innych łagodniej. Już powyżej 3000 m n.p.m. u wielu osób można zaobserwować pierwsze jej objawy, natomiast powyżej 5000 m n.p.m. występuje ona powszechnie.

Podstawowymi objawami choroby wysokościowej są:

- nudności,
- bóle głowy,
- szybkie bicie serca,
- głęboki oddech,
- duszności,
- zaburzenia snu,
- brak apetytu,
- apatia,
- zmęczenie,
- obrzęki twarzy, rąk i stóp.

Jeżeli takie objawy występują, oznacza to, że po prostu zbyt szybko znaleźliśmy się na danej wysokości i nasz organizm nie zdążył się jeszcze do niej przystosować. Dzieje się tak dlatego, że im wyżej jesteśmy, tym mniejsze jest ciśnienie atmosferyczne, co z kolei prowadzi do rozrzedzenia powietrza. Nasz organizm cały czas potrzebuje tyle samo tlenu co normalnie, tylko że teraz, aby go pozyskać, musi się o wiele bardziej napracować. Dlatego, jeżeli odczuwamy pierwsze objawy, powinniśmy zaprzestania parcia w górę. Najlepiej zatrzymać się na danej wysokości i poczekać na ustąpienie objawów. Najlepszą metodą radzenia sobie z tą chorobą jest powolna aklimatyzacja. Powinno się ją rozpoczynać od wysokości 2500 m n.p.m. Potem najlepiej pokonywać nie więcej niż

300-600 m różnicy poziomów na dobę. Aby organizm łatwiej przyzwyczajać do wysokości, najlepiej jest jak najwyżej wychodzić w ciągu dnia a na noc schodzić jak najniżej, czyli postępować zgodnie z zasadą, wysoko wchodzimy, nisko śpimy.

Poza tym należy dużo pić, pamiętając jednak o tym, że jeżeli już dojdzie do obrzęku płuc lub mózgu, to zbyt duża ilość przyjmowanych płynów może być szkodliwa. Z wysokością zwykle jest związany brak łaknienia, wtedy powinniśmy starać się to przeczekać i na siłę coś jeść, aby nie dopuszczać do niedoborów węglowodanowych, co też sprzyja rozwijaniu się tej choroby.

Najważniejsze – należy unikać intensywnego i niepotrzebnego wysiłku. Starać się chodzić i poruszać powoli, nie forsować organizmu. Unikać soli w posiłkach, jak również całkowicie wyeliminować kofeinę i alkohol. Starać się przeczekać chorobę na tej samej wysokości. Po dwóch dniach jej objawy powinny ustąpić. Jeżeli tak się nie stanie, bądź co gorsza objawy się nasilą, to koniecznie trzeba zejść na niższą wysokość. Nie można bagatelizować tej choroby. Pamiętajmy, że jest ona częstą przyczyną śmierci w górach wysokich.

Jeżeli chodzi o neutralizowanie objawów, to na ból głowy pomaga zwykły Ibuprofen lub Ibuprofen. Na mnie też świetnie działa zwykła aspiryna, która powoduje rozrzedzenie krwi. Jednak nie przez wszystkich specjalistów jest zalecana. Na rynku istnieją również leki, typu Duramid. Jednak ich przyjmowanie powinniśmy zawsze skonsultować z lekarzem, a ponadto musimy pamiętać o tym, że są to leki moczopędne, więc w razie ich przyjmowania powinniśmy jeszcze większą uwagę przykładając do spożywania płynów.

W skrajnym rozwoju tej choroby, może ona doprowadzić do powstania obrzęku płuc, który charakteryzuje się następującymi objawami:

- duszności
- płytki oddech
- wzrost tętna
- osłabienie
- kaszel, któremu towarzyszy odkrztuszanie pianistej plwociny
- zasinienie warg, paznokci
- gorączka

W razie wystąpienia powyższych objawów, bezwzględnie trzeba sprowadzić taką osobę jak najszybciej na niższą wysokość. Najlepiej jest również podać tlen i specjalistyczne leki. Po sprowadzeniu takiej osoby na dół, trzeba poddać ją opiece lekarza.

Warto również wspomnieć o tym, iż w różnych krajach stosuje się również środki medycyny ludowej – np. nepalscy Szerpowie polecają zupę czosnkową, w Peru i Boliwii pomaga (co udowodniono naukowo) żucie liści koki i picie herbatki z koki (herbata łagodzi świetnie objawy żołądkowe, liście za to nie są zbyt smaczne i ciężko się szybko do nich przyzwyczaić), a w Tybecie w sklepach można kupić specjalne mikstury ziołowe.

Przez najbliższe dwa dni czeka nas odpoczynek i jak najmniej wysiłku, bo to niebezpieczne na tych wysokościach.

Zbieramy bagaże i bierzemy pierwszą taksówkę do centrum miasta. Kiedy wysiadamy Paweł jest blady niczym kartka papieru. Mówi, że poczeka na mnie na skrzyżowaniu, a ja mam lecieć szybko znaleźć jakieś miejsce noclegowe. Oho nie jest dobrze. Lece więc. Pierwszy hotel który zanotowałam sobie z przewodnika jakoś mi się nie podoba, wpadam do drugiego. Gość z uśmiechem na twarzy pokazuje mi pokój. Super jasny z widokiem na wzgórze z tybetańskim pałacem oraz na ośnieżone szczyty górskie. Gość chce 900 rupii za pokój, ale ostatecznie staje na 600. Mamy tylko nie mówić innym gościom. Jest super, teraz szybko do Pawła. Paweł mówi, że długo mi to zeszło, a mnie się wydaje, że śpieszyłam się ile wlezie. Szybko idziemy do hotelu, a Paweł jeszcze szybciej do pokoju, a właściwie do łazienki. Ja w tym czasie załatwiam formalności meldunkowe, czyli wpisuję wszystkie. Nasz hotelik Bimla znajduje się blisko centrum i dużego

bazaru tybetańskiego.

Potem czas na odpoczynek, bo faktycznie czujemy się nieswojo. Najlepiej być teraz w pobliżu łazienki. Po pewnym czasie kiedy Paweł zalicza zgon totalny i śpi idę z misją zakupu wody, coca-coli i krakersów. Hmm zaczyna mnie boleć głowa. Czuć, że gorzej się oddycha. Sklepiki na szczęście są tuż za rogiem. Wszędzie kręcą się ludzie. Robię zakupy i ostatkiem siły wdrapuję się po schodach na drugie piętro. Ale masakra, normalnie nie mogę pokonać tych schodów normalnie. Gdy docieram na drugie piętro dyszę, jakby weszła co najmniej na dziesiąte. Masakra z tą aklimatyzacją. No i po powrocie do pokoju dopadają mnie wymioty. Jeszcze tego brakowałoby tu teraz. Ciekawe co nam zaszkodziło. Jedzenie w restauracyjce przy dworcu w Delhi, jedzenie z pociągu, czy może w Agrze w tej drogiej restauracji.

Staramy się coś zjeść i sporo pić, aby się nie odwodnić zwłaszcza na tej wysokości. Większość czasu śpimy, ale bardzo przerywanym snem. Budzę się za każdym razem jak brakuje mi tchu, bardzo dziwne uczucie. Poza tym co chwilę budzę się i sprawdzam czy Paweł oddycha. Jak się potem okazuje Pawłowi śnią się jakieś koszmary. Niezły początek naszego pobytu w Ladakhu.

Koło 17 udaje nam się wywlec z łózka i pójść na bardzo powolny spacer po centrum Leh. Słysząc nawoływania muezinów z pobliskich dwóch meczetów. Idziemy powoli, nawet bardzo powoli, aby się strasznie nie zmęczyć. Sklepiarze z licznych sklepików z pamiątkami chcą nam coś sprzedać. Zazwyczaj wszyscy siedzą przed swoim sklepem na schodach i wypatrują ofiar. Mówimy im, że dopiero przylecieliśmy i będziemy tu co najmniej 2 tygodnie, więc będzie jeszcze na to czas. Kiedy słyszą że właśnie przylecieliśmy każdy pyta jak się czujemy i doradza odpoczynek i picie bardzo dużej ilości wody.

Chcemy coś wrzucić na stronę internetową, ale okazuje się że w całym Ladakhu internet nie ziała. Coś tam podobno zostało uszkodzone. Super, bo telefon też nasz tu nie działa, więc nawet nie mamy jak powiadomić rodzinę, że dotarliśmy na miejsce. Oczywiście nikt nie wie, kiedy internet będzie. Może jutro może za tydzień kto to wie?

Centrum Leh niezmiernie rozkopane. Z tablicy informacyjnej wynika, że to „beautification” czyli upiększanie miasta. W przyszłym roku ma tu być piękny deptak, z klombami i rondem. Na wizualizacji faktycznie nieźle to wygląda. Natomiast teraz trzeba obijać gruzowisko, fura wysypanej ziemi, jakieś cegły, betonowe fragmenty klombów. Ale nie da się ukryć praca wre. A i jeszcze koparki. A między tym rozgardiaszem przemykają zagraniczni turyści, lokalni mieszkańcy, no i psy wraz z krowami. Oprócz lokalnych sklepików, ludność tybetańska ma tu swoje stoiska na chodnikach. Hmm stoiska to za dużo powiedziane. Ladakhijki w szarych sukniach, w czapkach na głowie siedzą na owych chodnikach gdzie mają rozłożony swój towar. Są to głównie warzywa i owoce, Co jakiś czas przemyka się obok krowa, która zjada jakie resztki, albo sama coś ukradnie.

Kiedy tak przyglądam się tutejszej ludności, to nie przypominają oni wyglądem Hindusów. Tutejsza ludność przypomina ludy Tybetu. Mają całkiem inne rysy twarzy, są zdecydowanie niżsi i drobniejsi. To chyba efekt przystosowania się ich do górskich warunków klimatycznych. Poza tym ich twarze są tak poorane zmarszczkami, że nie wiadomo ile mają lat. Kobiety ubrane są w szerokie, czarne lub szare suknie, pod którymi są spodnie. Niektóre z kobiet mają jeszcze na to nałożone kamizelki ze skóry. Na głowie obowiązkowo najlepiej czerwona czapeczka z wełny, która jest właściwie tylko nasadzona na czubek głowy. W sumie jest dość ciepło jak na taką wysokość. Pytanie co Ladakhijki ubierają na siebie zimą, kiedy temperatura spada do -20 stopni? Obowiązkowo każda ma dwa długie warkoczki, które są ze sobą na końcu związane. Wszystkie ladakhijki wyglądają podobnie. Mężczyźni mają z kolei ubrania w kolorze brązu, spodnie i coś co przypomina długi płaszcz. Na głowie jakiś kapelusik, a w ręce modlitewny młynek. Tak wygląda lokalna ludność. Ale na ulicach jest cała masa muzułmanów, która ubrana jest podobnie jak w krajach arabskich, czyli w jasnych spodniach, sukmanach i czapeczce. Duża część z mężczyzn ma jeszcze charakterystyczną brodę. Czasami niektórzy wyglądają jak pakistańscy mudżahedini. W ogóle tu nie pasują. A podobno dalej jestem w Indiach. Są tu również nowobogacy Hindusi z Delhi, którzy przyjeżdżają do Ladakhu odpocząć od upałów nizin. Są

zazwyczaj bardzo głośni i kochają jazdę na motorach. No i ostatnia grupa osób które można spotkać w Leh, to po prostu zagraniczni turyści. Mieszkańcy Ladakhu są spokrewnieni z Tybetańczykami.

Centrum Leh z górującym pałacem w kolorze otaczających górskich zboczy robi wrażenie. Na skałach sterczą białe tybetańskie gompy z powiewającymi licznymi chorągiewkami.

Leh to miasto leżące na wysokości 3500m n.p.m., w północnych Indiach, na południe od gór Karakorum, w krainie Ladakh, zaliczanej do Himalajów Wysokich, nad rzeką Indus. Stolica dawniej niezależnego Królestwa Ladakhu, obecnie znajdującego się w większości na terytorium Indii (mała część Ladakhu leży po stronie Chin). Z powodu surowych warunków życia jest to obszar jest stosunkowo słabo zaludniony w stosunku do swojej powierzchni, przypada tu jeden mieszkaniec na 1 km². Mieszka tu około 27 tysięcy mieszkańców, 77,3% z nich stanowią buddyści, 13,8% muzułmanie, a 8,2% hinduiści.

Pogoda w Ladakhu jest prawie zawsze dobra dla turystów, gdyż nie dociera tutaj monsun, który spotkamy w okolicach Delhi. Średnie opady deszczu są tu porównywalne z Saharą. Warunki te wytworzyły szczególnie rodzaj surowego piękna i pustynny charakter Ladakhu. Temperatura w Leh waha się od -28 °C zimą do 33 °C latem. Większość tutejszych mieszkańców, wznosząc domy, nie przewiduje możliwości wystąpienia deszczu, co odzwierciedla się w ich konstrukcji.

Pierwsze połączenia lotnicze z Leh zostało uruchomiono w 1979 r. Między czerwcem a wrześniem można dotrzeć do Leh drogą lądową: 434 kilometrową drogą ze Śrinagaru w Kaszmirze, albo 473 kilometrową z Manali w Himachal Pradesh.

Nad miastem górują ruiny królewskiego pałacu, przypominającego Potalę w stolicy Tybetu – Lhasie. Został on zbudowany przez króla Sengge Namgyala w XVII wieku. W połowie XIX wieku został zniszczony przez kaszmirskie wojsko. Obecnie trwają prace konserwatorskie mające na celu przywróceniu mu dawnej świetności.

Interesującą budowlą w Leh jest sunnicki meczet zbudowany w 1661 roku, po przymierzu z muzułmanami mającemu na celu przeciwstawieniu się dominacji Tybetu w tym regionie, za czasów V Dalajlamy. Meczet stanowi ciekawą mieszankę architektury tybetańskiej i islamskiej. Może pomieścić do 500 osób.

Niegdyś Leh był ważnym miejscem, gdzie krzyżowały się drogi kupców z Kaszmiru, Tybetu i Indii. W czasach starożytnych przez Ladakh przechodził Jedwabny Szlak łączący Indie z Tybetem i Chinami. Przybywali nim również mnisi buddyjscy i osiadali budując na górskich zboczach gompy – klasztory buddyjskie. Do końca X wieku Ladakh był częścią Tybetu, potem stanowił niezależne Księstwo (dynastia Njarama). Obecnie główny dochód Ladakhu to turystyka, szczególnie w okresie letnim.

Wieczorem Leh cichnie, tylko drobne światła oświetlają domostwa. Nie ma tutaj latarni. Nawet pałac na zboczu górkim miga kolorowymi światełkami, trochę niczym choinka.

Dzisiaj już nic nie jesteśmy w stanie robić. Tylko się umyć i iść spać z nadzieją, że jutro nam się stan zdrowotny poprawi, zarówno w związku z wysokością, jak i żołądki dadzą nam spokój.

20.07.2015 (poniedziałek)

Całą noc bardzo często się budzimy. Niestety wysokość robi swoje. jako ciekawostkę podam procentową ilość tlenu w powietrzu w zależności od wysokości.

0 m npm	– 100%
1000 m npm	– 88%
2500 m npm	– 73%
3000 m npm	– 68%
4000 m npm	– 60%
5000 m npm	– 52%
5500 m npm	– 50%
6000 m npm	– 47%

7000 m npm – 41%

8000 m npm – 36%

8500 m npm – 33%

Nad ranem słyhać nawołującego muezina, a potem modlitwy z buddyjskiej świątyni.

Wstajemy o 8:30. Zaczynam od wizyty w łazience. Niestety dalej mam wymioty i biegunkę. A za oknem taki piękny dzień. Cała okolica skąpana w słońcu. Śniadanie staramy się jednak zjeść, ale w pokoju. Wczoraj kupiłam chleb tostowy i dżem z mango. Nasz gospodarz Nepalczyk Bam przynosi nam herbatę z dużą ilością imbiru i przypraw.

Wychodząc z hoteliku spotykamy małżeństwo Francuzów, którzy szukają osób na dwudniową wycieczkę do Nubry. Postanawiamy poprzestawiać nasz plan i załatwić wyjazd razem z nimi. Wspólne wynajęcie samochodu na cztery osoby to bardzo praktyczne finansowo rozwiązanie. Idziemy więc wspólnie do pobliskiej agencji załatwić formalności. W owej agencji załatwiają nam również tygodniowe zezwolenia na poruszanie się po terenach kontrolowanych przez wojsko. Zresztą w całym Leh można spotkać sklepy z militarnym wyposażeniem. Po załatwieniu najważniejszych formalności i dokonaniu opłaty za samochód idziemy do informacji turystycznej, aby sprawdzić parę rzeczy. Tutaj też możemy sprawdzić swoją wydolność tlenową. Jak będzie za mała to pół godziny podłączają do butli z tlenem. Okazuje się że u mnie wydolność jest dobra, ale puls mam 128, więc mam odpoczywać. Pani zapisuje mi co mam kupić wzmacniającego w aptece. Pawła wydolność okazuje się być mniejsza, więc przez pół godziny oddycha tlenem z butli, co wygląda przekomicznie.

Mijając kolejny sklepik z pamiątkami, na wieść, że jesteśmy z Polski, sprzedawca mówi po polsku... „dobra zupa z bobra, ale lepsza z wieprza...” hehe ktoś już takich rzeczy zdążył lokalnych sprzedawców nauczyć. Idziemy do apteki po wzmacniacze witaminy i po leki na biegunkę. Jak to w Indiach w aptekach wszystko jest na sztuki. Pan farmaceuta odcina nam konkretną liczbę tabletek. Nie trzeba kupować całego opakowania. Na dodatek jeszcze dopytuje się o nasze dolegliwości, aby dać jak najskuteczniejsze leki.

W Leh i okolicy nie ma zbyt dużo zieleni. Są śmieszne wysokie i smukłe drzewa. Konary tych drzew wręcz przylegają do pnia. Wyglądają niczym wielkie tuje, ale są to drzewa liściaste. To chyba takie przystosowanie do tutejszego klimatu. Chociaż ciekawe jak te liściaste drzewa przetrzymują srogą tutejszą zimę.

Idziemy zjeść supę, aby coś w końcu znalazło się w naszych żołądkach. Jemy tutejszy rosołek, który idzie nam powoli, ale udaje nam się go zjeść. Potem szwendamy się po Leh. Jesteśmy na tyle osłabieni wysokością i chorobą żołądka, że nie mamy wiele siły aby pomykać po mieście. Trafiamy na chwilę do sklepiku z paszminą. Paszmina to ręcznie tkany szal, który powstaje z kaszmiru lub z mieszanki kaszmiru i jedwabiu. Nie istnieje więc nic takiego jak naturalna paszminowa tkanina ani wełna.

Nazwa pochodzi od perskiego słowa „pasha”, które oznacza wełnę. Tradycja wyrobów z paszminy sięga tysięcy lat, już wtedy termin ten odnosił się do chust z kaszmiru. Do dziś zachowała się tradycja ręcznej produkcji szali, co jest jedną z przyczyn stosunkowo wysokich cen paszminy. Drugą przyczyną jest rzadki surowiec, z którego tworzy się paszminę. Kaszmirową wełnę, która służy do produkcji paszminy, pozyskuje się dzięki pracochłonnemu wyczesywaniu spodniej warstwy sierści kóz kaszmirskich. Zwierzęta te żyją na obszarach górskich, głównie na terenie Chin i Mongolii. Trudne warunki życia w Himalajach wykształciły u kóz sierść posiadającą zdumiewające właściwości. Wełna kóz kaszmirskich chroni je przed mrozami, które w Himalajach sięgają 40 stopni poniżej zera.

Z każdego zwierzęcia można wycesać rocznie około 50-150 g wełny odpowiedniej do produkcji paszminy. Oznacza to, że do pozyskania standardowego szalu często konieczne jest wyczesanie nawet 5 kóz. Otrzymany w ten sposób surowy kaszmir jest następnie przetwarzany w kilku krokach. Profesjonalista, który splata włókna, jest w stanie uzyskać około 20 g tkaniny

dziennie. Oznacza to, że do produkcji paszminowego szalu potrzebne jest około 15 dni intensywnej pracy.

Rocznie uzyskuje się około 7000 ton kaszmirowej wełny. W ostatnich latach ceny kaszmiru na światowym rynku stale wzrastają.

Mogę sobie poodtykać różne szale zawierające paszminę, czy jedwab. Różnica wyczuwalna jest w dotyku. Oglądam również spodnie i tuniki. Na koniec pobytu coś tu sobie kupię fajnego. Tym bardziej, że i ceny przystępne. A kolory niczym z bajki. W Polsce takich spodni czy tunik nie kupię. Spacerując tak małymi uliczkami trafiam do serowarni, gdzie dwóch muzułmanów w wielkich kadziach i garach waży ser z mleka jaka. Paweł ucieka, bo twierdzi, że tam strasznie śmierdzi. Mimo tego, że kiepsko się czuję, to ten zapach mi pasuje. Jak tylko wydobrzeję, koniecznie muszę spróbować tego sera.

Wracając do hoteliku trafiamy do buddyjskiej świątyni, schowanej wśród budynków w samym centrum miasta, zaraz przy deptaku. Na głównym placu cała masa Ladakijczyków ubranych w soje regionalne stroje, czekający w kolejce na wydawany z wiader obiad. Wszyscy po otrzymaniu posiłku zajmują wolne przestrzenie i spożywają posiłek. A jedzą strasznie szybko. Robimy świetne zdjęcia, bo jest tu niezły klimat. Po zakończonym posiłku wszyscy siadają na ławeczkach. Okazuje się, że jest to miejsce gdzie odbywają się nauki tybetańskie.. Ze świątyni wychodzą mnisi, słychać odprawiane mantry. Przez plac rozwinięty jest dywan. Po nim najpierw idą panowie w tybetańskich strojach – płaszczach i śmiesznie wywiniętych czapkach (trochę niczym u krasnoludka), niosą kadzidelka i młynki modlitewne. Za nimi idą trzej mnisie w czerwonych szatach i wielkich pomarańczowych czapkach. Niosą trąby, w które dmą. W końcu za nimi pod baldachimem idzie stary mnich. Ludność rzuca się mu do stóp oddając pokłony. Widać, że to ktoś bardzo ważny w buddyjskiej hierarchii. Potem ludzie zasiadają do słuchania nauk owego mnicha. Niesamowite miejsce.

Buddyzm tybetański

Buddyzm tybetański czyli lamaizm (od nazwy duchownych -lamów) jest religią powstałą na bazie indyjskiego buddyzmu tradycyjnego, który to pojawił się w Tybecie - według tradycji tybetańskiej - dzięki królowi Srong-btsan-sgam-po w połowie VII w. n.e. Jak sama nazwa wskazuje objął on tereny Tybetu i krajów ościennych, czyli Mongolii, Nepalu. W Tybecie buddyzm stał się religią państwową w VI wieku. Buddyzm tybetański, który znamy dziś zrodził się w IX w., kiedy do Tybetu sprowadzono mnichów, a wśród nich Padmasambhavę, który jest twórcą najstarszego tybetańskiego klasztoru Samye. Po tym fakcie pojawiły się dwa odłamy buddyzmu tybetańskiego, a właściwie trzy szkoły:

- Sakyapa (inaczej sakja) - W tradycji sakja istnieje unikatowe podejście do nauk madhjamaki. Sakja uważa siebie wręcz za jedyną szkołę, która dziedziczy oryginalne i niezmienione podejście do nauk o „pustości” i naturze Buddy, takie jakie istniało za czasów wielkiej świetności buddyzmu w Indiach. Owe podejście nazwane jest „Wolnością od Skrajności”
- Ningmapa (ningma) – Słowo **ningma** z tybetańskiego znaczy *starożytny* i dlatego szkołę tę nazywa się "starożytną tradycją" lub "tradycją starożytnych przekazów". Nauki szkoły Ningmapy pochodzą z Długiego Przekazu (Ring Gyu) Kamy pierwszego okresu buddyzmu w Tybecie oraz Krótkiego Przekazu (Nye Gyu) Termy późniejszych nauk buddyzmu; inne nauki mistrzowie otrzymali, w różnych historycznych okresach, bezpośrednio w Czystych Wizjach (Dag Nang) od Bóstw lub Guru, podczas doświadczeń lub przejrzytych snów.
- Kagyupa (kagja) - oznacza „linię czterech przekazów instrukcji” i odnosi się to do głównych tantrycznych instrukcji.
- W XV w. pojawiła się kolejna szkoła – Gelukpa (gelug) – wiodąca z Dalajlamą. Wyznawcami tradycji zwie się również żółtymi czapkami ze względu na charakterystyczne ceremonialne nakrycia głowy oznaczające rangę w edukacji monastycznej. Założyciel tradycji gelug, Je Tsongkhapa,

wielki reformator, uczony i mahasiddha połączył wiele linii nauk najwybitniejszych ówczesnych nauczycieli tradycji, głównie z kadam, sakja, kagyu. Głównym dziedzictwem gelugpów trwającym do dziś, są nauki Stopniowej Ścieżki do Oświecenia.

W IX wieku sprowadzono do Tybetu wielu buddyjskich misjonarzy, w tym najsłynniejszego z nich, czczonego powszechnie po dziś dzień - Padmasambhavę - późniejszego założyciela najstarszego buddyjskiego klasztoru w Tybecie - Samye. Niezwykła forma buddyzmu wyznawanego w tym klasztorze oparta była głównie na pierwotnej religii Tybetu - bon. W XI wieku objawił się podział tybetańskiego buddyzmu na szkoły: Sakyapa - założona przez Atiśję odrzucająca magię a skupiająca się na mistyce, Ningmapa - tradycja Padmasambhavy oraz Kagyupa - założona przez ascetę Marpę i jego sławnego wychowanka Milarepę szkoła medytacyjna.

Na przełomie XIV i XV wieku Tsongkhapa - tybetański uczony i teolog postanowił zreformować buddyzm tybetański powołując do życia szkołę Gelukpa (szkoła "Żółtych Czapek"). Z czasem linia ta zaczęła odgrywać wiodącą rolę zarówno w religii jak i państwowości Tybetu. Tsongkhapa oficjalnie wprowadził surową dyscyplinę, celibat, zakaz spożywania alkoholu, zreformował i usystematyzował rytuał. Niektórzy badacze z tego właśnie okresu wywodzą ideę wcielania się duszy zmarłego lamy w nowo narodzonego chłopca. Nawiasem mówiąc ostatnio zaczyna się mówić również o dziewczynkach jako możliwych inkarnacjach lamów. Nowe wcielenie lamy czyli tulku odnajduje się na podstawie wielu skomplikowanych testów. Dziecko odnalezione jako wcielenie lamy, co wydaje się być wielkim honorem dla rodziców, jest wychowywane i starannie kształcone w klasztorze.

Najważniejszymi postaciami w hierarchii lamajskiej są dalaj-lama (według tradycji wcielenie Boddhisattwy Avalokiteśvary) oraz panchen-lama (inkarnacja Buddy Amitabhy). Ważną postacią był także bogdo-gegenzwierzchnik kościoła lamajskiego w Mongolii. W XVII wieku wzniesiono najpiękniejszą buddyjską budowlę klasztorną - pałac w Lhasie, który od razu stał się siedzibą dalaj-lamów. Obecny - czternasty już - dalaj-lama zmuszony do emigracji w wyniku chińskiej okupacji Tybetu mieszka obecnie w Dharamsali w północno-zachodnich Indiach i jest uważany za jeden z najwyższych autorytetów moralnych na świecie. Kilkakrotnie odwiedził Polskę.

Czym w zarysie różni się lamaizm od buddyzmu, upraszczając, tradycyjnego? Niewątpliwie bardzo rozbudowanym rytuałem, ogromną liczbą bóstw, duchów, świętych i demonów. Demony, zazwyczaj przedstawiane w wyjątkowo groźnej postaci, są jednak obrońcami religii. Wyraźnie zauważa się wpływy pierwotnego tybetańskiego szamanizmu i religii bon. Powszechny jest kult duchów gór czy jezior. Siłą rzeczy w Tybecie nie mógł praktycznie obowiązywać zakaz jedzenia mięsa.

Bardzo istotną składową tybetańskiego buddyzmu jest tantra (obecna również w hinduizmie) - zespół ezoterycznych tekstów i technicznych sposobów przyspieszenia drogi do oświecenia poprzez wykorzystanie bezpośredniego kontaktu z energią kosmiczną. Tantra uważana jest za drogę tylko dla wtajemniczonych. Adept tantry musi przejść odpowiednią inicjację i być prowadzony przez mistrza - guru. Na czym opierają się wspomniane "techniczne sposoby przyspieszenia drogi do oświecenia"? Na wizualizacjach praktykującego jako samego bóstwa, recytacji mantr (np. OM MANI PADME HUM), medytacji, mandal.

Siddhartha Gautama, znany powszechnie jako Budda, urodził się w Lumbini na południu obecnego Nepalu w VI w. przed naszą erą. Buddyzm rozwijał się szybko i w ciągu kilku wieków objął swoim oddziaływaniem ogromne połacie subkontynentu. Warto zwrócić uwagę, że do Tybetu dotarł dopiero, jak wspomniałem wyżej, około VII w n.e.

Sens buddyzmu opiera się na uświadomieniu sobie, że nasza ziemską egzystencja jest nierozzerwalnie związana z cierpieniem oraz że istnieje droga wiodąca do uwolnienia się z tego cierpienia i osiągnięcia nirwany - stanu absolutnego wyzwolenia. Wszyscy podlegamy uniwersalnemu prawukarmy i ponownym narodzinom. Każdy nasz uczynek, szczególnie zaś te powodowane naszą wolą, wywołują ściśle określony skutek. Jak mówił Budda "każdy jest swoim mistrzem". Pierwszym etapem na drodze do nirwany jest uświadomienie sobie cyklicznej natury

karmy i wzbudzenie w sobie niezadowolenia z cyklicznej egzystencji wraz z jej coraz to nowymi problemami i uwarunkowaniami.

Następny stopień to rozwinięcie w sobie moralnie pozytywnych cech - buddyzm kładzie ogromny nacisk na etykę. Człowiek moralny jest dalej w stanie oddać się spokojnej medytacji, która pozwala na prawdziwy wgląd w naturę rzeczy. Wgląd ten jest kluczem otwierającym drogę do oświecenia gdyż cierpienie wynika właśnie z niewiedzy, z opacznego postrzegania rzeczywistości oraz pożądania i niechęci. Praktyczne wskazania na drodze do nirwany podsuwa tzw. "szlachetna ośmioraka ścieżka" opisując metody zmiany sposobu postrzegania świata, trening etycznej postawy i postępowania oraz sposoby rozwijania skupienia.

Budda Śakyamuni

W chwili wkroczenia buddyzmu do Tybetu od śmierci Buddy minęło już kilkanaście wieków. Siddhartha Gautama Budda (Śakyamuni) urodził się prawdopodobnie pod koniec VI w p.n.e. w okolicy Lumbini (Kapilawastu) w dzisiejszym południowym Nepalu. Sam termin budda oznaczający przebudzonego - istotę oświeconą nie jest wyłącznie przydomkiem Śakyamuniego - według różnych źródeł i tradycji w odległej przeszłości przed Buddą Śakyamunim na świecie żyło co najmniej kilku buddów. W chwili, gdy oddziaływanie buddyzmu osłabnie na świecie ma pojawić się kolejny budda – Maitreja.

Co mówi legenda o życiu Buddy Śakyamuniego? Historie poprzednich żywotów Buddy opisują teksty zwane džatakami. Przedstawiono w nich kolejne wcielenia przyszłego Oświeconego jako kolejne etapy jego rozwoju duchowego, nieuchronnie prowadzące go do ostatniego wcielenia. Siddhartha Gautama urodził się, jak się później okazało po raz ostatni, jako syn króla Śuddhodana i jego żony królowej Mayadevi. Narodziny poprzedziły symboliczne sny przyszłej matki. Astrologowie nadworni (notabene do dziś ważne osobistości na dworze króla Nepalu) przepowiedzieli przyszłemu dziecku los wielkiego władcy i męznego rycerza, pod jednym jednak warunkiem - król musi wychować syna w nieświadomości nieszczęść tego świata, siła współczucia może go bowiem odwieść od chęci rządzenia królestwem.

Z biegiem lat okazało się, że Siddhartha jest nadzwyczaj pojętny, bez trudu opanowuje wszelką wiedzę przynależną książętom. Król Śuddhodana, zgodnie z zaleceniami astrologów, chronił syna przed rzeczywistością świata. Wkrótce wyprawił wesele Siddharthy i Jasiody, młodej parze urodził się syn - Rahula. Niedługo po weselu Siddhartha w towarzystwie swojego woźnicy Czandaki wybrał się na uroczysty objazd ulicami miasta. Pomimo starań ojca młody książę ujrzał przy swoim rydwanie starca - tu Czandaka musiał Siddharcie wytłumaczyć czym jest starość człowieka. Kilka miesięcy później książę natknął się na chorego. Czandaka ponownie zmuszony był do uświadomienia księciu ułomności ludzkiego ciała i ducha. Trzecia wyprawa poza pałac zakończyła się, gdy przed rydwanem pojawił się kondukt pogrzebowy. Czandaka odkrył prawdę o śmierci. Ostatnia podróż Siddharthy, jak się wydawało, przyniosła księciu nadzieję na jaśniejsze spojrzenie w przyszłość - zobaczył mianowicie niemającego przy sobie żadnych dóbr, pomimo tego łagodnego i szczęśliwego, ascetę. Siddhartha zapragnął oddać się ascezie widząc w tym szansę na pokonanie ulotności zwykłej egzystencji.

Książę wymknął się z pałacu i wędrując zaczął poszukiwać godnych nauczycieli. Przez sześć lat kształcił się u najlepszych guru, oddawał się ascezie aż po kres wytrzymałości ciała. Doszedł jednak do wniosku, że nie jest to droga prowadząca do ostatecznego wyzwolenia. Porzucił więc umartwienia i wyruszył w drogę. Dotarł do dzisiejszej miejscowości Bodhi Gaya. Tutaj usiadł pod drzewem bo i rozpoczął medytację z silnym postanowieniem odnalezienia drogi do oświecenia. Podczas medytacji zrozumiał, że wszystko co się dzieje jest skutkiem poprzednich działań, poznał swoje wcześniejsze inkarnacje, zrozumiał przyczyny cierpienia i sposoby bycia ponad nim, osiągnął doskonałe współczucie dla wszystkich żywych istot. Siddhartha Gautama stał się buddą - przebudzonym. Siddharthą Gautamą Buddą.

Budda zdawał sobie sprawę z tego, że większość zwykłych ludzi będzie miała ogromny

kłopot ze zrozumieniem prawd, do których doszedł. Przez kilka tygodni wahał się czy wyjść z tą wiedzą do ludzi, ostatecznie jednak postanowił to uczynić, choćby dla nielicznych, jak się Buddzie wydawało, którzy są gotowi na tej wiedzy przyjęcie. Z Bodh Gaya udał się Siddhartha na zachód - do Sarnath. Tutaj wygłosił pierwszą naukę zwaną później Sutrą Obrotu Koła Dharmy. Z czasem Budda zaczął dostosowywać sposób wykładu do możliwości audytorium. Często stosował dyskusję, wiele metod przekazu przypomina sposoby znane z działalności Sokratesa. Z czasem nauki Buddy dotarły do jego rodzinnego Kapilawastu, ojciec Siddharthy - Śuddhodana sam przyjął nauki syna i został mnichem. Budda nauczał do około osiemdziesiątego roku życia, kiedy to stwierdził, że czas już odejść i pogrążył się w ostatecznej nirwanie.

Po przejściu Buddy do nirwany następowało powolne zróżnicowanie interpretacji słów Oświeconego przez poszczególne grupy zakonne. Postanowiono zatem zwołać synod, na którym miano ustalić kanon teologiczny. Najślawniejsi uczniowie Śakyamuniego w liczbie 500 zbrali się w miejscowości Radżagriha. Od niepamiętnych czasów rozwinięta była w Indiach mnemotechnika, nie było zatem kłopotów ze spisaniem świetnie pamiętanych przez uczniów słów Buddy. Synod podzielił całość zebranego materiału na pięć zbiorów. Z biegiem lat różne buddyjskie szkoły tworzyły własne modyfikacje kanonu. Powszechnie za wzorzec kanonu zaczęto przyjmować tzw. Trójkosz - Tripitaka. Pierwszy "kosz" - sutra zawierał mowy Buddy i jego najbliższych uczniów, drugi - winaya - wskazania dotyczące mnichów, trzeci zaś - abhidharma - rozważania filozoficzne, traktaty naukowe i komentarze do sutr. Abhidharma porządkowała również terminologię buddyjską a było to przedsięwzięcie niezmiernie istotne dla zachowania spójności rozumienia tekstów sutr przez rozmaite szkoły.

KARMA

Prawo karmy znane było już w hinduizmie, w kulturze, w której wychował się Siddhartha Gautama. Śakyamuni zaakceptował tę ideę. Uczynki z poprzednich żywotów (karma), szczególnie te świadome, decydują o naszych następnych narodzinach. W działaniu prawa karmy nie ma miejsca na interwencje boskie, można by rzec, że to czysta matematyka - sami decydujemy o tym, jak się narodziemy w przyszłym życiu i nikt nam w tym nie może pomóc ani przeszkodzić. Jak wiemy celem buddysty jest wyrwanie się z kołowrotu wcieleń. Jakie są zatem warunki potrzebne do osiągnięcia tego celu?

Najpierw trzeba w sobie wyrobić postanowienie uwolnienia się z całego cyklu, następnie rozwinięcie dobrych, według etyki buddyjskiej, cech. Dobroć przynosi spokój umysłu niezbędny do medytacji a właśnie medytacja jest uważana za drogę wiodącą do zrozumienia życia. Kiedy znika niewiedza pojawia się oświecenie.

4 szlachetne prawdy:

Przywiązanie do chwilowych przyjemności, pożądanie, nadmierna ambicja - czynniki, które wpychają na w kołowrót wcieleń wynikają według buddyzmu z niewiedzy, sposobu patrzenia na świat i jego przyjmowania w sposób nieprzystający do rzeczywistości. Już na pierwszy rzut oka widać tu ogromną różnicę w podejściu do tematu między buddyzmem a kulturą Zachodu. Aby osiągnąć oświecenie wymaga się przystosowania sposobu percepcji i myślenia tak, by były one zgodne z rzeczywistością, czyli zgodne z prawdą. W Bodh Gaya Budda ujrzał podczas medytacji tzw. cztery szlachetne prawdy: (1) prawdę o cierpieniu, (2) prawdę o jego przyczynie, (3) prawdę o możliwości uwolnienia się od cierpienia oraz (4) prawdę o ośmiorakiej ścieżce, którą należy dążyć by to osiągnąć.

(Ad. 1) Buddyzm uważa, że całe ludzkie życie jest napiętnowane cierpieniem, nie neguje istnienia szczęścia, jednak szczęście uważa za chwilowe i nietrwałe. (Ad. 2) Za przyczynę cierpienia uważa się niewiedzę, pożądanie, nienawiść i niechęć, negatywne emocje, brak współczucia. (Ad. 3) Od cierpienia można się uwolnić - trzeba dostosować swoje widzenie i rozumienie świata do obiektywnej rzeczywistości niezanieczyszczonej dążeniem do sztucznych wartości. (Ad. 4)

Ośmioraka ścieżka jest praktycznym przewodnikiem do osiągnięcia wyzwolenia z cierpienia.

"Ośmioraka ścieżka":

Najpierw wymienimy poszczególne etapy ścieżki: 1) właściwy pogląd, 2) właściwa intencja, 3) właściwa mowa, 4) właściwe działanie, 5) właściwy sposób życia, 6) właściwy wysiłek, 7) właściwa uważność, 8) właściwa koncentracja. Postaram się teraz przybliżyć co rozumie buddyzm pod wszystko przecież znaczącym słowem "właściwy".

Właściwy pogląd to w uproszczeniu znajomość i zrozumienie buddyjskich koncepcji życia takich jak wyżej wspomniane prawo karmy czy cztery szlachetne prawdy. Właściwa intencja to świadome powstrzymywanie się od działań, które przeszkadzają w drodze do oświecenia i koncentracja na aktywnościach z tą drogą zgodnych. Właściwa mowa w życiu codziennym to słowa zgodne z prawdą, pozbawione agresji i niewywołujące bezpodstawnie złych emocji. Buddyzm ceni łagodność i ciszę. Właściwe działanie jest postępowaniem prowadzącym do życia w spokoju umysłu (a tylko ten umożliwi koncentrację i medytację).

Nie można zatem posuwać się do kradzieży, zabijania, kłamstwa i innych działań wywołujących złe emocje. Właściwy sposób życia to unikanie zajęć, które w swej naturze zawierają elementy kłamstwa, oszustwa, zabijania etc. Chodzi między innymi o wybór zawodu czy hobby, który jest tych czynników pozbawiony. Nie można się wyzwolić z cierpienia będąc myśliwym czy handlarzem bronią. Właściwy wysiłek - buddyzm ceni bardziej stały spokojny wysiłek niż nagły, acz często słomiany, zapal. Właściwa uważność bardzo ważny etap ośmiorakiej ścieżki - to świadomość swoich zachowań, obserwowanie siebie i wyciąganie wniosków, wiedza co się robi i dlaczego. W końcu zdolność właściwej koncentracji osiąga się po przejściu siedmiu poprzednich etapów ośmiorakiej ścieżki. Właściwa koncentracja osiągnięta przez istotę żyjącą w spokoju umysłu, świadomą celu, do którego dąży i naturalnie kierującą się buddyjską etyką umożliwia medytację aż do oświecenia.

Zalążki klasztorów pojawiły się jeszcze w czasie, gdy nauczał Siddhartha Gautama Budda. Początkowo sam Budda i jego uczniowie wędrowali po całym subkontynencie i nauczali w miejscach, do których docierali. Z czasem okazało się, że okres monsunu uniemożliwia praktycznie przemieszczanie się w wielu rejonach, zaczęto tworzyć schronienia na czas pory deszczowej. Schronienia te przekształcały się później w klasztory.

Dziś przed budową klasztoru lamowie i astrolodzy wybierają odpowiednie miejsce i czas. Klasztor powinien być samowystarczalny, musi zatem prócz sal medytacyjnych mieścić pokoje dla mnichów, kuchnię, łazienkę, magazyny żywności, niekiedy bibliotekę. Zwykle największym pomieszczeniem jest główna sala modlitw mieszcząca wszystkich mnichów. Tutaj zazwyczaj na przeciwko wejścia znajduje się posąg Buddy. Do budowy używa się materiałów dostępnych lokalnie - gliny (Ladakh) lub kamienia (Nepal), budują sami mnisi wraz mieszkańcami pobliskich osad. W budowlach klasztornych zwracają uwagę charakterystyczne pięknie rzeźbione elementy stolarki. Mrok i zapach kadzidła to pierwsze wrażenia po wejściu do większości klasztorów lamajskich, z czasem, gdy oczy przywykną do nikłego oświetlenia okazuje się, że ściany pokryte są malowidłami o niezwykle jaskrawej, kontrastowej kolorystyce obrazującymi zazwyczaj sceny z buddyjskiej mitologii.

Wracając do hoteliku jeden z miejscowych sklepikarzy opowiada nam, że bogatsi ladakijczycy wynoszą się z Ladakhu na zimę do ciepłej Kerali, bo zimą ruch turystyczny prawie tu zamiera. Zarobić się tu za bardzo nie da. Kiedy tak idziemy przez miasteczko widać, że wszędzie są większe lub mniejsze bazary. Tyle już jeżdżę do Azji, ale takiego nasycenia bazarami w jednym miejscu jeszcze nigdzie nie było. I jak tu zarobić na takim interesie, jeśli setki lokalnych mieszkańców sprzedaje pamiątki, ileż trzeba by sprzedać dziennie, aby był na tym zysk. Tym bardziej że turyści Hindusi, jakoś do kupowania pamiątek się nie palą. Kupują głównie obcokrajowcy.

Wracamy do hoteliku u mnie ścina, zasypiam. Kiedy się budzę, jestem tak otumaniona, że

nie mogę doprowadzić się do ładu i składu. Czas jednak coś zjeść. Idziemy po raz drugi dzisiaj na zupę z kukurydzy i chińskie danie z kurczakiem słodko-kwaśnym z ryżem. Trochę tego za dużo i nie dają radę zjeść. Najważniejsze, że jednak udaje mi się coś zjeść. Niestety po powrocie do hotelu znowu nam niedobrze. Mieliśmy spróbować dzisiaj popołudniu zobaczyć pałac, ale odkładamy to na za parę dni. Nie damy rady.

W sumie dobrze, że nigdzie nie poszliśmy, bo po okolicy niosą się grzmoty. Zaczyna kropić i dość mocno się błyska nad górami. W sumie tam gdzieś za pasmami górskimi leje, natomiast tutaj w Leh tylko postraszyło. Czas dalej odpoczywać i się aklimatyzować. Jutro czeka nas wjazd na 5600m n.p.m. Trochę mam pietra. Ale może będzie dobrze.

21.07.2015 (wtorek)

Budzę się ponownie kilka razy w nocy i niestety biegam do łazienki. Kończy się to tym, że o 6 rano ładujemy w lokalnym szpitalu u lekarza. Szpital jak na takie miejsce niezły, choć wygląda trochę jakby był gdzieś z lat pięćdziesiątych. Na dodatek z sufitu kapie woda po nocnych opadach deszczu. Wolałabym tu na chirurgię nie trafić. Choć mimo, że jest już 6 rano wszyscy śpią. Dla mnie specjalnie muszą obudzić lekarza, który prycha i kicha niemiłosiernie. Nie jest stąd i klimat mu nie służy. Lekarz ordynuje mi leki i odsyła na półgodzinne oddychanie tlenem z butli. Zostaje skierowana do pokoju niczym izba przyjęć. Za czysto to tu nie jest. Dostaję również 2 zastrzyki, przynajmniej tego nie zwymiotuję. Oby tylko mnie czymś tu nie zarazili, tym bardziej, że machają tymi strzykawkami jak popadnie i nie używają rękawiczek. Ale wizyta plus leki są za darmo. Jednej rzeczy tylko nie ma więc kupujemy w jednej z aptek naprzeciw szpitala. Nie mają drobnych monet, to resztę wydają w cukierkach. Ogólnie nic nie musimy w szpitalu płacić. Jeszcze lekarza pytam czy w takim razie mogę dzisiaj jechać do Nubry. Lekarz twierdzi, że po tlenie i zastrzykach mi się polepszy i mogę jechać.

Wracamy do hotelu na 40 minutową drzemkę. Potem wstajemy. Uff, faktycznie pomogło i czuję się zdecydowanie lepiej. Zjadamy szybkie śniadanie w postaci chleba tostowego z mangowym dżemem. Zostawiamy większość naszych rzeczy w hotelu, a zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy na ową wycieczkę. Przy wyjściu z hotelu spotykamy małżeństwo Francuzów i razem idziemy do agencji turystycznej, gdzie już czeka na nas wygodne auto i ruszamy w kierunku Nubry. Droga cały czas pnie się do góry. Cały czas skalistymi zboczami. Człowiek całą tę drogę musiał po prostu wyrąbać w zboczach skalnych, więc nie ma co się dziwić, że często słyszy się, że drogi są nieprzejezdne bo zeszły lawiny. Tu praktycznie coś takiego jak asfalt nie istnieje. Jedzie się po gruntowej drodze ze skał, kamieni, żwiru. Całe auto podskakuje na każdym wyboju. Momentami trzeba się mocno trzymać inaczej wali się głową w dach samochodu.

Przy drodze co chwilę spotykamy pasące się na trawiastych skrawkach całe stada osłów. Nic sobie nie robią z tej wysokości. Po pewnym czasie dojeżdżamy do pierwszego check pointa, gdzie są sprawdzane rządowe pozwolenia na przejazd. Niestety musimy czekać tu 45 minut, bo szlaban otwierają dopiero o 10 rano. Za nami co chwilę dojeżdżają kolejne samochody z zagranicznymi i hinduskimi turystami. Kolejka robi się gigantyczna. Rozumiem, czemu więc wyjechaliśmy tak szybko. Inaczej potem wleklebyśmy się za tym całym peletonem, a tak jesteśmy na jego przodzie. Chodzimy po tej surowej okolicy w oczekiwaniu kiedy będzie można ruszyć dalej, ludzie poubierani, bo dość zimno jeszcze. Poza tym dopiero zaczyna się podnosić mgła. W końcu po 10:00 droga zostaje otwarta, po sprawdzeniu dokumentów możemy naszym samochodem wspinać się dalej, po serpentynach wyciętych w skale. Widoki za oknem przepiękne. Bardzo wysokie, ośnieżone góry tonące w mgle i chmurach. Tylko ja zaczynam czuć się coraz gorzej. Moja radość z dobrego samopoczucia była krótkotrwała. Zaczynam wymiotować na każdym postoju. Już nie wiem, czy to od żołądka, czy od wysokości. Nawet zdjęć mi się nie chce robić, bo nie mam po prostu na to siły. Droga się więc dłuży, bo w sumie jest monotonna – błoto, mnóstwo kamieni. Od czasu do czasu przy owej drodze stoją koparki, które są tu na wypadek potrzeby odgruzowania

drogi.

Kiedy docieramy na słynną przełęcz Khardung La położona na 5600m n.p.m., która stanowiła w danych czasach część Jedwabnego Szlaku. Błędy w pomiarach i entuzjazm tubylców sprawiły, że ten górski pasaż uważany bywa za najwyższą przejezdną drogę świata i, choć to nieprawda, to przełęcz jest wystarczająco wysoka (5358m n.p.m., a jak utrzymują zwolennicy prymatu Khardung nad innymi „highwayami” nawet 5601m n.p.m.), żeby zająć równie wysokie miejsce w rankingu najwyższych dróg, choćby i nawet nigdy nie dotarły tutaj czołgi. Dotarli jednak robotnicy i zbudowali kolejną drogę strategiczną, zapewniającą łączność z okolicznymi dolinami i z lodowcem Siachen, co ma podobno pierwszorzędne znaczenie dla obronności Indii. Dla zwykłych podróżników przejazd otwarto w 1988 roku i od tamtej pory, kto czuje się na siłach wskakuje na motocykl, rower, albo rusza autostopem. Pięknie się tędy jedzie i nie chodzi tu, bynajmniej, o komfort przejazdu, ale o roztaczające się wokół widoki. Z Khardung La do Leh jest już tylko rzut beretem – około czterdziestu kilometrów, z czego połowa to całkiem przyzwoita droga, a potem już bywa różnie, w zależności od tego, jak bardzo zimowe śniegi ją podmyły i wypłukały.

Gdyby nie w miarę dostępne przełęcze i ludzki upór w budowaniu dróg tam, gdzie jest to niemożliwe, Ladakh byłby odcięty nie tylko od sąsiedniego Kaszmiru, ale i od reszty świata. Podróżując do i po Ladakhu nie sposób nie „zaliczyć” co najmniej kilku wysokich przełęczy. Wykorzystywanie wysokogórskich przełęczy w celach komunikacyjnych nie jest wymysłem ani współczesności, ani inżynierii wojskowej. Odseparowane od świata miejsca i kraje mogły handlować, eksportować i importować, a także robić rozpoznanie cywilizacyjno-kulturowe wyłącznie dzięki istnieniu stworzonych przez bogów naturalnych dróg górskich, choć ich przebycie wiązało się kiedyś z podjęciem wielkiego ryzyka. Dziś na wiele górskich przełęczy nałożyło się również wiele zaznaczonych na mapach dróg, niejednokrotnie noszących nazwę highway. Czasem jest to asfalt, czasem tłuczeń, na innym odcinku luźno ułożone kamienie i skały, gościńce ziemne itd., ale drogi są i w czasach pokoju odbywa się na nich ożywiony ruch nie tylko militarny, ale również handlowy i turystyczny. Łatwo zauważyć, że w Ladakhu każda mijana przełęcz ma w swojej nazwie „La”, czyli przełęcz.

Jestem ledwie żywa. Wytaczam się z samochodu, aby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Czuję się jakbym była pijana. Nogi mi się płaczą, ciężko się oddycha. Na tej wysokości jest podobni niespełna 40% tlenu. Ja nie wiem jak himalaiści wchodzą, powtórzę raz jeszcze WCHODZĄ, na ośmiotysięczniki, skoro ja jadąc samochodem ledwie żyję.

Każdy z turystów docierających na szczyt robi zdjęcia pod pamiątkową tablicą, przy której powiewają tysiące buddyjskich chorągiewek. A niedaleko stoi tablica z napisem, że przebywanie tutaj dłużej niż 20-25 minut może zagrażać zdrowiu i życiu. Fajne ostrzeżenie. W małym sklepiku, który jest jednocześnie kawiarenką kupujemy czekoladowe batoniki, aby dodać sobie choć trochę energii. Nawet Paweł zaczyna się gorzej czuć, ale przynajmniej ma siłę biegać i robić zdjęcia. Mnie się kręci w głowie, o żadnym bieganiu nie ma mowy. Na dodatek jest tu dość chłodno, wszędzie dookoła śniegi, które jeszcze nie stopniały. Jednak widoki są genialne. Same góry, pokryte śniegiem. Jednak nie miałabym ochoty zdobywać je piechotą. Masochistą nie jestem, a i tak biorąc pod uwagę jak się czuję, a jednak tu jestem, to chyba coś trochę z masochisty mam...

Wsiadamy do samochodu, a właściwie się wtaczam. Kątem oka widzę za oknem coraz większe masy śniegu. Samochód ledwie sobie radzi na błotnisto-śnieżnych koleinach. Jedziemy niczym worki z kartoflami. Ale mnie to jakoś nie obchodzi. Z tego wszystkiego zasypiam. Może jak się obudzę będzie lepiej.

Kiedy w końcu zjeżdżamy trochę niżej i docieramy do miejscowości Khardung, gdzie jest chwilowy postój na lunch. Jednak nie korzystam z tej przyjemności. Zjem dopiero jak się lepiej poczuję. Szukam za to ustronnego miejsca aby trochę powymiotować. Znajduje przepiękne miejsce na malutkim potoczkiem z widokiem na ośnieżone góry. Świetnie... nie ma to jak cudny pejzaż i zmagania z... no właśnie chyba jednak z wysokością. Ciekawe dlaczego wymiotuję tylko wodą. No cóż będzie trzeba pić jeszcze więcej wody aby się nie odwodnić. Choć i tak już biję rekordy w

ilości wypitej dziennie wody. Nogi mi się dalej płaczą, wsiadamy i dalej jedziemy w dół. Na szczęście. W końcu zaczynam czuć się lepiej. I mogę podziwiać pojawiające się widoki Doliny Nubry. Są jak nie z tej ziemi. Dolina rzeki, a dookoła wysokie góry. Jedno z najbardziej wyjątkowych miejsc w Ladakhu, otwarta dla ruchu turystycznego dopiero w roku 1994. Dolina położona jest na wysokości około 3 050 m n.p.m., u zbiegu rzek Shyok i Nubra, które stwarzają wyjątkową konfigurację terenową oraz klimat oddzielający dolinę od pasma Karakorum. W bezpośredniej bliskości rzeki jest to dolina rolnicza, co stanowi kontrast w stosunku do reszty Ladakhu. Wyższe zbocza gór są pustynne, ale też w inny sposób – występuje tam klasyczna pustynia piaskowa z wydrami. Do Nubry wjeżdża się przez przełęcz Khardung La, najwyższa w Ladakhu. Dolina stanowi jedno z połączeń Ladakhu z Pakistanem – przez sławny Lodowiec Siachan oraz z Chinami przez równie popularne przełęcze Karakorum i Saser.

Koło godziny 15, docieramy do miejscowości Diskit, w której znajduje się przepiękny tybetański klasztor, wkomponowany kaskadowymi budynkami w skalne zbocze. Cały klasztor składa się z wielu budynków. W większości z nich znajdują się mniejsze lub większe świątynie, pokoje mnichów, a nawet kuchnia. Podobno jest tu około 60 mnichów.

Klasztor w Diskit jest najstarszym klasztorem w Dolinie Nubry. Należy do szkoły Gelukpa czyli żółtych czapek. Został stworzony przez Changzem Tserab Zangpo w XIV wieku. Jest bliźniaczą gompą z Tiksey. W klasztorze w jego głównym holu modlitewnym znajduje się posąg Buddy Maitreya. Klasztor otrzymał 8 kilogramów złota do udekorowania posągu w 2006 roku. Skończono posąg w 2010 roku na przyjazd Dalajlamy. Stworzenie posągu ma trzy funkcje dla lokalnej społeczności – opiekę nad Doliną Nubry, zapobieganie wojnom z Pakistanem oraz promowanie pokoju na świecie.

Gompa - wyraz pokrewny sanskryckiemu gumpa – jaskinia – tybetańskie określenie buddyjskiej świątyni wewnątrz klasztoru lub poza nim, będącej jednocześnie ośrodkiem studiów i miejscem, w którym odprawiane są wspólne religijne ceremonie, bądź indywidualne praktyki.

Gompa w Diskicie jest usytuowana na zboczu góry tuż obok doliny rzeki Shyok, na jej prawym brzegu. Obszar ma łagodny klimat, który sprzyja roślinności. Sama dolina przed wiekami była częścią Jedwabnego Szlaku. Dolina jest też naturalnym środowiskiem dwubarwnych wielbłądów – baktrianów. Dojazd do Doliny Nubry jest możliwy między czerwcem, a wrześniem. Natomiast w pozostałych miesiącach zależy od warunków pogodowych, gdyż często na skutek opadów śniegu droga jest zamknięta.

Z klasztorem Diskit wiąże się legenda. Wierzy się, że w tym miejscu żył diabeł, który został zabity, ale odradzał się kilka razy. Legenda mówi, że w klasztorze znajduje się głowa i ręka demona.

Trafiamy akurat na tybetańskie mantry mnichów. Najpierw jeden z mnichów z tarasu dmie w wielką muszlę w kierunku doliny obwieszając modły. Mantry mnichów są niczym chór na głosy. Mnisi siedzą w sali wyłożonej dywanami, przy niskich stolikach i recytują owe mantry, przekładając kartki z kolejnymi fragmentami owych modlitw. Kartki są wąskie ale za to długie. W czasie owych mantr popijają z miseczek wodę, a jeden z mnichów z wielkim czajnikiem dolewa im wody. Czar mantr jest jedyny w swoim rodzaju. Siedzimy w sali razem z mnichami i słuchamy i recytacji, która jest niczym śpiew. Ma coś w sobie uspakajającego. W różnych miejscach klasztoru znajduje się cała masa butelek z olejem. Jak zdążyłam zauważyć ten olej jest wlewany do „świeczek”, stąd wiele miejsc jest dość mocno okopconych. W salach modlitewnych, żeby ściany nie były okopcone, owe świecek stoją w czymś co przypomina piecyk z kominem odprowadzającym sadzę i dym poza obręb pomieszczenia.

Poniżej klasztoru znajduje się wielki czerwono-złoty Budda, który góruje nad okoliczną doliną. Trochę surrealistyczny krajobraz. Jeden z mnichów mówi nam, że pod koniec lipca w Leh ma być Dalajlama. Świetnie trzeba będzie to sprawdzić i jeśli faktycznie będzie, spróbować go zobaczyć.

Po obejrzeniu klasztoru jedziemy do pobliskiego Hunder. Miejscowość ta jest słynna ze

względu na śródgórskie pustynie piaszczyste oraz występowanie dzikich wielbłądów. Pustynia ta powstała na skutek małych opadów w dolinie śródgórskiej otoczonej wysokimi górami. Góry zatrzymują wilgotne powietrze, więc do doliny schodzi już tylko suche. Piasek natomiast to nic innego jak materiał z niszczących gór. Materiał skalny z gór przenoszony przez wiatr staje się coraz mniejszy aż w końcu tworzy śródgórskie wysokie wydmy. Niesamocie wygląda taka pustynia wśród gór. Jak już wcześniej pisałam dolina jest rolnicza tylko ze względu na to, że przepływają przez nią dwie rzeki Nubra i Shyok, natomiast opadów deszczu tu praktycznie nie ma. Po drodze udaje nam się je nawet zobaczyć – dwugarbne baktriany.

Jedziemy wzdłuż pustyni, aby tuż przed Hunder wjechać właśnie na ten obszar pustynny. I tu mi mina rzednie, bo... na tym końcu świata owe miejsce wypełnione jest zgrają wrzeszczących Hindusów głównie z Delhi, która urządza przejażdżki na wielbłądach. Można tutaj pójść do namiotu i obejrzeć występy lokalnej ludności. Jest też stoisko strzelania z łuków do tarczy. Hindusi bawią się tu w najlepsze. Mnie się to trochę w głowie nie mieści.

Nasz kierowca znajduje nam tani nocleg z wyżywieniem, bo tu nigdzie nie ma czegoś takiego jak restauracja. W oczekiwaniu na obiad, siedzimy i dyskutujemy z Francuzami. W pewnym momencie przychodzi nasz kierowca i dowiadujemy się, że jutro jest jakiś strajk i nie pojedziemy do Sumur, bo wszystkie drogi będą zamknięte. Najgorsze czego się dowiadujemy, to, że musimy wyruszyć stąd o 3 nad ranem do Leh. Inaczej nie będziemy mogli wrócić jutro do miasta. Szkoda takie piękne widoki tutaj, a będziemy musieli je opuścić. Masakra jakaś. Nie pozostaje nam nic innego jak zjeść obiad. W końcu jem posiłek ze smakiem, a jest w czym wybierać: ryż, duszone warzywa, ziemniaki i parę innych dań.

Skoro trzeba wstać o 3 nad ranem idziemy dość szybko spać. Zresztą prądu tu i tak nie ma. Obiad jedliśmy przy świeczkach. Dobrze że mamy latarki, bo inaczej nawet umyć się w łazience byłby problem.

22.07.2015 (środa)

2:45 dzwoni budzi. Pierwszy raz od paru dni przespałam tyle godzin bez budzenia się przez całą noc. Zbieramy swoje rzeczy i szukamy naszego kierowcy, bo chyba gdzieś śpi. Wszędzie ciemno, prądu brak więc chwile zajmuje nam znalezienie go.

Wyjeżdżamy w czarną noc. Mamy dość znaczne obawy, że ktoś chce nasz oszukać. Nikt oprócz nas nie jedzie w czarną noc. Wczoraj była tu cała masa samochodów, a teraz lipa. Jedziemy samo. Dopiero po dłuższym czasie widzę jakieś dwa punkty świateł samochodów jadących za nami. Może faktycznie jest jakiś strajk. Szkoda, że noc i za oknem nic nie widać. Takie piękne krajobrazy tu wczoraj były. Jedziemy i jedziemy, po dwóch godzinach powoli zaczyna świtać. Koło 5:30 dojeżdżamy do szlabanu. Wjazd na górską drogę mają otworzyć koło 6 rano. Wszystko tonie we mgle. Za nami ustawia się kilak samochodów. W końcu szlaban zostaje podniesiony i możemy ruszać w szaleńczą powrotną drogę do Leh. Obym tylko przetrwała wjazd z powrotem na 5600m n.p.m.

Z początkowo dobrej asfaltowej drogi wracamy na wczorajsze wyboje. Im wyżej tym więcej pojawia się śniegu. Momentami widać, jak śnieg w okresie letnim topnieje i przed drogą płyną potoki. W pewnym momencie nasze auto grzęźnie w śniegu i kierowca musi kilka razy cofać, aby przejechać. Momentami droga jest tak wąska, że albo po jednej stronie mamy zbocze skalne, a po drugie po prostu przepaść. Jeden błędny ruch na tej srodze ze śnieżną breją i spadamy... Co widać od czasu do czasu w dole... leżą pojedyncze samochody, które się po prostu sturlały.

Doliny wypełniają poranne chmury i mgła. A dookoła te przepiękne ośnieżone szczyty sześciotysięczników. Czuję się lepiej, dzięki czemu mogę oglądać dzisiaj to, co wczoraj przespałam. Zmieniłam sposób oddychania na powolne, ale za to głębokie oddechy. I mi to

naprawdę pomaga. Kiedy dojeżdżam na przełęcz, oczywiście znowu mi się nogi płączą i kręci w głowie, ale daję radę. Nie to co wczoraj. Za jakiś czas będzie już tylko lepiej. Krótki postój na przełęczy i zjeżdżamy w dół. Wzdłuż drogi strome ściany skalne, które pokrywa kamienne gruzowisko. Ciekawe jak często to się sypie na drogę. Taki kawał skały mógłby po prostu zmieść auto z drogi.

Wypatruję jaków, kiedy je w końcu widzę, jestem dość zdziwiona, bo myślałam, że to wielkie zwierzę. Tutejsze jaki są zdecydowanie mniejsze niż te które widziałam w telewizji. Udaje mi się po drodze wypatrzeć również świstaki oraz drogę przecinają nam piękne kozice z zawiniętymi rogami. Chyba na dobre wracam do formy.

W końcu po kilku godzinach jazdy widać Leh, ale jedziemy jeszcze godzinę. Wielkość gór zmienia tutaj niestety perspektywę. Wszystko wydaje się w miarę blisko, a okazuje się, żeby dojechać trzeba poświęcić na to sporo czasu. Zjeżdżamy więc serpentynami do miasta. Jednak ku naszemu zdziwieniu nie dojeżdżamy do Leh. Na jednej z ostatnich serpentyn droga jest zatarasowana samochodami i ludźmi. Kiedy dojeżdżamy ludzie zbiegają się do samochodu i coś krzyczą do kierowcy. O mało co gość nie zostaje przez nich pobity. Podobno to za to że ośmielił się wieść kogoś, a dzisiaj niby jest strajk. Wszystko ma stać. Musimy do miasta iść pieszo. Grunt, że to niedaleko. Zabieramy nasze skromne bagaże i maszerujemy do naszego hoteliku. Kiedy docieramy do Leh okazuje się, że nie tylko nie mogą jeździć samochody, ale dosłownie wszystko jest zamknięte, włącznie z restauracjami, sklepikami. Ciekawe o co tu chodzi. Teraz to już w ogóle jesteśmy tym zaintrygowani.

Kiedy wracamy do naszego hotelu Bimla, nasz gospodarz Bam przygotowuje śniadanie dla gości hotelowych, bo i tak nigdzie nic nie zjemy. Po owym śniadaniu w kuchni bama idziemy się zdrzemnąć. Chyba sen był nam potrzebny, bo zasypiamy na całe cztery godziny.

Kiedy się budzimy postanawiamy przejść się do centrum i zobaczyć, czy już coś otwarte. Jednak nic. Podobno nawet do pałacu na zboczu góry nie da się wejść. Pozostaje nam w takim razie zobaczyć Shanti Stupę. Jak widać wszyscy turyści zostali uziemieni i płączą się bez celu po mieście. Większość z nich idzie właśnie zobaczyć Shanti Stupę.

Stupa – najprostszy typ budowli sakralnej buddyjskiej, rzadziej dżinijskiej, wywodzącej się z Indii, pełniącej funkcję relikwiarza. Ze względu na architekturę jest niezwykle odporna na trzęsienia ziemi. Na terenie Sri Lanki ten typ budowli nosi nazwę dagoby, w Tajlandii – czedi, w Indonezji – candi, w Bhutanie, Nepalu i w Tybecie – czortenu, w Mongolii – subrganu. Buddyjska stupa symbolizuje oświecony stan Buddy.

Dla buddystów stupa jest materialną reprezentacją doskonałego oświecenia. Obrazuje przekształcenie wszystkich emocji i żywiołów w oświeconą mądrość i pięć rodzin buddów. Pierwszym etapem budowy stupy jest złożenie pod fundamentem skarbów i przedmiotów odpowiadających jej funkcji. Jeśli stupa ma pełnić np. rolę "strażnika przed złymi siłami" składa się tam oprócz złota czy srebra także białą broń. We wnętrzu stupy umieszcza się relikwie Buddy lub sutry. Buddyści odwiedzają stupy, jako symbole obecności samego Buddy, trzykrotnie je okrążając zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, aby gromadzić dobroczynne przyczyny karmiczne.

Pod Shanti słyszę 3 Hindusów, którzy się kłócą w hindi, że mają wakacje, a 2 gości z 3 nie chcą wejść na górę, bo do stupy prowadzi kilkaset stopni. Zaczepiam ich i chwilę rozmawiamy. Goście są zadziwieni tym, że gdzieś tam w Polsce ambasady Indii sponsoruje Polakom kurs nauki hindi.

Potem włączę do góry. Uff jednak mój organizm ma problem w tym rzadkim powietrzu z pokonywaniem skalnych stopni. Trochę to trwa, ale w końcu udaje mi się wejść. Paweł na górze odkrywa, że w jednym z budynków ukradkiem za kotarą można kupić wody. Uff super. Shanti Stupa nie jest oryginalną budowlą Ladakhu, jest tworem innej kultury. Tak, obiektywnie rzecz biorąc, to prawda. Shanti Stupa nie jest przykładem architektury ladakhijskiej, została bowiem zbudowana przez japońskiego mnicha z tradycji zen w 1991 roku. Prowadzi do niej 500 stromych schodków. Czcigodny Gyomyo Nakamura, który też ukochał Ladakh, postawił tę stupę w intencji pokoju

na całym świecie. Słowo „shanti” oznacza właśnie pokój. Ladakijsko-buddyjskie gompas, meczety, hinduistyczna świątynia, chrześcijański kościół, Shanti Stupa wraz z gompą zen, buddyjskie klasztory różnych szkół, klasztor koreański, ośrodki medytacyjne, kamienie „mani”, pola białych stup na przedmieściach, niebosiężne góry, rozległe przestrzenie, cisza, którą można „usłyszeć”

Widoki spod stupy zapierają dech w piersiach. Pięknie się prezentuje Leh z tej perspektywy w otoczeniu gór. Środek regionu zielony, ale obrzeża skalna pustynia. Brąz, brąz skał ciągnie się po horyzont przeplatany śniegiem na szczytach. Strasznie surowy ten krajobraz. Gdyby nie taka zielona wyspa w postaci miejskiej oazy to panuje tu krajobraz jak z innej planety.

Wracamy w dół. Nic faktycznie nie jeździ za wyjątkiem lokalnych mieszkańców na motorach. Ludzie się snują. Ciekawe jak ludzie dojechali do miasta z porannych samolotów?

Jedna dziewczyna wskazuje nam miejsce, gdzie za bramą jest czynna restauracja. Nam chce się zimnej coli. Dosiadamy się do gościa Emilia z Ameryki. Opowiada nam, że ten strajk to bardziej działania mafii. To walka między Hundusami z wnętrza Indii, którzy chcieliby tu zbijać biznes, a dość mocno zastraszonymi lokalnymi mieszkańcami. Emilio mówi, że rano kiedy jadł śniadanie to do restauracji wpadli jacyś kolesie i zdemolowali pomieszczenie, z racji tego, że było czynne i sprzedawało jedzenie. Masakra jakaś. A tak tu wydaje się być sielsko...

Wracamy do Bimli. Nasz pan Bam robi nam obiad i zaprasza nas do „sitting roomu”. Śmiać nam się chce bo Bam zamienia literkę S na „sz”. I wychodzi, że zamiast zaprosić nas do salonu zaprasza nas do... głównianego pokoju. A pokój niczego sobie cały w dywanach i niziutkich stoliczkach. Dla mnie masakra, bo ja nie mogę siedzieć po turecku. Nie mogę zgiąć tak kolana. W pokoju na ścianach miliony obrazków z Jezusem. Co ciekaw cała tutejsza rodzina to chrześcijanie. A nasz Bam studiuje biblię. Hmm ciekawe to. Razem znam obiad je małżeństwo Francuzów oraz dwie Japonki. Serwują nam ryż, ziemniaki z warzywami, krem curry z groszkiem i sojowymi pierożkami. Naprawdę dobry obiad.

A Bam okazuje się pracować tutaj tylko w sezonie przez pół roku. Właścicielem hotelu jest jego wujek, a Bam przez resztę roku mieszka u siebie w Nepalu. Bam stara się mówić po angielsku, ale jego język jest śmieszny. Co chwilę do mnie mówi „sziszter”, czyli siostrę.

Po obiedzie idziemy do agencji turystycznej, w końcu po 17 zostaje otwarta. Załatwiamy wyjazd do Pangong Tso na jutro. Nie ma być już żadnego strajku, czy czego tam innego. Wyjazd ma się odbyć bez przeszkód. Znowu wyjazd załatwiamy z Francuzami.

Wieczorem za oknem znowu w górach widać błyskawice i słychać grzmoty. Potem pada przez jakiś czas. W pewnym momencie coś nam plumka w telefonie. A co to plumka skoro telefon tu nam nie działa? Eureka to internet!!! Możemy dać znać, że żyjemy, wrzucić parę informacji na naszą stronę internetową.

23.07.2015 (czwartek)

Wstajemy o 7:30, głowa mnie lekko ćmi, ale przynajmniej dzisiaj przespałam bez budzenia się całą noc. O 8:30 wyjeżdżamy spod agencji turystycznej z Francuzami nad Jezioro Pangong Tso. Droga najpierw prowadzi w kierunku Manali. Dłuższy czas jest to lepsza lub gorsza droga, mimo że jest to główna droga łącząca Ladakh z Manali, i dalej w kierunku nizinnych Indii.

Za Leh odbijamy do Hemis – wielkiego klasztoru ukrytego wśród gór położonego około 47 kilometrów od Leh w górskim wąwozie. Klasztor w Hemis jest uważany za jeden z największych klasztorów Ladakhu. Datowany jest na rok 1630 i ufundowany przez pierwszą reinkarnację Stagsanga Raspa Nawang Gyatso. Klasztor ten należy do buddyjskiego odłamu kagyupa.

W środku większych i mniejszych świątynek siedzą pojedynczy mnisi i recytują praktycznie w samotności mantry uderzając w gong. Przez okna głównej sali modlitwowej wpadają promienie słoneczne, nadając temu miejscu magiczny charakter. Okienko jest tylko w suficie więc wpadające promienie do ciemnego pomieszczenia wręcz widać. Oglądamy kolejne sale modlitw, mnie domostwa oraz kuchnię.

Stąd jedziemy dalej droga prowadzącą w kierunku Manali. Droga powoli zaczyna piąć się w górę. Najpierw jest to asfaltówka, ale potem robi się coraz gorsza. Aż trudno uważać tę drogę za jedyną i główną drogę łączącą górzysty Ladakh zresztą Indii. Co jakiś czas mijamy inne mniejsze naskalne klasztory buddyjskie. Jutro wracając do Leh mamy pojechać zobaczyć jeszcze dwa kolejne. Na rozstaju dróg dojeżdżamy na pierwszy check point, gdzie nasz kierowca zanoszą paszporty i kopie zezwoleń na przemieszczanie się po tej trasie. No to wjeżdżamy teraz na kolejny teren górski.

Drogę umilają nam znaki organizacji BRO, które w dość dowcipny sposób informują ludzi jak jechać, aby było bezpiecznie. Hasła dotyczące prędkości, picia alkoholu, pospiechu itp. Fajna sprawa. Tylko, że sam wypadek można spowodować, jadąc i czytając te napisy, bo faktycznie są wciągające. Tym bardziej, że pojawiają się na okrągło. Jakoś nasz kierowca do tych znaków się nie stosuje. W sumie to ciekawi mnie jak taki kierowca daje radę pracować po 10 godzin dziennie, cały czas będąc czujnym na drodze. Jedną koleśką, czy wyboję i można stracić panowanie nad samochodem, a większość czasu jedzie się na półkach skalnych. Droga gorsza niż do Nubry. Tutaj więcej kamieni na drodze.

Wszystko dookoła to tereny pod wojskową kontrolą, co jakiś czas mijamy jakiś wojskowy obóz. Jak on tutaj wytrzymują, zwłaszcza w okresie zimowym. Poza tym czego chronią? Gór? Tu właściwie oprócz skał nie ma niczego.

Nasza trasa wspina się i wspina aż do trzeciej najwyżej położonej przejezdnej przełęczy Chang La 5300m n.p.m. Przełęcz prowadzi z Leh ku wielkiemu słonemu jezioru Pangong. Jest to podobno trzecia najwyżej położona przejezdna droga świata, w najwyższym punkcie mierząca sobie 5360m n.p.m. Droga Chang La wiedzie przez górskie pustkowia, bez ludzkich siedzib, z wyjątkiem maleńkiej osady Tangtse, można tu jednak spotkać czasem nomadów z plemienia Changpa. Według legendy, żył tu kiedyś, choć nie wiadomo dokładnie kiedy i gdzie, pewien sadhu, Changla Baba, który był na tyle wielkim guru, że jego imieniem nazwano przełęcz, ale z legendą tą jest podobnie jak z wysokością przełęczy Khardung, bo imię tajemniczego mędrca znaczy tyle, co Baba (czcigodny ojciec) ze Wschodniej Przełęczy. Dookoła śniegi, nawet o kilkumetrowej grubości. W głowie zaczyna szumieć mi od wysokości i braku tlenu. Jest tu na tej przełęczy niewielka buddyjska świątynia, gdzie powiewają tysiące chorągiewek. Na przełęczy wypijamy herbatkę i zjemy czekoladki. Czas jechać dalej.

Tuż za przełęczą krajobraz zaczyna się zmieniać. Przed nami pojawiają się nagie skalne ściany bez żdźbła zieleni. Pod wpływem promieni słonecznych skały przybierają różne kolory. Przepięknie to wygląda. Tylko doliną płyną strumienie, a to pozwala, aby tam rosły dywany zielonej trawy. Ale tylko trawy... Na tej trawie pasą się konie, krowy, osły no i jakoś, ciekawie kontrastuje to z otaczającymi surowymi górami. Ciekawe co dzieje się w okresie zimowym z tymi zwierzętami. Co jedzą? Gdzie mieszkają? Chyba zapasów jedzenia dla zwierząt z tej niziutkiej trawy nie da się zrobić. Nie wiem czy te zwierzęta są wszystkie dzikie, bo jakoś właściciele nigdzie nie widać. Z drugiej strony gdzie pójdą skoro tylko w wąskiej dolinie jest woda i jedzenie.

Jedziemy tymi terenami przez kilka godzin z nosem przyklepionym do szyby. Droga raz lepsza raz prowadząca po wertepach. I znowu trzeba się trzymać, aby nie wyrzucić głowy w dach. Co jakiś czas spotykamy inne samochody z turystami. Latakijczycy ubolewają nad zalewem Ladakhu przez turystów indyjskich. Zdecydowanie wolą zagranicznych turystów, bo ci przyjeżdżają tutaj zobaczyć region, kupić pamiątki, wycieczki samochodami. Natomiast Hindusi z bogatszej sfery wpadają do Ladakhu są głośni, głównie podróżują na motorach, aby mieć fun. Albo też wręcz przyjeżdżają własnymi samochodami, nie dając miejscowym nic zarobić, a jeszcze niszczyć im środowisko. Natomiast zagraniczny turysta to inna bajka. Nie dość, że wypożycza samochody, to jeszcze robi wycieczki trekkingowe po górach. Tak w ogóle to ciekawa rzecz, którą można zaobserwować po tych kilku nich w Ladakhu, to to, iż jest tu zdecydowanie czysto. Wszędzie są tablice przypominające o ochronie przyrody, a sami ladakijczycy nie są nachalni jak Hindusi. Ladakh to miejsce w ogóle nie przypominające Indie, to tak jakby to był całkiem inny kraj.

Kiedy tak sobie jedziemy w dołku przy drodze spotykamy stojącego, ślicznego, brązowego świstaka. Nic sobie nie robi, że obok niego przejeżdżamy, a samochód zwalnia, abyśmy mogli zrobić sobie zdjęcia. Zresztą podczas całej naszej drogi co jakiś czas zatrzymujemy się aby podziwiać krajobraz i zrobić trochę zdjęć.

Coraz częściej spotykamy na trasie obozy wojskowe. Nawet przy jednym udaje mi się zrobić kilka zdjęć. To chyba nie jest dozwolone, ale fotka fajna. Właśnie trwa jakieś szkolenie pod przysłowiową chmurką, gdzie żołnierze uczyli się rozkładać i składać sprzęt strzelniczy. Skąd tu tyle wojska? Niedaleko znajduje się sporna granica z Chinami. Zresztą kawałek dalej jest sporna granicą z Pakistanem. Jak popatrzeć na mapy to widać wszędzie przerywane linie spornych granic. O co tu się spierać? O niedostępne górskie tereny? Nic tu nie ma, a ludzie, którzy nawet tu mieszkają w sumie nie mają nic wspólnego z Indiami, Chinami, czy Pakistanem, bo żyją tu od wieków.

Mijamy również niewielkie osady, składające się z 3-4 chat. Nic więcej. Mijamy też pogrzeb. I w tym momencie dochodzi do mnie sam problem z pogrzebaniem zmarłego w takim terenie. Skoro tu praktycznie nie ma gleby tylko skała, to pozostaje zmarłego przykryć kamieniami. I to wszystko.

W jednym miejscu robimy chwilowy postój na zupełną. Po paru godzinach docieramy do jeziora Pangong Tso. Już z daleka widać niesamowite kolory wody i otaczających je gór. Pojawiają się obozy z namiotami bo tu domów już praktycznie nie ma. Wszyscy turyści śpią w namiotach lub nielicznych biednych homestayach. Zaraz na początku jeziora, znajduje się knajpka o nazwie „Trzej Idioci”, bo tutaj kręcono jedną z bollywoodzkich komedii. Tutaj też turystycznie przejechać się na jakach. Co masowo oczywiście czynią Hindusi.

Nad jeziorem mocno wieje wiatr. Pangong Tso ma niesamowity ciemny kolor. Jezioro Pangong to swego rodzaju wąski pas wody. Rozciąga się na długość aż 134 kilometrów, a w najszerszym miejscu ma ich zaledwie 5. Jest słonym jeziorem bezodpływowym. Tylko jedna trzecia jego powierzchni należy do Indii, pozostała część znajduje się w Tybecie. Położenie na wysokości 4350 m n.p.m. sprawia, że klimat jest tam bardzo surowy, a zimą temperatury spadają tak nisko, że woda w jeziorze zamraża. Spangmik otaczają lodowce i pokryte śniegiem szczyty gór Pang-Gong. Po północnej stronie jeziora znajduje się pasmo Chang-Chenmo,

W słonej wodzie jeziora jest bardzo mało życia. Nie ma tu żadnych ryb, za wyjątkiem kilku skorupiaków. Chociaż ten kto tu przyjedzie widzi dużą liczbę kaczek pływających po jeziorze. Wokół jeziora na podmokłych terenach rosną różne gatunki tutejszych roślin. Samo jezioro jest w okresie lata miejscem w którym przebywają migrujące ptaki np. gęś tybetańska. Wokół jezioro można spotkać „kiang” gatunek koniowatych spotykanych w Tybecie, czy świstaki.

Pangong Tso jest regionem spornym. Linia kontroli przechodzi przez jezioro. Część kontrolowana jest przez Indie, druga część przez Chiny. Stąd można dojechać tylko do Spangamik, dalej obcokrajowcy nie mają wstępu. 20 października 1962 roku odbyła się tu militarna akcja między wojskami chińskimi, a indyjskimi. Owa linia dzieląca sporne terytoria cały czas delikatną sprawą.

Jedziemy jeszcze parę kilometrów wzdłuż brzegu i docieramy do miejscowości Spangamik. To ostatnia miejscowość, do której możemy dojechać. Dalej turyści nie mogą. Niedaleko stąd jest owa sporna granica z Chinami. Tutaj też są głównie namioty, ale my nocujemy w domu lokalnych mieszkańców. Warunki mają tu bardzo skromne. Główny korytarz to klepisko. To tutaj znajduje się skład jedzenia. Mają trzy miesiące krótkiego lata aby nagromadzić jedzenie na kolejne długie miesiące. Zwłaszcza wtedy kiedy droga zimą do miejscowości jest zamknięta i nie ma możliwości dojazdu. Nie chciałabym tu żyć. Jedną chorobą i przez to, że nie pojedziesz do szpitala, po prostu umierasz i lądujesz pod kupą kamieni. Dzieci większość roku spędzają w szkole w Leh.

Przy domu znajdują się małe budyneczki, w których w zagrodach siedzą zwierzęta. Hmm dalej nie wiem, co jedzą zimą w tym terenie o tak słabych możliwościach wyżywienia kogokolwiek.

Nasza gospodyni pierze w strumyku, myje włosy w strumyku. Obok domu suszą się odchody zwierząt w formie krowich placków. Zimą to można wykorzystać jako opał, bo przypominam, że nie ma tu żadnych drzew. Przed domem siedzi zasuszony dziadek, chodzący o lasce. W sumie może wygląda jak dziadek, a wcale taki stary nie jest, tylko tak postarza go panujący tu klimat. Po domu kręci się młodzież, podobno mają teraz krótkie wakacje, więc przyjechali do domu z Leh.

Przed domem mają ciekawe urządzenie. Coś co przypomina antenę satelitarną, zbudowane z blaszek pochłaniających promieniowanie słoneczne. W środku stoi garnek. Najprawdziwszy szybkowar. Na wysokości 4300m n.p.m. Szybkowar to idealny pomysł. Inaczej obiad gotowałyby się w nieskończoność. A tak dość szybko w szybkowarze zostanie przygotowany. Sprawdzamy z Paweł, czy rzeczywiście się tak szybko nagrzewa w tej „antenie”. Faktycznie po minucie skupiania promieni słonecznych w środku, zaczyna robić się ciepło.

W pokojach na klepisku są dywany. Tu zimą nie ma ogrzewania. Nawet nie chce sobie wyobrazić jakie tu panują warunki podczas zimy. Główny pokój wysłany jest kilkunastoma dywanami, a w szafkach dziesiątki miseczek, kubeczków, garnków. Przy tej biedzie, owa kolekcja robi ogromne wrzenie. Podobno to ta tradycja, kolekcjonowania naczyń. Ich ilość w wielkie szafie, najlepiej na całą ścianę mówi trochę o zamożności rodziny.

Jemy kolację na niskich stolikach, siedząc na dywanach. Jedzenie jest skromne ryż z ziemniakami i soczewicą. Mimo, że skromnie, ale za to nie ostro i smacznie. Wraz z nami w tym samym pomieszczeniu je również cała tutejsza rodzina.

Wieczornego spaceru po okolicy nie będzie, bo wieje mocno i zaczyna padać deszcz. Nad jeziorem pojawia się tęcza.

O 21 idziemy spać, bo i prąd co chwilę znika....

24.07.2015 (piątek)

Śpię do 4 rano, bo budzi mnie potworny ból głowy. Zaraz umrę. Udaje mi się jakoś zasnąć po zaaplikowaniu tabletki przeciwbólowej. Ponownie budzę się o 6:30, głowa boli mniej, ale mimo wszystko boli dalej. Wstaję, robię rundkę dookoła domu naszych gospodarzy, który zrobiony jest z kamienia i gliny. Sufit w pokoju stanowią patyki. Skąd je tu wzięli? Skoro tu nie ma drzew. Moja wędrówka dookoła domu i wdychania powietrza kończy się wymiotami. Diabli mnie niedługo wezmą.

O 8:30 pora na śniadanie. W tym skromnym domu podają jajecznicę z chlebkami ciapati. Po śniadaniu czeka na nas już kierowca, który pojawił się nie wiadomo skąd (ciekawe gdzie spał) i możemy ruszać w drogę powrotną. Niestety to jedyna droga więc wracamy tą samą trasą co wczoraj. Ale w sumie to nie takie złe. Krajobrazy cudne więc będzie można raz jeszcze raz je podziwiać i zapamiętać.

Na drodze jakoś dzisiaj od samego rana większy ruch w obu kierunkach. Kierowcy muszą robić często szybkie uniki, a także głośno trąbić przed każdym zakrętem, aby coś z przeciwnej strony nie wyskoczyło. O wypadek tutaj wcale nie jest trudno. O czym świadczą 3 roztrzaskane samochody wojskowe niedaleko przełęczy. Jak widać po stanie samochodów, spadały tutaj w odstąpię czasu dość dużym. Najwidoczniej to miejsce to taki niebezpieczny punkt tej drogi. Zresztą nie jest to jedyne miejsce na tej trasie gdzie takie samochody leżą. Prawdopodobnie kierowcy spóźnili się chwilę z reflekssem i wylądowali kilkadziesiąt metrów niżej.

Na przełęczy znowu herbatka i czekoladki, a potem znowu w dół. Mijamy wojskowe ciężarówki, jak i kolorowe jadące z zaopatrzeniem. Przy drodze kolejne koparki i spychacze, które naprawiają drogę. Przy tak dużym ruchu ktoś ze sprzętem musi pilnować, aby droga była przejezdna. Zresztą czasem sami kierowcy wysiadają i uprzążają kamienie z drogi. Przy tej drodze sporo pracowników zarówno mężczyzn i kobiet. Dobrze, że tutejsi mieszkańcy są w stanie pracować w tak małej ilości tlenu. Są poubierani na przysłowiową cebulkę. Nie posiadają

specjalistycznego uniformu. Używają swoich ubrań.

Zjeżdżamy z głównej trasy do kolejnego klasztoru Thak Thok w Sakti. Powstał w XVI wieku, a jego nazwa klasztoru odnosi się do skalnego dachu, gdyż dach był wykonany z otaczającego skalnego materiału. Część budynków klasztoru jest wręcz wykuta w skale. W jednym z pomieszczeń widać skalny sufit. Klasztor należy do Ningmapa odłamu buddyizmu. Jest to podobno jedyny klasztor tego odłamu w Ladakhu. Klasztor jest znany z wyrobów z masła jaka szczególnie podczas lokalnych festiwali. Zamieszkuje go około 50 mnichów.

Obok starego klasztoru jest nowy konsekrowany w 1980 roku przez obecnego Dalajlamę. Świątynia jest niewielka. Mnisi nie są w trakcie mantr, ale za to przygotowują ozdoby na odbywający się tu doroczny festiwal za dwa dni, na który mamy zamiar przyjechać, bo to wielkie wydarzenie. Mnisi robią figurki z masła, a następnie farbują naturalnymi sokami np. z granatów, przez co formy uzyskują bordowy kolor. Wszystko to trafi do pobliskiego nowego klasztoru, gdzie ma się odbyć festiwal. Tutaj też praca wre, choć jeszcze sporo pracy przed mnichami. W klasztorze wszystko jest odnawiane. Budynek jest na nowo malowany, wszystkie zdobienia i ornamenty otrzymują dość intensywne kolory. Obok budowany jest murek okalający klasztor. Droga do klasztoru została wysypana kamieniami. W jednej z sal mnisi wyciągają i odkurzają maski, które zostaną wykorzystane do przedstawienia. Zapowiada się ciekawie. Jeden z mnichów dopytuje się skąd jesteśmy. Na wiadomość, że z Polski, mówi że główny mnich tego klasztoru bywa w Polsce, bo ma jakieś kontakty z buddystami w naszym kraju.

Opuszczamy klasztor Thak Thok i jedziemy do niedaleko położonego klasztoru Chemre. Powstał w 1664 roku dzięki Lamie Tagsang Raschenandowi, który zadedykował to miejsce królowie Sengge Namgyal. W klasztorze znajduje się wysoki posąg Padmasambhava – urodzony w królestwie Oddijana, które znajdowało się na terenie obecnego Pakistanu wielki Mahasiddha, który w VIII wieku przeniósł pełen przekaz buddyizmu do Tybetu i Bhutanu, a zwłaszcza nauki Wadžrajany. Klasztor należy do szkoły kagyupa. Klasztor składa się z licznych świątyń, dwóch holów modlitewnych i dużej świątyni.

Pięknie prezentuje się na skale. W środku jest dość skromnie. Znajdują się dwie sale modlitewne z licznymi freskami. Mnisi siedzą sobie na placu i w najlepsze rozmawiają. Ani im w głowie modlić się w tej chwili też potrzebują chwili rozrywki.

Czas wracać do Leh, docieramy do centrum koło godziny 16. Znowu jesteśmy w Bimli. Odbieramy od Bama nasze plecaki z gratami. Dostajemy nowy pokój. Zostawiamy w nim nasze rzeczy i idziemy do knajpki na najbardziej znanej ulicy w Leh Changspa aby zjeść obiad. Mamy ochotę na obiad zapiekany w piecu – ryż, warzywa i mięso. Naprawdę smaczne. Potem czas na odpoczywanie.

25.07.2015 (sobota)

Wstajemy dzisiaj bez pośpiechu. Zamieniamy pokój na ten pierwszy, nasz ulubiony z widokiem na góry i pałac w Leh. Tu okazuje się że wstawiono do pokoju telewizor. Bosko, będzie można oglądać programy w hindi! A jest kanałów powyżej 300...

idziemy na śniadanie do pobliskiej knajpki, na naleśniki z miodem i bananami z sokiem z mango. Potem czas wspiąć się do pałacu na zboczu góry. Zespół pałacowy stanowiący od połowy XVII w. do 1834 siedzibę królów Ladakhu z dynastii Namgyal. Podczas budowy wzorowano się na tybetańskim pałacu Potala w Lhasie. Budowę zamku zlecił król Tsewang Namgyal w 1553. Na miejsce siedziby wybrano Wzgórze Tsemo, wznoszące się nad stolicą państwa – Leh. Do wzniesienia kompleksu użyto kamieni, cegieł wypalanych z gliny oraz drewna. Główny gmach zespołu posiada dziewięć pięter. Niższe były zajęte przez służbę, magazyny i stajnie. W wyższych rezydowała rodzina królewska; umieszczono tam również dwie niewielkie świątynie i salę tronową.

Budowę ukończył bratanek Tsewanga, Sengge Namgyal w I poł. XVII w. Odtąd nieprzerwanie do roku 1834, gdy pałac zniszczył najazd ludu Dogra (z której wywodziła się

późniejsza dynastia o tej samej nazwie) z regionu Dżammu i Kaszmir. Wówczas rodzina królewska przeniosła się do pałacu w Stok, nieco na południe. Odtąd pałac pozostawał zrujnowany.

Obecnie Indyjski Inspektorat Archeologiczny prowadzi renowację kompleksu pałacowego, który jest częściowo udostępniony do zwiedzania. Z pałacowego dachu, gdzie znajduje się punkt widokowy, rozciąga się rozległa panorama na Leh i okolice, m.in na górę Stok Kangri, do podnóżu której w 1834 przeniosła się rodzina królewska.

Idziemy wąską ścieżką w prażącym słońcu i w końcu docieramy na miejsce. W środku za wyjątkiem zdjęć w kilku salach, właściwie nie ma niczego. Wiele „pokoi” jest wręcz w ruinie. Tutaj spotykamy Chinkę, która innemu zagranicznemu turyście opowiada o tym, że chiński Tybet jest teraz zdecydowanie bogatszy niż w Ladakhu. Opowiada jak to jej fantastyczny kraj pompuje pieniądze w miasta Tybetu, aby ludziom żyło tam się dostatnio. Mówi również, że Lhasa, to teraz nowoczesne miasto. Szkoda tylko, że nie mówi, jakim kosztem Tybetańczyków to się dzieje, że to Chiny zaludniają Tybet, aby mniejszość tybetańska nie miała na nic wpływu. I to zapewne lepiej się żyje w tej nowoczesnej Lhasie Chińczykom, a nie Tybetańczykom... Ehh chińska propaganda... ale Chińczycy tego nie widzą.

Co ciekawe jeszcze to tutaj w Ladakhu ceny biletów wstępu są takie same dla lokalnych mieszkańców, jak i zagranicznych turystów. Nie ma tak jak w „Indiach”, gdzie ceny biletów wstępu dla zagranicznych turystów zazwyczaj są 10-krotnie wyższe. Tutaj wszyscy są równo traktowani. To kolejny aspekt, który pokazuje jak Ladakh i jego mieszkańcy różnią się od reszty Indii.

Następnie wdrapujemy się jeszcze wyżej do Kastel Tsemo, gdzie oglądamy trzy niewielkie świątynie. Na górę powiewają setki, jak nie tysiące buddyjskich chorągiewek. Potem postanawiamy iść w kierunku uliczek starego miasta, czyli trafiamy do labiryntu uliczek, chaotycznie poprowadzonych pomiędzy niewielkimi budynkami. Tymi uliczkami z lokalnymi sklepikami i warsztatami docieramy do centrum. Ten labirynt ma swój urok, to tutaj jest część nie-turystyczna, czyli sklepy dla miejscowych.

Centrum czas na małe jedzonko. Akurat to dobry czas, bo nadciągają granatowe chmury i zaczyna padać. Jemy tradycyjne tybetańskie jedzenie – zupę thukpę z warzywami i makaronem, oraz nadziewane mięsem pierożki momo. Do tego pijemy smaczny sok z limonki ze zmieloną miętą. Super smak. Będę musiała po powrocie do domu wprowadzić ten sam sposób na mielenie mięty. W Leh można zjeść każdą kuchnię świata. Od lokalnej tybetańskiej, poprzez indyjską, inne kuchnie azjatyckie, a także włoską pizzę, czy dania izraelskie. Jednak moim zdaniem hitem jest to, że jest tu też kuchnia rosyjska i w jednej z kart znalazłam BORSZCZ. Hehe barszcz z buraków, w Ladakhu...

nie ma to jak dostosować się do rzeszy turystów przybywających tu z całego świata. Co by nie mówić odkąd jeżdżę do Azji, to właśnie tutaj w tak odległym i trudnym miejscu jest największy wybór dań.

Po obiedzie włączymy się dalej uliczkami Leh. Większość sklepikarzy to bogatsi muzułmanie, natomiast lokalni ladakijczycy mają swoje stoiska głównie na bazarach. Ulice, a właściwie chodniki są pełne rozłożonych na ziemi stoisk z różnymi rzeczami to norma. Co można kupić od Ladakijczyków? Są stoiska z warzywami i owocami, minerałami, suszonymi owocami, orzechami, a także pamiątki typowo tybetańskie od grających mis, po biżuterię. Natomiast w lepszych sklepikach muzułmanów można zakupić wszystko poczynając od wszechobecnych szali z paszminy, poprzez dywany, aż po indyjskie ubrania.

Późne popołudnie spędzamy w pokoju oglądając lokalne programy indyjskie. Trafiamy na indyjski Voice of India, co ciekawe wszyscy wykonują tylko indyjskie piosenki, żadnych zagranicznych hitów. Oczywiście kilka piosenek rozpoznaję, bo przecież to indyjskie hity ze znanych filmów.

Wieczorem znowu wychodzimy na ulicę, aby chwilę się pokręcić. znajdujemy przy drodze stoisko muzułmanina, który na przenośnym grillu smaży mięsne baranie sataje. Sam muzułmanin wygląda jak Pasztun z Pakistanu. Ma na sobie szare szerokie spodnie i na to wdzianko aż do kolan i

kamizelkę. A brodę ma typowo arabską. Smakowicie wyglądają owe sataje, więc postanawiamy spróbować. Upieczone dostajemy w gazecie z cienkim ciapaty i sałatką. Na uliczkach płaczą się zagraniczni i hinduscy turyści, którzy wrócili ze swoich górskich eskapad i teraz relaksują się w centrum miasta w licznych knajpkach.

Potem znowu wracamy do pokoju, w telewizji leci Idol Junior, gdzie tym razem występują dzieci i też śpiewają tylko szlagiery indyjskie. Fajnie się to ogląda i słucha, bo jurorzy używają w jednym zdaniu zarówno języka hindi, jak i angielskiego.

Ilekoć przechodzimy przez nasz hotelik, to pan Bam dopytuje się jak tam u nas, czy wszystko w porządku. Fajny gość. Mimo, że nasz pokój jako jedyny posiada telewizor, to i tak nic więcej za to nie płacimy. Dość szybko idziemy spać, bo niestety prąd znika co chwilę. Internetu znowu nie ma, a jak się pojawia to maksymalnie na trzy minuty (i nie jest to przesada) po czym znowu znika i nie wiadomo czy pojawi się za 5 minut, za godzinę czy za parę dni.

26.07.2015 (niedziela)

Pobudka 6:45. Choć już nie śpimy od pewnego czasu, bo sąsiedzi Hindusi po mocnej imprezie, którą zakończyli punktualnie i północy już od 6 rano są na nogach. Jak słyhać, wybierają się gdzieś an wycieczkę, a przy tym robią strasznie dużo hałasu.

Nasz pan Bam, dwoi się i troi. Biega w swoich gumowcach po całym hotelu. Twierdzi, że są wygodne do pracy, bo nie brudzą mu się nogi. Zwłaszcza jak sprząta łazienki. Dzisiaj jakoś sporo ma „emergency work”, czyli pilnej roboty. I chichocząc poleciał dalej do pracy.

Dzień zaczynamy od śniadania w najbliższej knajpce Dolfin, dokładnie 20 metrów od naszej Bimli. Knajpka jest pod drzewami nad potoczkiem. Tutaj na śniadanie można kupić kanapki. Do wyboru do koloru. Zamawiam kanapkę z jajecznicą i warzywami. Pychota. Takich normalnych śniadań mi zawsze w Azji brakowało. A tutaj w Leh oprócz obiadów z międzynarodowej kuchni, spokojnie można zjeść śniadanie po europejsku. Zresztą co druga restauracyjka ma napisane, że jest też niemiecką piekarnią i można kupić pieczywo i ciastka. Wybór też bardzo duży. Pieczywa to tu nie brakuje.

Po śniadaniu idziemy na dworzec autobusowy, aby złapać autobus jadący do Thak Thok na festiwal. Dobrze, że przyszpiliśmy wcześniej, bo miał odjechać o 8:30, a kiedy o 8:10 się zapełnił po prostu ruszył w drogę. Tempo ma masakryczne. Do Thak Thok z Leh jest jakieś 45 kilometrów, a autobus potrzebuje na to prawie 2 godzin. Średnia prędkość coś raptem ponad 20km/h.

Kiedy docieramy do Thak Thok to na miejscu jest już sporo ludzi i samochodów zaparkowanych gdzie tylko się da. Okolice jak to na prawdziwym odpuszczeniu zastawiana straganami. Droga, która dwa dni temu była kamienista dzisiaj jest asfaltowa! Wzdłuż niej stoją wypełniające stragany z jedzeniem, ubraniami pamiątkami. Są też stoiska w których można zagrać w ruletkę, rzucać do celu. Na miejscu można spotkać również zebrzących, którzy zaczepiają ludzi. Po ich karnacji podejrzewam, że są to Tamilowie z południa Indii.

Główny plac przed nowym klasztorem jest przygotowany do festiwalu. Są sektory dla lokalnych mieszkańców, mnichów, starszych osób, gości specjalnych i... zarejestrowanych turystów, czyli takich co w ramach wycieczki z biura zarezerwowano miejsca siedzące. Wszystkie sektory podpisane. Szukamy więc gdzie by tu się przyciąć, bo jakoś nie mieścimy się w żadnej kategorii owych napisów na szyldach.

Przedstawienie zaczyna się o 10:30. Wszystko dookoła placu jest już szczelnie wypełnione. My też znajdujemy sobie miejsca blisko samego placu i siadamy po prostu na betonie, aby mieć jak najlepszy widok do robienia zdjęć. Na początek z klasztoru wychodzą mnisie i tańczą wokół placu. Odbywają się jakieś buddyjskie ceremonie, z witaniem ważnych mnichów. 2 z nich duje na wielkich trąbach. Wszyscy mnisie obchodzą plac dookoła wykonując dokładnie takie same ruchy.

Trwa to wszystko z kwadrans. Potem mnisi znikają w klasztorze i zapewne zmieniają stroje. W tym czasie tłum gęstnieje. Miejsca na trybunach też zajęte. Dużo jest ludności lokalnej, zwłaszcza starszych osób, poubieranych w tradycyjne stroje. Cały czas dziwi mnie to, że dają radę w tym siedzieć, skoro jest tak ciepło.

Mimo huku trąb, talerzy, małe dzieci śpią na festiwalu w najlepsze. Młodzież chce być modna więc ubiera się na zachodnią modłę. Najlepsi są młodzi mnisi. Kilkunastoletni chłopcy w czerwonych wdziankach z czerwonym t-shirtem i... czerwoną czapką z daszkiem, lekko przekrzywioną na bok i napisem...”Monster”. Śmiesznie to wygląda, ale to taki nowoczesny postępek. Globalizacja dociera do każdego zakątka świata.

Po chwili na plac z klasztoru wybiegają dwaj mężczyźni w maskach i zarzucają chusty na szyję „zarejestrowanym turystom” z łoża vipów. Oczywiście w ten sposób wyciągają od nich datki. Bogatszego turystę na to stać...

Potem na plac wchodzi kolej stwory i potwory w maskach wykonując tańce. Wszystko tu jak widać jest przemyślane. Każdy występujący wykonuje określone ruchy rąk i nóg. Aktorzy mają nie alda wyzwanie w tych strojach, bo jak widać wszystko musi sporo ważyć, a przecież jest ciepło. Na dodatek taki festiwal trwa dwa dni i oni występują przez kilka godzin codziennie. Dookoła jest barwnie i wesoło. Kolorowi są nie tylko występujący, ale i lokalni mieszkańcy. Wszyscy razem spędzają ten czas festiwalu.

Koło godziny 13 następuje dłuższa przerwa. Cały tłum rozprasza się z placu na podbój stoisk z jedzeniem i pamiątkami. Mieszkańcy tego regionu znajdują sobie też miejsca na urządzenie pikniku i wyciągają pakunki z jedzeniem i całymi rodzinami jedzą obiad. Ci co nie wzięli ze sobą jedzenia udają się do okolicznych stoisk, gdzie zasiadają na ławeczkach i jedzą. Jest tu nawet samochód – lodziarnia, gdzie przy okienku kłębi się tłum osób, głównie dzieci. Hmm też mam ochotę na takiego loda na patyku... wysłałam Pawła do kolejki. E tam kolejki, raczej do zbiegowiska. Teraz musi się jakoś dopchać do okienka aby zakupić lody. Nie jest to takie proste, bo tu nikt nie uznaje żadnej kolejności, komu uda się wcisnąć do okienka łapę z kasą ten otrzymuje lody.

Aut jest tu tyle, że stoją jak popadnie w każdej możliwej dziurze. Niektórzy jak widać nie nauczyli się za dobrze jeździć i teraz mają problem. Jedno auto zamiast podjechać do góry, cofnęło się tak, że walnęło auto stojące z tyłu. I nie ma się co dziwić, że lokalne samochody mają setki wgnieceń. A my tuż przed wakacjami oddaliśmy naszą Toyotę, aby blacharz kilka drobnych wgnieceń zlikwidował. Takimi naszymi wgnieceniami nikt tutaj by się nawet nie przejął.

Fajna atmosfera panuje na tym festiwalu. Ludzie piknikują na trawce wokół klasztoru. Przerwę wykorzystują na lokalne gry, losowanie fantów. Natomiast turyści oglądają pamiątki. Wszystko dookoła zdążono przygotować na festiwal. 2 dni temu wszystko było malowane, a teraz lśni na błysk.

Klasztor w Ladakhu są nielicznymi już dziś miejscami, gdzie corocznie odbywają się rytualne tańce mnichów buddyjskich, znane pod tybetańską nazwą cz'am. Tańce te to właściwie całe kilkudniowe widowiska o charakterze symbolicznym i obrzędowym. Pielgrzymi ściągają z himalajskich dolin rzesze wiernych, by dokonać rytualnego oczyszczenia, wypędzić demony i odrzucić złą karmę oraz wszelkie złe uczynki nagromadzone podczas całego roku. Dla niektórych z nich jest to jedna z niewielu okazji w roku, aby odwiedzić niżej położone siedziby ludzkie.

Skomplikowane przygotowania odbywają się w murach klasztoru i nie mogą w nich uczestniczyć osoby z zewnątrz. Część cz'amu dostępna dla wiernych rozpoczyna się mniej więcej w sześć dni później i trwa trzy dni. Główne miejsce uroczystości – cz'am-ra, czyli klasztorny dziedziniec, wypełniają po brzegi pielgrzymi. Jego centralna część, z modlitewną chorągwią zatkniętą na ogromnym maszcie, jest zarezerwowana dla tańczących mnichów. Przez dziedziniec zaczyna się przewijać korowód rozmaitych bóstw opiekuńczych, demonów i kościotrupów. Wirują

wielobarwne szaty, pulsuje i dudni muzyka.

Punktem kulminacyjnym cz'amu jest wpędzenie demonów do niewielkiej figurki przedstawiającej człowieka. Mnich w masce jelenia, recytując modlitwy i zaklęcia, za pomocą odpowiednich narzędzi rytualnych (młotek, toporek, trójzęb) zachęca złe siły, by wniknęły do figurki nalu; łańcuch owinięty wokół korpusu ma uniemożliwić ich ponowne wyjście na zewnątrz. W finałowej części ceremonii mnich obcina figurce ręce, nogi oraz głowę. Rozcina brzuch i wydobywa z niego wnętrzności; do rozprutego brzucha wkłada odciętą głowę. Zawinięte w płótno szczątki nalu są potem wynoszone poza obręb klasztoru i palone. Demoniczne maski, tańczące szkielety, budzące grozę rekwizyty: czaszki, trójzęby, ludzkie serce, haki i łańcuchy – atrybuty rodem z przedbuddyjskiej tradycji.

Kolo 13:45 festiwal rozpoczyna się od nowa. Ze świątyni wychodzą kolejni przebrani w maski i zasiadają tym razem w specjalnie przygotowanej łoży. To chyba jakieś szczególne postacie. Następnie kolejne osoby pojawiające się na placu występują w przebraniach. Mnisi w swojej łoży obserwują całe widowisko, choć śmiesznie wyglądają z telefonami komórkowymi, którymi kręcą filmiki i robią zdjęcia. Ta w ogóle to mnisi jako jedyni mają czerwone samochody. Śmieszne to, ale jak widzisz czerwony samochód to wiesz, że podróżują nim mnisi.

Okolo 14:30 zaczynamy szukać naszego busa, który podobno koło 15 ma wracać do Leh. Nauczeni tym, że może odjechać wcześniej postanawiamy mieć go na oku. Jest na razie przy nim tylko kilka osób, więc chyba jeszcze poczekamy. Kierowca otwiera drzwi i zajmujemy miejsca. Czekamy aż autobus się wypełni i dopiero wtedy odjeżdżamy. W busie poznajemy dowie Polski z Warszawy. Nasz autobusik oczywiście ma problem aby przejechać wśród porzucanych bez ładu i składu samochodów. Przebijamy się żółtym tempem, ale w końcu wyjeżdżamy na główną drogę. No to za dwie godziny dotrzemy do Leh.

W Leh kupujemy sobie na wieczór melona i idziemy na pizzę, chiński chowmain (makaron z warzywami) oraz sok z limonką i miętą. Siedzimy na jedzonku dość długo, bo dosiada się do nas jedna z poznanych Polek.

Potem jeszcze wizyta w naszej agencji turystycznej z pytaniem, czy mogliby wywiesić kartkę z ogłoszeniem, że szukamy osób na początek sierpnia, aby pojechać wspólnie nad Tso Moriri, a potem dalej do Manali, co by dało nam spore oszczędności finansowe. Zawczasu również załatwiamy sprawę przedłużenia naszych pozwoleń na wyjazd w tamten region.

Znowu mijamy Ladakijczyków na swoich stoiskach z suszonymi owocami, starsi panowie cały czas kręcą swoimi modlitewnymi młynkami.

Czas coś napisać o językach. W Ladakhu jest ich kilka w użyciu – ladakhi, tybetański, urdu i hindi.

Język tybetański:

Udokumentowana w piśmie historia języka tybetańskiego sięga drugiej połowy VIII wieku. Specyficzne warunki geograficzne panujące na Wyżynie Tybetańskiej, skomplikowana historia polityczna oraz długa historia piśmiennictwa ukształtowały w znacznej mierze obecny obraz języka tybetańskiego, którego jedną z najistotniejszych cech jest znaczne zróżnicowanie dialektalne.

Wyróżnia się 9 grup dialektów, czasami wzajemnie niezrozumiałych. Z tego względu niektórzy językoznawcy traktują język tybetański jako tzw. makrojęzyk, na który składa się ponad 50 spokrewnionych języków[1]. Klasyczny język tybetański oraz współczesny język literacki powstały w oparciu o centralne dialekty Lhasy; najstarsze zabytki piśmiennictwa w tym języku pochodzą z VII wieku.

Poza granicami Regionu Autonomicznego Tybetu językiem tybetańskim posługują się także mieszkańcy sąsiednich państw bądź regionów. W obrębie Chińskiej Republiki Ludowej jest to język rodzimy wielu grup społecznych zamieszkujących prowincje Junnan, Syczuan, Qinghai oraz Gansu. Ponadto niewielkie grupy ludności historycznie, kulturowo lub etnicznie związane z Tybetem, a obecnie żyjące w granicach państw sąsiednich, posługują się językiem tybetańskim. Społeczności te

zamieszkują region Kaszmiru (pakistański obszar Gilgit-Baltistan oraz stan Dżammu i Kaszmir w Indiach), północne regiony Nepalu, Bhutan jak również stany Himachal Pradesh, Sikkim oraz Arunachal Pradesh w Indiach.

Język ladakhi - język z rodziny chińsko-tybetańskiej używany przez ponad 100 tysięcy osób (1997) w regionie Ladakh (indyjski stan Dżammu i Kaszmir) oraz około 12 tysięcy osób w przygranicznych rejonach Chin. Jest blisko spokrewniony z tybetańskim, oraz zapisywany alfabetem tybetańskim, z tego względu bywa niekiedy klasyfikowany wraz z balti i purig jako archaiczny zachodni dialekt języka tybetańskiego, chociaż ladakhi i standardowy tybetański nie są wzajemnie zrozumiałe. Archaiczność języka ladakhi polega między innymi na tym, że wymawia się wiele spółgłosek, które są co prawda zapisywane, ale nieme we współczesnym języku tybetańskim. Tak więc wymowa ladakhi jest znacznie bliższa pisowni języka tybetańskiego niż standardowy język tybetański i inne jego dialekty.

Język ladakhi posiada kilka dialektów:

- Lehskat - odmiana uważana za standardową (ladakhi właściwy), używana w stolicy Ladakhu (Leh) oraz dla komunikacji międzodialektalnej, w Leh nadawane są programy radiowe w tej odmianie;
- Shamskat - używany na północny zachód od Leh;
- Stotskat - używany w Dolinie rzeki Indus
- Nubra - używany na północy

Większość dialektów ladakhi, w przeciwieństwie do języka tybetańskiego, nie posiada tonów, z wyjątkiem stotskat i odmian używanych w w Górnym Ladakhu. Dialekty używane w Górnym Ladakhu oraz w Zanskarze uważane są za pośrednie między ladakhi a centralnym tybetańskim.

Urdu i hindi są językami niemal identycznymi pod względem struktury gramatycznej i podstawowego słownictwa (w tej warstwie, tj. języka potocznego, określane często jako hindustani), natomiast występują między nimi znaczne różnice leksykalne (urdu czerpie zapożyczenia z języka perskiego i arabskiego, natomiast hindi – z sanskrytu), oraz inny system pisma – hindi posługuje się indyjskim alfabetem dewanagari. Różnice te powodują, że na poziomie np. wykładu naukowego języki te stają się wzajemnie niezrozumiałe. Muzułmanie w Ladakhu posługują się właśnie urdu.

Dzisiejszy wieczór, to walka z prądem. Ostatecznie prąd idzie z generatora, co oczywiście powoduje, że za oknem robi się głośno, bo generator robi dość sporo hałasu.

Jutro wielki dzień... jedziemy zobaczyć Dalajlamę..

27.07.2015 (poniedziałek)

Pobudka o 6:45. Schodzimy na śniadanie do Dolfina. Dzisiaj czas na kanapkę z serem jaka. Muszę stwierdzić, że ser naprawdę smaczny. Ma bardzo wyraźny, mocny serowy smak.

Bierzemy taksówkę do Spituk, położonego kilka kilometrów za centrum Leh i za lotniskiem. Dzisiaj ma tam przybyć Dalajlama. Zobaczmy czy coś z tego faktycznie wyniknie.

Niestety nie udaje nam się dojechać pod sam klasztor, bo już na rogatkach policja zatrzymuje samochody i nie wpuszcza ludzi samochodami pod klasztor. To dobry znak, coś będzie się działo. Wsiadamy więc z taksówki i dalej idziemy pieszo. Droga prowadząca do klasztoru jest przyozdobiona kolorowymi proporcami. Stoją też betonowe „kubły” z kadzidelkami. Pojawiają się też pierwsze grupki ludzi przy drodze, prowadzącej do niżej położonej nowej części klasztorowego kompleksu. Chyba jesteśmy zdecydowanie za wcześnie. Idziemy więc zobaczyć stary klasztor na wzgórzu. Droga do owego klasztoru przecina się z torem lotu samolotów. Zaraz za ta drogą jest pas lotniska. Nagle zza góry pojawia się nisko lecący samolot. Przelatuje nad naszymi głowami. Aż czuć powiew powietrza. Ale czad. Tak blisko POD samolotem nigdy nie byliśmy niezłe uczucie

widzieć dokładnie nad głową takiego wielkiego olbrzyma. Robimy w tym miejscu trochę zdjęć lądującym i startującym o poranku samolotom. Przyglądamy się teraz z innej perspektywy schodzeniu spiralną owych samolotów. Nieźle to wygląda, gdy schodzą kręgami coraz niżej, po czym znikają za pasmem górskim i nagle pojawiają się nisko nad ziemię pomiędzy dwoma górami, aby zaraz wylądować na pasie lotniska.

Gdy docieramy do starego klasztoru, tutaj też jest sporo policji i wojska z karabinami. Musimy pokazać paszporty i szybko zwiedzać klasztor, bo gdy przybędzie Dalajlama miejsce to zostanie zamknięte, gdyż z tego punktu wojsko ma dobry widok na całą okolicę, aby chronić Dalajlamę.

Gompa w Spituk pochodzi z XI wieku. Położona jest tylko kilka kilometrów od centrum Leh. Został ufundowany przez Od-de, starszego brata lamy Changchub Od. Klasztor należy do głównego nurtu buddyjskiego Gelukpa związanego z Dalajlamą. Mieszka w nim około stu mnichów.

Gdy opuszczamy klasztor wychodzi z niego w eskorcie innych mnichów jakiś tutejszy bardzo ważny lama. Ludzie padają na kolana i oddają pokłony. Z góry klasztoru widać, że coraz więcej ludzi gromadzi się wzdłuż drogi prowadzącej do nowego kompleksu. Schodzimy więc również w to miejsce. Zewsząd nadciągają lokalni mieszkańcy. Na teren nowego kompleksu wpuszczani są tylko ci co mają specjalne przepustki. Przy szlabanie stoi cała masa wojskowych i policjantów. Mieszkańcy przychodzą odświętnie ubrani, niosą kwiaty i dzbany. Młodzież i dzieci też ubrana odświętnie w szkolnych mundurkach. Każdy w ręce z kwiatkiem. Są też młode kobiety, które mają na sobie tradycyjne stroje wysadzone kamieniami turkusu. Waży to chyba tonę, ale wyglądają przepiekanie. I to trzyma na głowie. Jest to coś na kształt welonu wysadzanego kamieniami. Do tego jeszcze suknia, spodnie, peleryna. Ależ to sumarycznie musi ważyć. Starsi ludzie zajmują miejsca tuż przy szlabanie. Słońce świeci więc siedzą pod parasolkami. Wszyscy czekają. O 10 tłum zdecydowanie gęstnieje. Docierają kolejne grupy Ladakijczyków. Wojsko i policja zabezpiecza cały teren. A my się kręcimy dookoła obserwując miejscowych ludzi. Jest też trochę turystów, którzy tak jak my chcą zobaczyć Dalajlamę.

Koło godziny 11 widzimy, że na lotnisku ląduje mała awionetka. Wśród ludzi następuje poruszenie. To podobno tym samolotem przyleciał Dalajlama. Kolejne pół godziny mija zanim zaczynają się pojawiać samochody z policją i wojskiem jako eskorta. Jadą ciężarówki z ludźmi w tradycyjnych strojach, którzy byli na lotnisku jako orszak powitalny. Coraz więcej ludzi stoi przy drodze i wypatruje którym to samochodem przyjedzie Dalajlama. My też ustawiamy się z Pawłem po przeciwnych stronach drogi, aby zrobić zdjęcie. W końcu tłum wiwatuje, to już jedzie Dalajlama. Niestety nie zatrzymuje się, ale przejazd jest powolny, więc udaje nam się Go zobaczyć i zrobić zdjęcia. Uśmiecha się do ludzi i im macha. Mimo, że widzimy go kilkanaście sekund to i tak było to tego warte. Tym bardziej, że wcześniej przez dwie godziny oglądaliśmy lokalnych mieszkańców, ich stroje, dary które przywieźli dla Dalajlamy. Widać, że Dalajlama jest bardzo ważną osobą dla lokalnej ludności.

Dalajlama – przedstawiciel szkoły gelug – jednej z czterech największych szkół buddyzmu tybetańskiego. Buddyści tybetańscy uważają dalajlamę za manifestację bodhisattwywspółczucia Awalokiteśwary, który odradza się, aby udostępnić wyzwalające z cierpienia nauki innym czującym istotom.

Określenie dalajlama pochodzi z połączenia słów ta-le (ocean) i bla-ma – lama. Tytuł dalajlamy nadał lamie Sonam Gjaco (1543–1588), ówczesnemu przywódcy tybetańskiej tradycji buddyjskiej gelug, wódz Mongołów, Altan-chan podczas ich spotkania w 1578 roku. Tytuł ten miał oznaczać lamę (o mądrości) jak ocean.

Retrospektywnie tytułu tego używa się w odniesieniu do Gedun Druba (dGe-'dun-grup), czyli Dalajlamy I oraz Gedun Gjatso, Dalajlamy II – poprzedzających Sonam Gjaco zwierzchników klasztoru Drepung, Sera i Taszilhunpo. Sami Tybetańczycy używają w odniesieniu do dalajlamy (a często i innych najważniejszych inkarnacji tybetańskich – np. (karmapy) terminu

Gjalła Rinpocze (rgyal-ba-rin-po-che) – Zwycięski Rinpocze.

Według buddyzmu tybetańskiego dalajlama jest jednym z tulku – istot, które po śmierci świadomie wybierają swoje kolejne wcielenie. Dalajlamowie wielokrotnie przepowiadali za życia, gdzie narodzi się ich następna inkarnacja. Tym samym, zgodnie z tybetańskim światopoglądem, jest tylko jeden dalajlama, a kolejne numery oznaczają jedynie kolejne wcielenia tej samej osoby. Dalajlamowie wraz z panczenlamami stanowią najbardziej znaczącą historyczną linię przekazu naukantycznych w szkole gelug będąc sobie wzajemnie nauczycielami, mistrzami i wychowawcami w kolejnych odrodzeniach.

Od 1751, do 1950 kolejni dalajlamowie byli świeckimi władcami Tybetu, od 1912 roku faktycznie niepodległego. Po tym czasie dalajlama nadal jest świeckim przywódcą Tybetańczyków poprzez Centralny Rząd Tybetański, tj. tybetański rząd na uchodźstwie z siedzibą w Dharamsali w Indiach.

Tenzin Gjaco, XIV Dalajlama ur. 6 lipca 1935, duchowy i polityczny przywódca narodu tybetańskiego, laureat pokojowej nagrody Nobla (1989)

Urodził się w chłopskiej rodzinie, w miejscowości Takcer w północno-wschodnim Tybecie, niedaleko miasta Xining jako Lhamo Dondrub. W wieku dwóch lat chłopiec po długich i zgodnych z wielowiekową tybetańską tradycją poszukiwaniach kolejnych wcieleń dalajlamów został rozpoznany jako inkarnacja XIII Dalajlamy, Thuptena Gjaco. Tybetańczycy wierzą też, że Dalajlama inkarnował się wcześniej w Indiach - w trzydziestu sześciu wcieleniach wielkich mędrców - a potem w Tybecie: m.in. jako dziesięciu królów (w tym trzech najważniejszych dla propagowania Dharmy: Songcen Gampo, Trisong Decen i Tri Ralpaczen) oraz piętnastu mistrzów buddyjskich szkół ningma, sakja i kadam (np. Sakja Kunga Ningpo i najważniejszy uczeń Atiśi, Lama Drom Tonpa).

Wyświęcono go na mnicha i nadano imię duchowe: Dzietsyn Dziambel Ngałang Losang Jeszie Tenzin Gjaco – Najczcigodniejszy, Doskonałej Chwały, Elokwentny, Inteligentny Dzierżawca Nauk, Ocean Mądrości. Jednak tybetańscy buddyści zazwyczaj mówią o nim Yeshe Norbu – Klejnot spełniający życzenia lub Kundun – Obecność. Na Zachodzie, podobnie jak papież, jest tytułowany Jego Świątobliwość, używa się również skróconej formy imienia duchowego: Tenzin Gjaco.

Przyszedł na świat tuż przed świtem, 6 lipca 1935 w wiosce Takcer w północno-wschodnim Tybecie jako dziewiąte dziecko ubogich rolników. Matka, Deczi Cering, powiła go w należącej do rodzinnego gospodarstwa oborze. Szyja noworodka była okrecona przez pępownię, co według interpretacji duchownych znamionowało posiadanie wielu zasług z poprzednich wcieleń. Według zapisków prowadzonych przez przewodniczącego komisji poszukiwawczej, Keucanga Rinpocze (Keutsanga Rinpocze), niedługo po przyjściu na świat chłopca w najbliższej okolicy jego domu rodzinnego pojawiło się duże stado kruków, ptaków związanych z I, VII, VIII i XII Dalajlamą.

22 lutego 1940 został intronizowany jako XIV Dalajlama. W wieku sześciu lat rozpoczął formalne studia, które zakończył dziewiętnaście lat później, uzyskując tytuł gesze lharampa (odpowiednik doktoratu z filozofii buddyjskiej). Rok wcześniej złożył egzaminy w każdym z trzech wielkich uniwersytetów klasztornych: w Drepungu, Sera i Gandenie. Ostatni egzamin odbył się w 1959 roku w lhaskim Dżokhangu podczas Monlamu, Święta Modlitwy, które przypada w pierwszym miesiącu kalendarza tybetańskiego. 17 listopada 1950, po wkroczeniu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w październiku tego samego roku do Tybetu, otrzymał pełną władzę polityczną. Od czasu upadku powstania w 1959 roku przebywa na emigracji w Indiach, gdzie w Dharamsali kieruje emigracyjnym rządem swojego kraju, będącego obecnie częścią Chińskiej Republiki Ludowej.

Zaraz po opuszczeniu Tybetu Dalajlama zwrócił się do Organizacji Narodów Zjednoczonych z prośbą o zajęcie stanowiska w sprawie Tybetu. W latach 1959, 1961 i 1965 Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło trzy rezolucje, wzywając Chiny do poszanowania praw człowieka w Tybecie i prawa narodu tybetańskiego do samostanowienia. Pierwszym palącym problemem nowo utworzonego rządu emigracyjnego było ratowanie tybetańskich uchodźców i kultury Tybetu. Uciekinierzy

znaleźli schronienie w osadach rolniczych. Rząd promował inicjatywy gospodarcze i tworzył system edukacyjny, by każde tybetańskie dziecko mogło poznać ojczysty język, historię, religię i kulturę. W 1959 roku powołano Instytut Sztuki oraz Centralny Instytut Wyższych Studiów Tybetańskich - tybetański uniwersytet w Indiach. Na wygnaniu udało się odtworzyć ponad dwieście instytucji monastycznych, które ocaliły większość nauk buddyzmu tybetańskiego, będącego sercem kultury Tybetu.

W 1963 roku Jego Świątobliwość ogłosił demokratyczną konstytucję, opartą na wartościach buddyjskich i Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, jako model ustawy zasadniczej przyszłego, wolnego Tybetu. Dalajlama, który oświadczył, iż nie będzie piastował żadnego stanowiska politycznego po odzyskaniu przez Tybet niepodległości, kładzie wielki nacisk na konieczność dalszego demokratyzowania administracji tybetańskiej. Tybetańscy uchodźcy wybierają dziś w bezpośrednich, powszechnych wyborach Congdu (parlament) i Kalona Tipę (szefa rządu).

W 1987 roku na forum Komisji Praw Człowieka Kongresu Stanów Zjednoczonych Dalajlama przedstawił pięciopunktowy plan pokojowy, stwarzający szansę na rozwiązanie problemu Tybetu. Dokument ten przewiduje przekształcenie Tybetu w strefę pokoju, położenie kresu masowemu przesiedlaniu Chińczyków na teren Tybetu, przywrócenie fundamentalnych praw człowieka i swobód demokratycznych, rezygnację Chin z produkcji broni jądrowej i składowania odpadów radioaktywnych w Tybecie oraz wzywa do podjęcia "poważnych negocjacji" w sprawie przyszłości Tybetu.

15 czerwca 1988 roku Jego Świątobliwość rozwinął ten plan w Strasburgu, proponując utworzenie samorządnego, demokratycznego Tybetu "stowarzyszonego z Chińską Republiką Ludową". 2 września 1991 roku tybetański rząd emigracyjny formalnie wycofał tę propozycję z uwagi na brak pozytywnej reakcji chińskich przywódców.

Od 1967 roku Jego Świątobliwość odwiedził niemal pięćdziesiąt państw. Jesienią 1991 roku, na zaproszenie prezydenta Vytautasa Landsbergisa, złożył wizytę w Wilnie i jako pierwszy zagraniczny przywódca przemawiał na forum parlamentu niepodległej Litwy. Podczas konferencji prasowej w Watykanie w 1980 roku mówił: "Żyjemy w czasach głębokiego kryzysu i dramatycznych wydarzeń w skali światowej. Nie znajdziemy spokoju ducha, dopóki ludzie nie zaczną żyć z sobą w harmonii. Czekam na spotkanie z Ojcem Świętym z wiarą i nadzieją, [czekam] na wymianę idei i uczuć, na jego sugestie, na otwarcie drzwi dla jeszcze skuteczniejszego niesienia pokoju ludzkości". Jego Świątobliwość spotykał się papieżem Janem Pawłem II w 1980, 1982, 1986, 1988, 1990 i 1999 roku.

W 1989 roku norweski Komitet Pokojowej Nagrody Nobla postanowił wyróżnić nią Dalajlamę, co przyjęto z radością na całym świecie, choć nie w Chinach. "Komitet podkreśla fakt, iż w swej walce o wyzwolenie Tybetu Dalajlama konsekwentnie przeciwstawia się stosowaniu przemocy. Opowiada się za rozwiązaniami pokojowymi, które pozwolą, w duchu tolerancji i wzajemnego szacunku, zachować historyczne i kulturowe dziedzictwo jego narodu", napisano w uzasadnieniu. 10 grudnia 1989 roku Jego Świątobliwość przyjął Nagrodę w imieniu wszystkich prześladowanych, walczących o wolność i pracujących na rzecz pokoju oraz w imieniu narodu tybetańskiego. "Nagroda ta utwierdza nas w przekonaniu, iż orężem prawdy, odwagi i determinacji doprowadzimy do wyzwolenia Tybetu. W naszej walce nie ma miejsca na przemoc i nienawiść", powiedział.

Jego Świątobliwość odwiedzał Polskę sześciokrotnie: w 1993, 2000, 2008, 2009, 2010 i 2013 roku, spotykając się między innymi z prezydentami, premierami, marszałkami sejmu i senatu, prymasem, intelektualistami, studentami, więźniami, społecznością buddyjską i działaczami praw człowieka. Przemawiał w Sejmie i Trybunale Konstytucyjnym. Dwie pierwsze wizyty organizowała Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Jego Świątobliwość jest honorowym obywatelem Wrocławia i Warszawy oraz doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

10 marca 2011 zapowiedział w oświadczeniu wydanym z okazji Tybetańskiego Dnia Powstania Narodowego swoją rezygnację z pełnionych funkcji politycznych, na rzecz przywódcy

wybranego w sposób demokratyczny.

Rząd Chińskiej Republiki Ludowej oskarża „klikę dalajlamy” o działalność secesjonistyczną i nawoływanie do oderwania Tybetu od Chin, a także o próby „szerzenia chaosu” w tym regionie m.in. poprzez sprowokowanie zamieszek w Tybecie w marcu 2008 roku. Krytykuje również deklaracje tybetańskiego lidera o wyznaczeniu swojego następcy za życia, nazywając je „gwałtem na tybetańskiej tradycji”.

Australijski dziennik *The Age* oskarżył dalajlamę o pobieranie, a następnie sprzeniewierzenie gigantycznych sum pieniędzy od CIA, a także o korupcję i nepotyzm poprzez obsadzanie swojego rodzeństwa na wysokich stanowiskach w tybetańskim rządzie na uchodźstwie. W 1998 roku tybetański rząd na uchodźstwie przyznał, że w latach 60. otrzymał od CIA w sumie 1,7 mln \$ przeznaczonych na szkolenie antychińskiej partyzantki, zdementował natomiast informacje o otrzymywaniu przez dalajlamę prywatnej pensji od amerykańskiego wywiadu. Zarzuty o komercyjne działania dalajlamy pojawiły się także w związku z jego wystąpieniem w reklamie firmy Apple Inc.

Kontrowersje wywołały nawoływania dalajlamy do światowego pokoju, przy jednoczesnym wyrażaniu poparcia dla indyjskich prób nuklearnych. Przed zamachem terrorystycznym w tokijskim metrze w 1995 roku dalajlama wielokrotnie spotykał się z Shōkō Asaharą, przywódcą sekty Najwyższej Prawdy, który podarował mu kwotę 45 milionów rupii.

Opinia Dalajlamy potępiająca kult buddyjskiego bóstwa Dordże Szugden spowodowała gniewną reakcję części środowiska buddyjskiego. Członkowie organizacji Nowa Tradycja Kadampy, założonej przez mieszkającego w Wielkiej Brytanii tulku, oskarżają Tenzina Gjaco o ograniczanie wolności religijnej. 5 lutego 1997 w Dharamsali został zamordowany jeden z najbliższych współpracowników Dalajlamy, dyrektor utworzonego z jego inicjatywy Instytutu Dialektyki Buddyjskiej, Lobsang Gjaco. W czasie wizyty dalajlamy w Wielkiej Brytanii i Australii w czerwcu 2008 roku doszło do ulicznych demonstracji z udziałem mnichów i mniszek; demonstranci trzymali transparenty z hasłami „kłamca” i „hipokryta”.

Dalajlamę krytykują także radykalni tybetańscy działacze emigracyjni. Zdaniem członków Kongresu Młodzieży Tybetańskiej jego polityka jest „zbyt pokojowa” i „nieskuteczna”.

Kontrowersje wśród części tybetańskiej diaspory budzi sformułowana przez dalajlamę tzw. propozycja strasburska. Stanowi ona rozwinięcie Pięciopunktowego Planu Pokojowego, przedstawionego przed amerykańskim Kongresem w 1987. Zakłada utworzenie w Tybecie samorządnego i demokratycznego organizmu politycznego stowarzyszonego z ChRL, w którym inkarnacja dalajlamy nie zajmowałaby żadnego stanowiska. Krytycy tej koncepcji nazywają ją „zdradą sprawy Tybetu”. Zauważają również, że została ona przedstawiona na arenie międzynarodowej bez przeprowadzenia odpowiednich konsultacji społecznych.

Niewielka grupa konserwatywnych buddystów praktykujących w szkole Karma Kagyu podejrzewa dalajlamę o użycie czarnej magii przeciwko XVI Karmapie, który zmarł na raka w 1981.

Kontrowersje budzi również rola XIV Dalajlamy w poszukiwaniach inkarnacji XVI Karmapy. W 2001 przedstawiciele 500 klasztorów i ośrodków medytacyjnych szkoły Karma Kagyu popierających pretendenta do tytułu Karmapy Taje Dordże wystosowali do dalajlamy list otwarty, w którym domagali się, aby ten „wycofał się z wewnętrznego konfliktu szkoły Karma Kagyu” i zaprzestał wspierania Ogjena Trinleja Dordże. Oskarżyli go również o „celowe popieranie niewłaściwych decyzji i działań skorumpowanych lamów Kagyu”. Środowiska związane z Ole Nydahlem zarzucają mu wręcz współpracę z komunistycznymi władzami Chin w celu opanowania szkoły Karma Kagyu.

Liczne protesty wywołały także wykłady Tenzina Gjaco dotyczące pracy ludzkiego mózgu na Uniwersytecie Stanforda wygłoszone w 2005. Grupa kilkuset naukowców podpisała wówczas petycję, w której sprzeciwiała się wystąpieniom tybetańskiego lidera. Twierdzili w niej, że nie jest on osobą kompetentną, by wypowiadać się na tematy medyczne.

Dalajlama często powtarza: "Jestem tylko zwykłym buddyjskim mnichem - nikiem więcej, nikiem mniej". Jego Świątobliwość prowadzi życie mnicha. Mieszka w niewielkiej rezydencji w Dharamsali, wstaje codziennie o czwartej rano, medytuje, uczestniczy w pracach rządu, udziela audiencji i buddyjskich nauk, prezyduje ceremoniom religijnym. Każdy dzień kończy kolejną sesją modlitw i medytacji. Pytany o źródła inspiracji, często cytuje wiersz słynnego buddyjskiego mistrza Śantidewy:

„Dopóki trwa przestrzeń
I dopóki pozostają czujące istoty
Obym trwał i ja
By rozpraszać nędzę świata”

Co ciekawe to od 1391 roku jest to dopiero czternasty przywódca, mimo że jest ciągłość. Skąd tylko tylu lamów? Ano dlatego, że zazwyczaj zaczynają być dalajlamą jako dziecko i sprawują władzę przez 70-80 lat. Jak popatrzeć do internetu to tylko ostatni dwaj lamowie posiadają swoje zdjęcia, ale co się dziwić jak trzynasty Dalajlama zaczął być przywódcą w 1876, a czternasty jest od 1935.

Dalajlama znika za szlabanem i zasiekami. Dalej witają go orszaki uczniów i mieszkańców ustawionych w długi szpaler. Gra muzyka powitalna. Po przejeździe Dalajlamy wszyscy ludzie się zbierają do powrotu. Jak się okazuje w tym czasie pojawiły się przy drodze stoiska z balonami dla dzieci. Kiedy docieramy na główną drogę, to tam panuje mega rozgardiasz i korek, bo wcześniej ruch był wstrzymany na czas przejazdu Dalajlamy. Na dodatek teraz wszyscy chcą wrócić jednocześnie. Zastanawiamy się czym wrócić do centrum Leh. Dookoła same samochody i ciężarówki wypchane ludźmi. W tłumie wypatrujemy samochodu, tylko z kierowca. Machamy aby się zatrzymał. Właściciel zatrzymuje się i oprócz nas zabiera jeszcze jakiegoś dziadka. Długo jedziemy do centrum miasta, bo stworzył się gigantyczny korek.. Auta pękają w szwach. W jednym samochodzie obok nas doliczyłam się... 1 osób!!! Zaznaczam, to samochód osobowy na 5 osób. Tak był wypełniony, że dwóch nastolatków jechało w otwartym bagażniku...

Wracamy do Bimli, gdzie przepakowujemy się na nasz trek. Zostawiamy większość niepotrzebnych rzeczy w jednym z pokoi. Informujemy pana Bama, że będziemy z powrotem 31 lipca. Po czym idziemy do naszej knajpki w centrum miasta na obiad. Zamawiam wegetariańska tikka masala, która okazuje się być dość ostra, a Paweł je bardzo gęstą zupę thukpę z makaronem i jajkiem. Po obiedzie odbieramy przedłużone pozwolenia na wyjazd nad Tso Moriri po powrocie z trekku. W agencji informują nas, że wstępnie mają dwie osoby na 2 sierpnia, które są chętne na wyjazd do Tso Moriri i dalej do Manali. Mamy nadzieję, że jak wrócimy z trekku, to to dalej będzie aktualne.

Idziemy na dworzec autobusowy. Jest godzina 15, a autobusik już prawie pełny. Zostajemy więc wciśnięci na sam przód obok kierowcy. Siedzimy pod samą szybą przednią, więc się gotujemy. Siedzimy tka jeszcze przez prawie godzinę, zanim autobusik rusza w drogę.

Taka ciekawostka... Ladakijczycy na przywitanie używają słowa „Juley” (dzulej). Słowo to przy okazji ma wiele znaczeń. Oznacza dzień dobry, część, do widzenia, super, używa się go aby coś potwierdzić w trakcie rozmowy. Słowo klucz.

Jedziemy. Za oknem pojawiają się kolejne nowe krajobrazy. Przepiękna dolina Indusu. W pewnym miejscu napotykamy duży dopływ rzeki Zanskar, który wpada prosto do Indusu. Obie rzeki wyrżnęły w górskich terenach głębokie doliny. Wjeżdżamy na płaskowyż między górami, mijamy kilka kolejnych jednostek wojskowych. Aż w końcu zjeżdżamy z głównej drogi i docieramy do miejscowości Likir. Cudowny widok na tutejszy klasztor. Busik wiezie nas powyżej klasztoru. Wsiadamy kawałek za nim i zaczynamy szukać noclegu. Pierwszy guest house nam się nie podoba, schodzimy więc w pobliże klasztoru, ale drugi jest zamknięty. No to idziemy dalej, tam też zamknięte. Postanawiamy więc wrócić do tego pierwszego, ale wtedy mijając ten drugi, okazuje się że przy nim stoi autobusik, którym tu przyjechaliśmy!! właścicielem tego guest housu jest ów kierowca, który nas wiozł. No nieźle. Czemu od razu nie opowiedział, że ma pokoje. Nie

musielibyśmy łączyć o d jednego do drugiego. Nocleg wraz z kolacją i jutrzejszym śniadaniem kosztuje 300 rupii czyli jakieś 18zł od osoby. Nie wiem jak im się to opłaca. Specjalnie dla nas podgrzewają wodę w łazience. Sposób dość ryzykowany. W wiadrze są zanurzone dwa kabelki z kostką połączone z gniazdkiem elektrycznym. Makabrycznie niebezpiecznie. Paweł wracając z łazienki każe mi uważać, bo mimo, że już jest to wyłączone, to jest jakieś przebicie i dotykając wody prąd kopie. Też się o tym przekonałam na sobie... Toaleta w tym domu to drewniany wychodek na zewnątrz domu..

Na kolację idziemy do tutejszego salonu, wyłożonego tradycyjnie dywanami. Tutaj też znajduje się szafa zastawiona garnkami z miedzi, kubkami, talerzami, miseczkami. Widać, że niektóre rzeczy są bardzo stare. Pomiedzy powtykane są rodzinne zdjęcia. Kiedy czekamy na jedzenie pada prąd... dobrze po raz kolejny, że mamy ze sobą latarki. Za oknem jedyne światło w całej wiosce, to promyki z palących się zniczy w samym klasztorze. Nasze okno z pokoju ma widok właśnie na klasztor i wielkiego złotego Buddę, który stoi przy owym klasztorze.

Za oknem już zapada noc, coraz mocniej wieje wiatr, trochę kropi deszcz. Czekamy na naszą kolację, którą gotuje gospodyni. Nie ma tu ani jednego turysty. Wszyscy chyba zostali w innych guest housach, gdzieś dużo niżej we wiosce. W końcu koło 22:00 jemy kolację. Gospodarze podają zupełnym niczym rosółek i do tego prawdziwe tybetańskie pierożki momo nadziewane zieleniną i baraniną. Są przepyszne.

Po kolacji czas jeszcze wyjść z latarką do „wychodka”, aby czasem nie latać po nocy. No i możemy iść spać. Od jutra czeka na trzydniowy trekking.

28.07.2015 (wtorek)

Pobudka o godzinie 7 rano. Schodzimy do naszego kierowcy busika na śniadanie. Jest ciapati, masło i dżem. Wduszam w siebie ten dżem. Jak ja nie lubię jeść śniadania na słodko.

Po śniadaniu zbieramy się do wyjścia. Najpierw jeszcze oglądamy tutejszy klasztor w Likirze, również położony na skale. Podobno pochodzi z X wieku (Lama Duwang Chosje), a złoty Budda jest zupełnie nowy. Sporo świątyń w owej gompie, ale tylko dwie są otwarte. Ale te, które są otwarte są piękne. Wszystkie ściany są pokryte freskami w ostrych barwach.

Klasztor należy do głównego nurtu buddyizmu gelukpa. Symbolem klasztoru są dwa splecione węże Nanda i Taksako. Poniżej klasztoru znajdują się stupy reprezentujące lamów. W obecnej chwili w klasztorze jest ponad 100 mnichów, którzy również prowadzą tu szkołę.

Chwilę się kręcimy po klasztorze i jeszcze zaglądamy do pobliskiej szkoły dla mnichów. Mali mnisi przybyłych turystów częstują herbatką. Mile widziane są datki na utrzymanie owej szkoły, bo są dość biedni. Niestety mnich nie pozwala nam zrobić zdjęć uczniom w sali lekcyjnej. W sali lekcyjnej nie ma ani jednego stolika, to pusta salka, a uczniowie siedzą na podłodze.

Czas w drogę. W sklepiku obok klasztoru pytamy o wejście na szlak znany „sham trekkiem”. Bardzo miły sprzedawca podprowadza nas na właściwy szlak. No to możemy maszerować. Wlazimy na pierwszy pagór, a zejście po drugiej stronie jest upiorne. Całe zobaczą pokryte jest wieloma ruchomymi kamieniami. Trzeba schodzić powoli aby po tym gruzowisku nie zjechać w dół.

Za pagórem trafiamy na właściwą ścieżkę trekku. Okazuje się, że „skrót” wskazany przez pana ze sklepiku był zdecydowanie wcześniej i na dodatek łatwiejszy, ale go przegapiliśmy.

Przez to, że nocowaliśmy powyżej klasztoru, nad wsią, to teraz dołożyliśmy sobie około 6 kilometrów pieszej trasy.

Trasa ma przebiegać przez Phobe La (3580m), miejscowość Sumdo, dalej Chagatse La (3630m), aż do wsi Yangthang (3630m).

Najpierw po przebyciu tego pierwszego pagóra, trasa biegnie łagodnie, trochę po drodze asfaltowej, trochę ścieżką. Potem jednak idzie pod górkę, a na dodatek słońce zaczęło mocno

jarzyć, a nie ma nigdzie cienia. Gdy docieramy do wsi Sumdo w namiocie-restauracji zjadamy zupki chińskie i wypijamy mangowe napoje. Ale to niewiele pomaga. Idzie mi się dalej coraz gorzej. Zamiast delektować się pięknymi widokami odliczam po 50 kroków do kolejnego mini-przystanku. Ciągnę nogi i marzę aby być już na miejscu.

Tuż przed docelową wsią Yangtang okazuje się, że ścieżka prowadzi raz w dół raz ostro w górę. W połowie tej trasy u dołu widzę grupkę turystów. A, że akustyka świetna, to słyszę „w górę?”. Jak się okazuje jest to 5 Polek, które z przewodnikiem wybrały się na trek. Bardzo się zdziwiły, kiedy po dotarciu na pagór przywitaliśmy ich po polsku. Poza tym były zdziwione, że nie mamy przewodnika. Chociaż tu naprawdę trudno się zgubić. Ścieżkę trekku dokładnie widać w terenie. Od czasu do czasu pojawia się jakiś okwiecony, niczym róża krzew, czy małe roślinki, z fioletowymi lub żółtymi kwiatkami. To wszystko. Drzew tu nie ma. Praktycznie zero zwierząt, za wyjątkiem jednego ptaka czy jaszczurki. Nawet owadów tu nie ma.

Odliczam dalej po 50 kroków, każde 50 kroków przybliży mnie do celu. Wkurzające jest to, że wieś widzimy już od ponad godziny, ale dojście na miejsce trwa w nieskończoność, bo cały czas w dół i w górę. Jak dobrze, że mamy kijki trekkingowe, bo bez nich to chyba dawno bym usiadła na tym szlaku i nie ruszyła się dalej. Po 7 godzinach dreptania i przejściu 17 kilometrów oraz wdrapaniu się ostatkiem sił na płaskowyż docieramy do wsi Yangtang.

Jakaś miejscowa kobieta dorwała nas i zaprowadziła do swojego guest housu. Okazało się, że musieliśmy zapłacić po 700 rupii za osobę. Byliśmy tak zmęczeni, że nie chciało nam się szukać czegoś innego 9 następnego dnia dopiero okazało się, że w innych guest housach było zdecydowanie taniej) Nasz guest house znajduje się w centrum wioski, gdzie jest wielki modlitewny młynek otoczony zewsząd obórkami z krowami, osłami i jakami. Wszędzie suszą się kupy tychże zwierząt. Domy są zbudowane ze skał i gliny. A dookoła wszędzie czuć typowy „obórkowy” zapaszek.

Kiedy wchodzę do pokoju, padam na materac i śpię około 2 godzin, w takiej pozycji w jakiej się położyłam, czyli w połowie na materacu, a w połowie na wykładzinie podłogowej. Ale masakra.

Kiedy budzę się po owych 2 godzinach, za oknem się zdecydowanie chmurzy. Okoliczne ośnieżone szczyty znikają w chmurach. Zaczyna padać deszcz. Koło godziny 20 zostajemy zaproszeni na obiad. Gospodarze domu podają gęstą od makaronu, warzyw i sera z jaką zupę. Tyle, że w owej zupie trafiamy na włosy... Kuchnia taka sama jak w innych domach z wielkimi szafami z całym kuchennym dobytkiem. Ale co ciekawe tutaj na środku znajduje się piec, więc zimą w tym pomieszczeniu mogą mieć ciepło. Ciekawostką jest również telewizor zamknięty w szafie.

Po kolacji idziemy spać. Dość szybko się myjemy, bo w kranie woda jest lodowata. Nawet chrupanie w suficie mi nie przeszkadza w spaniu. Nie wiem czy to mysz czy szczur. Wszystko mi jedno. Grunt, że nie muszę nigdzie już dzisiaj iść. Muszę za to odespać dzisiejsze zmagania w chodzeniu po górach, a to podobno bardzo łatwy szlak. Ciekawe w takim razie jak wygląda trudny...

29.07.2015 (środa)

Budzę się rano. Uff, nie czuję się połamana, po wczorajszym masakrycznym dniu. Mogę ruszać na trasę. Dzisiaj trasa ma być zdecydowanie łatwiejsza i krótsza. Chociaż chyba szybko nie wyjdziemy, bo za oknem dość pochmurno, wieje i zaczyna padać deszcz. Toteż o 8 idziemy na śniadanie na ciapati, jajecznicę i dżem. Czekamy jeszcze trochę, aż przestaje padać. Jest rześkie powietrze, więc trochę ubrań trzeba założyć. Wychodzimy o 9 rano. Spotykamy czwórkę Hiszpanów, których wiedzieliśmy już wczoraj. Spali w innym guest housie. Zdecydowanie tańszym niż nasz. No ale cóż, wczoraj nie mieliśmy już siły na pójście do innego miejsca. Na drogę od właścicielki naszego guest housu otrzymujemy prowiant na drogę.

Ruszamy. Dzisiaj trasa prosta. Wiedzie przez Tsermangchen La (3750m) do wsi Hemis Shukpachen. Miejscowa ludność właśnie wyprowadza na poletka swoje jaki i krowy. Najpierw spory kawałek idziemy asfaltem, a potem ścieżką na przełęcz. Z owej przełęczy w oddali widać już nasz dzisiejszy punkt docelowy. Wieś Hemis. W takich górach, gdzie przestrzenie są ogromne, szacunki odległości stają się abstrakcyjne. Coś co wydaje się być bliskie, tak naprawdę są całkiem daleko. Idziemy jeszcze prawie dwie godziny, do zalanej zielenią wsi. Kiedy docieramy do wioski, zaczynamy szukać miejsca na nocleg. Pierwsze guest housy żądają za nocleg i jedzenie sporych pieniędzy. Rozbój w biały dzień. Oglądamy jeszcze kilka, aż w końcu zatrzymujemy się w Lung Guest House, położonym już przy drodze prowadzącej w dalszą drogę na naszym Sham trekku.

Rodzinka prowadząca to miejsce, jest bardzo miła. Dziadek każe nam siadać przy stole pod drzewem i czekać na herbatkę. Mamy do wyboru aż osiem różnych herbat. Dziadek mówi, że jego miejsce to najlepsze jedzenie w okolicy. No przekonamy się o tym na kolacji.

W wiosce są nawet dwa sklepiki, choć dziadek odsyła nas do „big shopu”. W owym dużym sklepie, jest niewiele, ale kupujemy czekoladki i zupki chińskie, które zalewamy w kuchni geust housu i możemy zjeść w ramach przekąski. Kuchnia jest jak do tej pory najmniejsza ze wszystkich, ale oczywiście też zastawiona garnkami i chińską porcelaną za drzwiami stoi ubijaczka do robienia tybetańskie herbaty z solą i mlekiem jaka. Ogólnie okropne, ale mieszkańcy tych terenów ją lubią.

Postanawiamy przejść się po wiosce. Centralne wzniesienie wsi, dokładnie obok naszego guest housu zajmuje wielki Budda, którego właśnie skończono odmalowywać. Świeci się tak, że wcale nie musi być oświetlony. Panowie właśnie złożyli rusztowanie, więc możemy być pierwszymi, którzy zobaczą z bliska ich odnowione dzieło. Poniżej Buddy jest niewielki klasztor. Zresztą całe zbocze usiane jest domkami i labiryntalnym drózek. Idziemy na drugą stronę wsi, aby zobaczyć, gdzie biegnie ścieżka, którą jutro udamy się w trzeci dzień trekkingu.

Na drodze dzieci grają w krykieta. Mijamy coś na kształt wspólnego pastwiska we wsi. Tu wszędzie płyną wartkie strumyki, które na wypłaszczeniu terenu tworzą zielony dywan trawy. Miejscowi wypasają tu krowy, osły, konie i jaki. Wszystkie zwierzęta chodzą sobie wolno. Oglądam właśnie jak dwie krówki postanawiają zakończyć jedzonko na pastwisku i wychodzą z niego kierując się drogą do domu. Znając polskie krowy, to wcale się im nie dziwię, że bezbłędnie wrócą do swoich właścicieli.

Idziemy jeszcze dalej, bo przeczytaliśmy, że są tu drzewa zwane „juniper” niby jakiś jałowiec. W okolicy znajduje się skupisko kilkunastu starych drzew. Zanim tam docieramy, obchodzimy chyba pół wsi, a i tak w samo pobliże nie a się dojść. Wszędzie jakieś murki, kolczaste zarośla. W końcu przelazimy przez murek, ale to jeden z wielu, więc pod same drzewa i tak nie uda nam się dotrzeć. Robimy więc zdjęcia spod kolejnego murka. Kiedy wracamy trafiamy na grupkę Holendrów z przewodnikiem. Idą zobaczyć drzewa. Więc pytamy czy możemy się do nich przyłączyć. Okazuje się, że te kolczaste zarośla strzegą przejść między murkami, aby było nie polazło tam i nie obzarło tych drzew. Docieramy w pobliże najstarszego drzewa. To podobno święte drzewo tutejszej ludności. Dookoła powiewają porporce buddyjskie. Całe drzewo otoczone jest siatką, aby żadne zwierzę go nie uszkodziło. Czas wracać do guest housu. Siedzę sobie na podwórku przy stole i oglądam co dzieje się na drodze. Akurat nasze miejsce noclegowe położone jest na rozstaju dróg, więc sprzyja obserwacjom. Babcia z naszego guest housu co chwilę przechodzi przez podwórze. Ubrana jest w tradycyjną szarą, falbaniastą sukienkę, na to ma futerkową kamizelkę i na głowie wełnianą czerwoną czapkę, nałożoną niczym piramidka. Jak na nią patrzę to mi od razu robi się słabo z gorąca. Widziałam jak z fałdów spódnicy wyciąga telefon komórkowy. Babcia chyba coś gotuje, bo zagląda do swojego ogródka i zabiera stamtąd od czasu do czasu kolejne warzywo do kuchni.

Niedawno kolejni obcokrajowcy wprowadzili się do naszego miejsca. Przyjechali na motorach. Lokalna młodzież zbiera się przy wspólnym wiejskim pastwisku, nad wartkim strumykiem, gdzie grupkami siedzą na trawie i się śmieją. Hemis to wieś otoczona ze wszystkich stron górami, więc kiedy słońce znika za pasmem górskim zaczyna robić się chłodniej. Mały

chłopiec właśnie pogonił z łąki stadko rów i jaków. Zewsząd dochodzi szum płynących z impetem strumieni. Mieszkańcy przemieszczają się, a to po swoje zwierzęta na pastwisku, a to do sklepiku, a to przechodzi jakiś młody człowiek w jeansowej kamizelce z postawionym kołnierzem, tyle, że z tyłu ma mega dziurę... Francja elegancja. Za płótem urzęduje ekipa, która malowała Buddę. Teraz szykują ozdoby. Widocznie wkrótce mają tu jakiś odpust, stąd takie odnawianie Buddy. Co zastanawiające nie ma tu praktycznie żadnych psów, wszędzie tylko koty. Nawet babcia ma tu kota, jak mówię do niej w hindi „billi”, babcia się cieszy, że wiem jak w hindi jest kot.

Czas na kolację. Dziadek miał rację. Jedzenia jest strasznie dużo i pyszne. Jest ryż, domowy makaron w kształcie muszli z warzywami, duszony szpinak i miseczki z duszonymi warzywami. Wraz z nami je pozostała trójka gości. Jedna z nich to Hiszpanka, która podobno w Likirze prowadzi guest house i od 20 lat jest nomadką. Mieszka trochę tu trochę tam. Włóczy się po świecie. Ma niezłą wiedzę na temat religii buddyjskiej. Ciężko z nią w tej kwestii dyskutować. Babcia siedzi wśród nas na podłodze i chce każdemu wcisnąć jeszcze więcej jedzenia na talerz. Tyle że ja za chwilę pęknię od przejedzenia. To jej nastoletnie wnuczka tak gotuje dla turystów.

Potem czas się umyć. Łazienka znajduje się w budyneczku poza guest housem, ale za to jest ciepła woda.

Jutro przed nami ostatni dzień trekkingu. Jak będzie taki przyjemny jak dzisiejszy to będzie super.

30.07.2015 (czwartek)

Pobudka o 7:30. Dzisiaj za oknem od samego rana wita nas błękit nieba i słońca. Chociaż w nocy dość mocno padało. Idąc do budyneczku, w którym znajduje się łazienka, to trzeba uważać, bo wszystko w błocie. Na dodatek dziadek ratuje gliniane schodki prowadzące do owej łazienki, bo od deszczu po prostu się rozjeżdżają.

Na śniadanie domowe pani-puri, czyli dmuchane bułeczki, które w środku są puste. Ciut za tłuste, ale bardzo smaczne. Na odchodne jeszcze dostajemy mały lunch pakiet – soczek, 2 pani-puri, jajko na twardo. Koło 8:30 wyruszamy w drogę. Dzisiaj ostatni dzień trekkingu. Zobaczymy jak dzisiaj będzie przebiegała trasa.

Na początku idziemy dość łagodną ścieżką do pierwszej przełęczy. Przełęcz Mebtak La położona na 3750m n.p.m., ale sama wioska również leży na podobnej wysokości, więc za daleko się nie wspięliśmy. Spotykamy na owej przełęczy trzech turystów z Izraela oraz 16-osobową grupę z Holandii z dwoma przewodnikami. Niestety Holendrzy całą drogę zachowują się bardzo głośno, wrzeszczą do siebie na odległość kilkudziesięciu metrów. Nie wiem czemu tak się zachowują, tym bardziej, że wiekowo są od 40 do 60 lat. Co chwilę musimy się z nimi mijać. Na przełęczy jest pewna absurdalna rzecz. Na środku pola, a właściwie łąki stoi... blaszana budka – toaleta. Polowa grupy holenderskiej biega tam, aby z niej skorzystać.

Trasa do owej przełęczy prowadzi bardzo łagodną ścieżką wśród zielonych pastwisk. Mieszkańcy wioski właśnie wyprowadzają swoje zwierzęta, a potem je zostawiają. Ciekawe czy wracają do domu same, czy właściciel musi się tu po nie pofatygować. Poza tym ciekawe, czy odchodzą przez cały dzień daleko? Jak potem zebrać do kupy całe swoje stadko?

Z przełęczy trzeba zejść w głęboką dolinę, aby później... wdrapać się na kolejną przełęcz. Przed nami idą Holendrzy. Nie wiem co z nimi, ale w kółko ktoś zostaje w tyle i zza kamienia w naszym kierunku świeci tyłkiem. No masakra. Ni wiadomo czy czekać, czy iść i udawać, że ich nie widzimy. Czyżby mieli jakieś problemy żołądkowe hurtowo?

Mija na w pewnym momencie dwóch lokalnych mieszkańców, którzy gonią 5 osiołków obładowanych gratami. Biedaki niosą nawet butlę gazową na grzbiecie. A jeden z dwóch poganiaczy tacha całą paletę jaj. Widocznie mają rozbić gdzieś obóz. Może to dla tych Holendrów? Osiołki momentami ledwie dają radę. W końcu jednemu biedakowi ładunek tak się przekrzywia, że

poganiacze muszą zrobić przerwę i przepakować osiołka.

Dzisiejsze widoki są najładniejsze ze wszystkich dni naszego trekkingu. W końcu jesteśmy w głęboko wrytej dolinie, a po chwili już mozolnie wąską ścieżką wspinamy się po zboczu do góry, do kolejnej przełęczy. Szybko mijamy odpoczywających Holendrów, aby wejść na górę bez ich wrzasków. Uff po pewnym czasie docieramy na przełęcz. Widoki są przepiękne. Góry mają tu różne kolory, od brązu i czerwieni skał, aż po lekko zielony, tam gdzie pojawiają się łąki niskiej i skąpej trawy. Całość w promieniach słońca powoduje, że zbocza górskie w promieniu wielu kilometrów mieniają się różnymi barwami.

Niestety za nami docierają Holendrzy. Kto wlezie z nich na przełęcz wydziera się wniebogłosy. Nie wiem czy to okrzyk radości, że udało im się tu dotrzeć, czy co?

Potem trzeba znowu zejść w dół. Drepczemy dość wąską ścieżką w kolejny wąwóz, który z tego co widać po dużych opadach deszczu zapełnia się wodą. Wszędzie sypią się skały. Wietrzenie tu ogromne. Czego się nie dotknę to mi się rozpada na kawałki. Z tego co widzę muszą to być jakieś wapienne skałki. Po kolejnej godzinie docieramy do niedużej wsi położonej w zielonej dolinie. Wieś Ang to miejsce gdzie można zrobić sobie chwilową przerwę, w kolejnym małym punkcie sklepikowo-restauracyjnym pod spadochronem. Można zjeść zupę, napić się czegoś i ruszyć dalej. Holendrzy też się tutaj zatrzymali.

Po zupie idziemy dalej. Tym razem już drogą wiejską z Ang do Timisgam. Jeden z przewodników Holendrów poleca nam zatrzymać się w Goba guest house. Idziemy w dół wzdłuż wartko płynącej górskiej rzeki. Dojście do Timisgam zajmuje nam jeszcze około godziny. Holendrzy idą dokładnie za nami. Okazuje się, że w Timisgam dokładnie naprzeciw Doby jest ich camping z namiotami.

W dniu dzisiejszym przeszliśmy 15 kilometrów. Goba guest house jest prowadzony przez wielopokoleniową rodzinę, gdzie członków rodziny jest dość sporo.. Dostajemy pokój na piętrze. W innym pokoju jest też inny gość, który bardzo szybko przychodzi nas poznać. To Tobiasz z Niemiec, który siedzi tu już dwa tygodnie i odpoczywa relaksując się czytaniem książek, których zabrał pół plecaka. Czas spędza na nieśpiesznych spacerach po okolicy. Lubi chodzić szlakami. Opowiada nam, że w Polsce był wielokrotnie, bo idzie górami od Niemiec, wzdłuż Sudetów i teraz dotarł już do Tatr. Poza tym bardzo lubi polskie schroniska górskie. Dlatego, że przyjmują wszystkich chętnych, nawet jeśli nie ma łóżek to można się położyć na podłodze.

Niemiec idzie do Ang sprawdzić tamtejsze guest housy, bo chciałby się tam przenieść. My w tym czasie idziemy ścieżką prowadzącą za geuest housem do góry na wzniesienie, na którego szczycie znajduje się klasztor. Wspinamy się tam około 40 minut. Jednak na górze w owym klasztorze nie ma żywej duszy, a wszystkie świątynki są zamknięte na kłódki. Nie ma ani jednego mnicha. Domyślałyśmy się, że wszyscy pojechali dzisiaj do Chonglamsar, gdzie w dniu dzisiejszym nauki prowadzi do ludzi sam Dalajlama. Widok ze wzniesienia na okolicę zapiera dech w piersiach. Wieś ma kształt litery Y. W owym rozwidleniu znajduje się właśnie góra z klasztorem, która dzieli wieś na dwa ramiona. Pięknie wygląda zielona dolina wśród otaczających gołych skalnych ścian. Tak na marginesie Ladakh to raj dla geologa. Nic nie zasłania widoku. Warstw skalnych. Brakuje tu gleby i roślin, nie trzeba niczego kopać.

Czas wracać i to zdecydowanie, bo widzimy że zaczyna się mocno chmurzyć, więc i gdzieś tam wysoko w chmurach słychać, że grzmi kiedy tak schodzimy zaczyna również lekko padać.

Przy naszym guest housie mieszkańcy mają małe obórki, w których siedzą sobie krowki. Obok poustawiane są piramidki ze schnących krowich odchodów. Nie am to jak wszystko wykorzystywać w domowym obejściu. W tak niekorzystnym miejscu, trudno aby marnować nawet krowie placki.

Nawet kiedy siedzimy w pokoju co chwilę słychać muczenie owego przydomowego zwierzęcego dobytku.

W naszym gest housu pod wieczór pojawia się kolejna ekipa. Tym razem turyści z Izraela. No ciekawe zestawienie mamy w miejscu noclegu – dwoje Polaków, Niemiec i trójka Izraelczyków.

Idę się myć. Łazienka znajduje się przy największym pokoju, ale w żadnym z 5 kranów nie ma wody. Woda znajduje się w wiadrze, ale jest tak zimna, że mycie jest na tzw. słowo honoru i bardzo krótkie.

Około 19:30 zostajemy wszyscy zaproszeni na obiad. Wtedy okazuje się jak liczna jest mieszkająca tu rodzina. Mieszkają tu 3 dorosłe córki i 2 synów, a wszyscy jeszcze posiadają swoje dzieci. W dużej kuchni (oczywiście tradycyjnie zastawionej szafami i garnkami) robi się bardzo tłoczno. Jemy nie tylko my, ale cała rodzina. Nie wiem ile oni tego nagotowali, aby starczyło dla tylu osób. Na obiad jest ryż, warzywne pierożki momo, dal z soczewicy i kilka rodzajów duszonych warzyw. Wszystko miło rozpływa się w ustach. Obiad jemy przy świecach, bo nie ma prądu.

Potem przenosimy się na taras pomiędzy naszymi pokojami i przy piwie rozmawiamy o swoich doświadczeniach w podróżowaniu. Tobiasz, zna dużo polskich słów (pierogi, kompot, schronisko, drożdże). Trójka Izraelczyków, bardzo szybko znika w swoim pokoju. Jakoś mało są kontaktowi, albo chyba bardziej opaleni indyjskimi ziołami. Za to z Tobiaszem rozmawiamy bardzo długo. W końcu rozmowa schodzi na chleb i jego pieczenie. Okazuje się, iż Tobiasz też piecze chleb na zakwasie. W związku z tym rozmowa przechodzi na rodzaje mąk i sposobie pieczenia chleba. Strasznie to śmieszne. Siedzimy gdzieś w małej wiosce w Ladakhu i rozmawiamy o pieczeniu chleba. Dobrze, że mamy latarki, bo co chwilę znika prąd i zalega ciemność. Tobiasz skombinował skądś piwo i chipsy więc mamy niezłą imprezkę. Tobiasz nigdzie się nie śpieszy, w wolnym czasie rysuje tuszem. Fajny gość.

O 22 idziemy w końcu spać. Jutro rano będziemy wracać do Leh.

31.07.2015 (piątek)

Budzimy się chwilę po godzinie 7 rano. Na 8 schodzimy na śniadanie, które jest całkiem fajne, bo jakieś racuchy, omelet. Żegnamy się z rodziną gospodarzy i Tobiaszem i schodzimy drogą jakieś 500 metrów do rozwidlenia dróg we wsi, gdzie podobno między 9, a 9:30 ma jechać autobus do Leh. Siedzimy sobie na murku, a wraz z nami na autobus czeka jeszcze parę osób, czyli to bardzo dobry znak. Autobus pojawia się dokładnie o 9:25. nie jest duży, ale na razie wszyscy się mieszczą.

Jedziemy z powrotem do Leh. Cała droga zajmuje nam około 2,5 godziny. Cały czas ciągnie się wzdłuż ścian skalnych, z których non stop coś się sypie. Ludzie mają tu sporo do roboty, aby każdego dnia drogi były przejezdne. W końcu docieramy do tej części trasy, którą jechaliśmy do Likir.

Po 12 jesteśmy w Leh. Teraz jeszcze kwadrans dreptania z dworca autobusowego do Bimli i już witamy się z Bamem, który oczywiście mówi, że nasz pokój „waiting, waiting for us”. Hehe, Bam zostawił specjalnie dla nas pokój z telewizorem. Jak miło. Oddaje nam zostawione wcześniej bagaże i dopytuje się jak tam było na trek. Potem każe nam iść odpoczywać i brać prysznic zanim jest ciepła woda w kranie. Co oczywiście skrzętnie czynimy, a pranie wynosimy do pralni znajdującej się obok hoteliku. Za jedną rzecz pralnia bierze opłatę 30 rupii (około 1,70zł)

Kiedy trochę odpoczywamy, idziemy do agencji sprawdzić jak mają się sprawy wyjazdu do Tso Moriri, ale w naszej agencji okazuje się, że jest tylko jedna osoba chętna. No to lipa. Za drogo, aby dzielić przejazd na trzy osoby. Idziemy więc zobaczyć w innych agencjach. Dobrze, że wiszą kartki z informacjami, kto czego szuka. Chociaż mam wrażenie, że agencje i tak sobie wiele z tego nie robią, bo przecież w ich interesie jest wysłać jak najwięcej samochodów, a nie jak najwięcej osób upchać do auta. W jednej z agencji okazuje się, że zainteresowana takim wyjazdem osoba będzie o 18:30, w drugiej, że o 19. Hmm czyżby ta sama osoba chodziła od agencji do agencji tak jak my? Dobra wrócimy w takim razie później.

Teraz czas na jedzenie. Wracamy po raz kolejny do restauracji w centrum miasta na placu

między budynkami – Randevous Cafe – dzban miętowej herbaty, pizza i ryż z warzywami wraz z czosnkiem i imbirem powoduje, że żołądki mamy napełnione. Można kombinować, co robić dalej. Jedzenie pyszne, ponownie nie jest ostre...

Po obiedzie czas na małe zakupy... spodnie, piękne wdzianko, dzwonek tybetański i... słownik hindi-angielski za całe 10zł, a w Polsce kosztuje od 150zł dokładnie taki sam. Chociaż sprzedawca nie mógł zrozumieć po co mi taki słownik. Włączymy się po mieście zaglądając do lokalnych sklepików. Szkoda, że większość książek jest po angielsku. Oczywiście właściciele sklepików znowu nas wciągają do środka abyśmy coś kupili. Znowu nie ma prądu, więc zanim wejdziemy do ciemnego wnętrza sklepu, właściciel włącza generator, aby móc oświetlić swój dobytek. Niektórzy już nas pamiętają i z chęcią by nam coś sprzedali.

Wracamy do agencji, poszukiwana przez nas osóbka to Francuzka, z chęcią pojedzie z nami do Tso Moriri. Okazuje się, że to nie ona była w tej drugiej agencji. Postanawiamy tam pójść we trójkę i zobaczyć, czy faktycznie byłaby to kolejna osoba do samochodu. W agencji faktycznie spotykamy Niemkę, która okazuje się być Polką. Świetnie jest nas czwórka. Umawiamy się, że jutro spotkamy się tutaj o godzinie 20 i sfinalizujemy wyjazd. Rezygnujemy z przejazdu z Tso Moriri do Manali. Skoro widzieliśmy Dalajlamę tutaj, to nie ma sensu jechać do jego siedziby w Dharamsali. Dzięki temu zyskujemy czas. Możemy pojechać nad Tso Moriri, wrócić do Leh i dopiero wtedy pojechać do Manali i dalej do Amritsar.

Po zebraniu grupy na wyjazd do Tso Moriri jesteśmy w dobrych humorach, Polka – Anna, umawia się z nami na jutro rano. Razem pojedziemy do Tiksey i Shey – lokalnych klasztorów. Chodzimy po centrum Leh, które przez ostatnie dni naszej nieobecności przemieniło się z kamienistego podłoża już w betonowe. Prace postępują nad wyraz szybko. Podobno w Choglamsar na naukach Dalajlamy były tysiące ludzi, a on sam nauczał mieszkańców od godziny 8 do 13!!! toteż nie ma co się dziwić, że wsie w okolicy były wyludnione, skoro wszyscy z okolic pojechali na doroczne nauki Dalajlamy. Ladakh to jedyne miejsce, gdzie dalajlama przybywa z naukami każdego roku, specjalnie dla tutejszej ludności.

Kiedy tak spacerujemy po głównych uliczkach Leh, napotykamy na akcję fotografujących mnichów. Włoszka z pewnej fundacji ustawiła niebieski ekran na ulicy, gdzie młodzi mnisi i mniszki zapraszają turystów do fotografii. Wieczorem odbieramy nasze zdjęcia od fotografa.

Leniwy dzisiejszy dzień, ale grunt, że udało nam się wstępnie załatwić ludzi na wspólne dzieleni samochodu.

Dzień kończę oglądając w indyjskiej telewizji program „Sab se anokhi award”, czyli rozdanie nagród w indyjskim filmie komediowym. „Sab se anokhi award” - oznacza „ze wszystkich wyjątkowa”. A kategorie są przekomiczne. Nagrody otrzymują np. najbardziej wyjątkowa komedia, rodzina, przyjaźń bohaterów filmowych, biedaczyna (???), siłacz (????), magik (?????) i jeszcze milion innych kategorii. Pokazywane są nominowane osoby w danej kategorii, a potem w kiczowatej scenerii przyznawane są owe nagrody. Dlaczego kiczowata sceneria? Bo na owej scenie znajduje się wieża Eiffla, piramida Cheopsa i parę innych „budowli”, które nie bardzo wiem jak łączą się z tym iwentem. Jak widać jednak widownia i sami aktorzy bawią się znakomicie, jakby otrzymywali amerykańskie Oscary. A mnie ten program wciągnął niesamowicie, że oglądam go do samego końca.

Zresztą jak klika się po wszystkich kanałach, a jest tu ich kilkaset, to kanały telewizji indyjskich momentami są mega, ale to mega kiczowate. Najlepsze jednak są wszelkie show, które przygotowane są na pomyśle zachodnim, a można spotkać również w Polsce. W reklamach między programami, bardzo często reklamowane są nowe hity kinowe Indii. A hitem ma być niedługo puszczony w telewizji film PIKU, którego premiera w kinie była późną wiosną, a i ja widziałam go w krakowskim kinie Kijów. Oczywiście w reklamach występuje bożyszczko indyjskiego kina czyli Shah Rukh Khan, który reklamuje wszystko od pasty do zębów, po włoską armaturę łazienkową. Można? Można...

01.08.2015 (sobota)

Pobudka o 6:50. 25 minut później jesteśmy w Dolfinie na śniadaniu, gdzie oczywiście jem kanapkę z serem jaka.

Po śniadaniu spotykamy się z Ania i idziemy na dworzec autobusowy. Jedyne autobus, który stoi na dworcu, to jadący w przeciwną stronę do Alchi. No to nie pozostaje nam nic innego jak wziąć taksówkę. Okazuje się, że Ania mówi po... tybetańsku. Mamy niezły szok. Szybko negocjuje cenę przejazdu do Tiksey. Potem dopytujemy się skąd zna tybetański. Ania cztery lata mieszkała w Dharamsali i uczyła się tybetańskiego, aby móc studiować buddyjskie księgi. Dzięki temu może dogadać się z Ladakijczykami, bo to dość podobne języki. Przy okazji naszego wspólnego wyjazdu od Ani dowiadujemy się wielu rzeczy o buddyźmie.

Docieramy do Tiksey. O klasztorze Thikse mówi się niekiedy, że to Potala Ladakhu, oczywiście należy do szkoły gelukpa. I jeśli przyjrzeć mu się dokładnie, to rzeczywiście można zauważyć duże podobieństwo do słynnego pałacu z tybetańskiej Lhasy. Swą wielkością znacznie przewyższa pozostałe gompysy ze środkowego Ladakhu. Klasztor wznosi się na wzgórzu, na wysokości ponad 3500 m n.p.m., a swą zabudową nawiązuje do fortu lub twierdzy. Zapewne w przeszłości spełniał również funkcje obronne. Z dachu roztacza się bowiem świetny widok na dolinę Indusu. Można stąd wypatrzeć dawne pałace królewskie w Stok oraz w Shey. Na horyzoncie powinna być widoczna również gompa Matho. Klasztor został ufundowany w pierwszej połowie XV stulecia przez Sheraba Sangpo, jednego z uczniów słynnego reformatora Tsongkapy. Sam władca Ladakhu pozwolił mu tu zbudować klasztor szkoły Gelukpa. Początkowo była to niewielka budowla zwana Lhakang Serpo, co można przetłumaczyć jako „Żółta Świątynia”. Powstała w okolicznej wiosce Stagmo. Właściwy, umiejscowiony na wysokim wzgórzu klasztor, który dziś podziwiamy zbudowano nieco później. Dokonał tego uczeń i kontynuator Sheraba Sangpo, niejaki Palden Sangpo.

Jak to zwykle w buddyjskiej krainie, z powstaniem klasztoru wiąże się też legenda. Podobno w trakcie składania rytualnych ofiar wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Tuż przed ich zrzuceniem do doliny ze szczytu wzgórza, nadleciały dwa kruki i porwały talerz, na którym ułożono tormy (rytualne ciastka, wykonane przeważnie z maki i masła). Zaniósł go do miejsca gdzie dziś wznosi się gompa Thikse. Kiedy Palden Sangpo dotarł na szczyt zauważył, że ofiary są nienaruszone i ułożone w odpowiednim porządku. Poruszony niezwykłym wydarzeniem, uznał je za znak, że tu powinien zostać wzniesiony klasztor. I tak też się stało.

W czasach swej świetności Thikse było drugim najważniejszym klasztorem Ladakhu. Większym prestiżem i władzą cieszył się tylko Hemis. Wśród gomp, które mu podlegały można wymienić choćby Likir, Diskit, Stok oraz Spituk. Mieszkańcy kilkudziesięciu lokalnych wiosek zaopatrywali klasztor w żywność i wszelkie niezbędne do jego istnienia zasoby.

Na terenie klasztoru wzniesiono aż 10 świątyń. W jednej z nich znajduje się wysoki na 15 metrów i zajmujący dwie kondygnacje posąg buddy Majtreji. Kaplica powstała dla uczczenia wizyty 14 Dalajlamy w Thiksey, która miała miejsce w 1970 r. Podobno na powstanie posągu potrzebne były aż cztery lata...

Tutaj znajduje się jeden z najważniejszych klasztorów, gdyż w jednej ze świątyń znajduje się posąg Buddy Majtreji – Buddy Przyszłości. Właśnie przed owym posagiem siedzi trzech mnichów z Dharamsali i odprawia mantrę. Nie do każdej świątyni mogą wejść kobiety. Paweł ma więcej szczęścia i może wejść do innych pomieszczeń, za to my z Anią idziemy oglądać panoramę okolicy z dachu klasztoru. Przed wejściem na dach mnich nam przypomniał, aby nie wchodzić na tę część dachu, gdzie znajduje się świątynia tylko dla mężczyzn. W wielu pomieszczeniach znajdują się kolorowe buddyjskie figury oraz kolorowe freski na ścianach.

Ania od czasu do czasu dyskutuje z mnichami, bo uważa, że kobiety i mężczyźni są sobie równi. Jakoś to mnichów nie przekonuje...

Potem łapiemy małego busika i jedziemy do klasztoru w Shey. Dużo mniej ciekawy niż Tiksey. Chociaż w środku jednej ze świątyń znajduje się kolejny duży złoty Budda.. Przed posągami poustawiane dary od ludzi: mleko w puszcze, soki w kartonikach, chipsy, ciastka itp... Budda też potrzebuje trochę śmieciowego jedzenia...

Sam klasztor został wybudowany w 1655 roku przez króla Ladakhu Deldan Namgyala ku pamięci jego ojca Singay Namgyala i należy do szkoły kagyupa. W klasztorze znajduje się posąg siedzącego Buddy Shakyamuni. Czyli właściwie Siddhartha Gotama z rodu Śakjów – mędrca, założyciela buddyzmu. Jest to drugi tak duży posąg Buddy w Ladakhu mający 12 metrów wysokości.

Znowu łapiemy busik i wracamy do Leh, aby w Randevous Cafe zjeść mały obiad: paneer tikka masala (czyli indyjski ser w sosie), a Paweł zupę thukpę. Moje danie okazuje się być mocno ostre, więc wypijam jeszcze na złagodzenie tej ostrości mango lassi. Siedzimy sobie tutaj z Anią jeszcze ponad godzinę i umawiamy się na wieczór w agencji. Zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

Wracając do hoteliku kupuję torebkę ze skóry jaka. Sprzedawca dwoi się i troi aby mi ją sprzedać. Negocjujemy cenę. Sprzedawca twierdzi, że w tym roku jest zdecydowanie mniej turystów i trudno mu coś zarobić.

Coś dzisiaj strasznie gorąco i parno. Wracamy do hoteliku, gdzie w kółko pada prąd. Nie ma więc możliwości oglądania telewizji, próbowania połączyć się z internetem.

Nie ma co robić w hoteliku więc z powrotem idziemy położyć po centrum Leh. Zaglądamy ponownie do okolicznych księgami. Udaj mi się kupić bajki w języku hindi. Łatwe, proste i najważniejsze – rozumiem co tam jest napisane! U napotkanego już parę dni temu muzułmanina kupujemy mielonego szaszłyka w ciapati z surówką. Ale on ma to dobre! Małe stoisko grilla i interes się kręci. Jem również samosę, która o dziwo wcale nie jest ostra. Nie tak jak na południu Indii, że wypalała przetyk.

Po uliczkach Leh płaczą się krowy i osły. Czasem krowy na tyłach restauracji dostają jakieś jedzenie. Wiedzą dokładnie gdzie się kręcić. Są też przy stoiskach z warzywami i owocami. Albo dostana coś od sprzedawcy, albo same się częstują, bo obok stoiska, często jest pudło z rzeczami do wyrzucenia. Krówki więc skwapliwie do tych kartonów zaglądną, bo tam zawsze się coś dla nich znajdzie.

Wracamy znowu do hotelu, ale po 3 minutach znowu brał prądu. Coś dzisiaj w Leh mają pod tym względem sędny dzień. A tu Bam na parterze w jednym z pokoi robi remont. Wszystko jest z pokoju wyniesione, a on z innymi robotnikami buduje jakieś kolumny w pokoju. Mówi, że podpory są potrzebne, bo budynek trochę pęka. Leją więc beton w tym pokoju. No teraz to mu się gumowce przydadają.

Wieczorem idziemy do agencji. Jest Ania, pojawia się Francuzka i jest nawet piąta osoba – gość z Estonii. Mamy więc 5 osób na wyjazd nad Tso Moriri. Jak się martwiliśmy, że nie ma ludzi tak teraz mamy ładny komplet. Wszyscy są zadowoleni. Wyjazd opłacony widzimy się z całą ekipą jutro z samego rana. Załatwiamy jeszcze z Pawłem bilety z Leh do Manali na 5 sierpnia. Właściciel agencji Yeti, jest nad wyraz rzetelnym i uczciwym człowiekiem. Szkoda, że od razu tutaj nie trafiliśmy. Ania z nim co chwilę rozmawia po tybetańsku i się dogadują.

Pakujemy się po raz kolejny na jutrzejszy wyjazd. Oczywiście znowu zostawiamy nasze rzeczy niepotrzebne u Bama, a zabieramy na dwa dni tylko to, co niezbędne.

Wieczorem w końcu jest prąd, bo działa generator. W telewizji trafiam na teledysk z filmu Bangistan, który był też kręcony w Krakowie, więc w teledysku pojawia się krakowski rynek i gość w krakowskim stroju. O taki polski element w Indiach. Potem jeszcze oglądam Idol Junior, gdzie dzieci przygotowały dla głównego jurora nagrodę nobla. Owa nagroda okazuje się być figurką składającą się z 9 sztuk bydła. Skąd taki nobel? To zbitek indyjskich słów. „No” oznacza dziewięć, a „bel” - bydło. Więc nobel to po indyjsku 9 sztuk bydła.

No to możemy iść spać jutro kolejny wyjazd...

02.08.2015 (niedziela)

Znowu pobudka przed 7 rano. Po chwili już jesteśmy tradycyjnie w Dolfinie na śniadaniu. Potem idziemy pod agencję. Pojawia się Ania, Estończyk – Artur, a Francuzki coś brak. Postanawiamy trochę poczekać i idziemy do kafejki obok na herbatkę i ciastko. Po pół godzinie cała zdyszana pojawia się. Strasznie nas przeprasza, ale tłumaczy nam, że z samego rana zmieniała hotelik i był problem ze znalezieniem, stad jej tyle czasu zajęło i się spóźniła.

Ania z panem z agencji cały czas rozmawia po tybetańsku. Tashi z agencji mówi, że młodzi już nie mówią czystym tybetańskim, tylko mieszanką.

No to czas ruszać. Mamy fajne duże auto. Jeszcze spokojnie zmieściłyby się dwie osoby. Nasza trasa początkowo wiedzie ponownie Leh – Manali. Mijamy po raz kolejny Shey i Tiksey. Na check poincie mamy telefon z agencji, że musimy jechać odwrotne kółko, bo droga jest zatarasowana przez osuwisko. Dolinami płyną potoki, które są głównie z topniejących śniegów. Zresztą gdzie się nie spojrzy po nagich stokach górskich płyną wartkie strumienie spod wysoko położonych płatów śniegu. W wielu miejscach są widoczne pozostałości po drogach strumieni, ale śnieg już stopniał, więc nic już nie płynie. Jedziemy i jedziemy krajobraz zmienia się co jakiś czas.

Teraz wdrapujemy się licznymi serpentynami coraz wyżej i wyżej, aby dotrzeć do drugiej najwyższej przełęczy położonej na 5 328m n.p.m. Tanglangla. Trochę śniegu jeszcze dookoła jest. Wszędzie na przełęczy powiewają proporce. Zresztą tak samo jak na poprzednich przełęczach. Brak niestety jest tu kawiarenki, więc nici z czekoladek czy dobrej herbaty. Wysokość znowu robi swoje i ponownie zaczynają się problemy z oddychaniem. Na szczęście po kilkunastu minutach zjeżdżamy w dół. Co jakiś czas przejeżdżamy strumień, który swoim nurtem rozorał drogę. A to przecież główna trasa Leh – Manali o oficjalnej nazwie National Highway NH-1. Jak to Paweł stwierdził „high” czyli wysoka, bo raczej z autostradą nie ma nic wspólnego. Co kilkanaście kilometrów stoją koparko – sypcharki. Nie ma co się dziwić, główną trasę z tego regionu jakoś trzeba utrzymać aby była przejezdna. Są też ekipy „sprzątające” gruz, kamienie. Wszyscy wyposażeni w łopaty i kilofy. I tutaj pojawia się całkiem ciekawa metoda używania łopaty. Do trzonka przyczepiony jest sznurek. Jedna osoba kopie, a druga osoba ciągnie za sznurek, aby tej pierwszej łatwiej się kopało.

W końcu jesteśmy niżej. Jedziemy w kierunku Manali już prawie trzy godziny. Kiedy tak jedziemy kierowca musi zawrócić, bo przegapił drogę, a właściwie dróżkę, prowadzącą do jeziora Tso Kar. Jedziemy bezdrożami. Dookoła krajobraz podobny do księżycowego. Świetne góry, których warstwy skalne postawione są prostopadle do gruntu. Warstwy słabsze są wypłukiwane, więc szczyty są ostre i poprzecinane zagłębieniami. Takich form nie widziałam jeszcze nigdy.

Robimy krótki przystanek w przydrożnej restauracji składającej się z namiotów. Jedziemy poprzez kamienisty krajobraz i płaskowyże, gdzie jest nawet asfaltowa droga, bo skoro to płaskowyż, to nie ma zboczy i nic na asfaltową drogę nie spada.

Docieramy nad jezioro Tso Kar – kolejnego słonego jeziora. Jezioro położone wśród gór o długości 7km, a szerokości 2km. Właściwie to tego jeziora nie jest wiele, bo to głównie mokradła. Chyba jest w większości wyschniętym jeziorkiem. Przez to można tu znaleźć dużo soli, którą nomadzi z tego regionu eksportowali na cały Tybet. Tu robimy przerwę na lunch w namiocie ze spadochrony. Chowmain smakuje tak jak kosztuje. Co można dostać za 30 rupii, czyli 1,70zł? Ale przynajmniej zapchało nam żołądek.

Wsiadamy dalej i jedziemy. Krajobraz znowu się zmienia. Skończyły się płaskowyże, ale pojawiają się „sypiące” góry. Od czasu do czasu mijamy małe osady nomadów, mieszkających w namiotach. Dookoła biegają dzieci o niesamowicie ogorzałych twarzach i tak skołtunionych włosach, które dawno nie widziały grzebienia.

Po kolejnych godzinach jazdy, minięciu kilku trawiastych dolin z pasącymi się końmi naszym oczom ukazuje się jezioro Tso Moriri położone w obrębie płaskowyżu Changthang w Ladakhu, w Indiach. Przy wysokości lustra wody wynoszącej 4595 m n.p.m. jest jednym z najwyższych położonych jezior świata. Nie posiada naturalnych odpływów, zasilane jest natomiast wodą z

topniejącego śniegu i lodowca. Z uwagi na unikatowe warunki ekologiczne, w listopadzie 2002 roku wpisane zostało na listę obszarów chronionych konwencją ramsarską.

Wiele z gatunków ssaków żyjących w okolicach Tsomoriri to gatunki endemiczne dla płaskowyżu tybetańskiego. Spośród parzystokopytnych są to: tybetańska owca dzika, kiang i gazela tybetańska. Pozostałe endemity to: świstak himalajski, trzy gatunki szczekuszkowatych. Inne zwierzęta zamieszkujące region jeziora to: pantera śnieżna, wilk tybetański, ryś. Na podstawie przeprowadzonego w roku 1996 dziesięciodniowego badania rejonu jeziora i okolicznych mokradeł, stwierdzono obecność 34 gatunków ptaków.

Od czasu zbudowania drogi do niedostępnego niegdyś dla turystyki i gospodarki rejonu jeziora, pojawiło się dużo czynników zagrażających jego środowisku:

- negatywny wpływ działalności ludzkiej na stan łągowisk okolicznego ptactwa,
- stopniowa degradacja pastwisk poprzez nadmierny wypas bydła,
- zakłócanie bytowania zwierząt przez zorganizowane wycieczki turystyczne,
- nieodpowiedzialne zachowanie turystów tropiących dziką zwierzynę,
- wzrastające zanieczyszczenie środowiska w miejscach o zwiększonym ruchu turystycznym (szlaki trekkingowe, pola namiotowe) i brak zorganizowanej procedury usuwania odpadów,

Mijamy jeszcze obowiązkowy check point, gdzie wojsko sprawdza nasze pozwolenia. Jezioro znajduje się w otoczeniu gór. Dzikie gęsi pływają przy brzegach jeziora. Droga do wsi Korzok prowadzi wzdłuż brzegu jeziora. Korzok – wieś na zachodnim brzegu jeziora Tso Moriri. Korzok jest największą wioską w rejonie doliny Rupshu. Znajduje się tu wybudowana w roku 1636 gomba o tej samej nazwie. Wioska jest jednym z nielicznych miejsc, w których osiedlili się nomadzi z plemienia Changpa. Korzok znajduje się na wysokości 4530 m n.p.m

Do wsi docieramy około godziny 17:00. Jezioro w otoczeniu gór, których szczyty pokryte są śniegiem, a dodatkowo w zachodzącym słońcu wygląda niesamowicie. Jest to wręcz nierealny widok. Jezioro jest raz zielone, raz granatowe. Nad górami zbierają się ciężkie granatowe chmury. Zaczyna grzmieć. Szybko znajdujemy lokalny guest house. W jednym z pokoi całe masy rozłożonej wełny z kóz. Zostawiamy rzeczy i biegniemy nad jezioro, aby zdążyć przed zachodem słońca i deszczem.

Szukamy ścieżek na skróty, aby jak najszybciej dotrzeć nad brzeg jeziora. Zielone zboże, niesamowicie kontrastuje z granatem jeziora i chmur. Do tego jeszcze żółte skały pokryte białym śniegiem.

Sama wioska jest bardzo surowa. Domy zbudowane ze skał i gliny. Wszędzie susza się odchody, a zwierzęta płaczą się pomiędzy domami. Babcie przed swoimi domami przędą wełnę z kóz.

Oprócz kilku guest housów we wsi znajdują się namioty dla turystów. Ciekawe te namioty, bo one są zdecydowanie droższe niż nocleg w guest housie. Namiotów cała masa, a turystów jak na lekarstwo. Całą dolinę przecinają liczne strumienie, które ostatecznie łączą się w jeden, który wpada do Tso Moriri.

Idziemy do budynku obok naszego guest housu, w którym mieści się coś na kształt restauracji. To po prostu jedno z pomieszczeń w domu lokalnych mieszkańców, do którego wstawiono 3 stoliki i krzesła. Zamawiam ryż, ale nie widzę, co potem jem, bo nie ma światła, tylko jakieś świece. Smakuje bardzo dobrze. Paweł je thenthuk, czyli zupę z dużymi domowymi kluchami. Kiedy tak siedzimy i jemy, do restauracyjki przychodzi troje Francuzów, kiedy słyszą jak Ania z gospodynią rozmawia po tybetańsku, to momentalnie milkną. Ich miny mówią wszystko. Totalne zdziwienie. To tak jak rano Estończyk z naszą Francuzką patrzyli na Anię w agencji. Znajomość tybetańskiego to jest jednak coś. Nie ma wątpliwości, że można się totalnie zadziwić, iż Europejczyk może posługiwać się w takim języku.

Zjadamy kolację, pijąc już kolejną herbatę z imbirem. Robi się zimno więc postanawiamy iść spać. Woda w łaźni jest tak zimna, że o myciu nie ma mowy. Robimy dzień dziecka i o 20:30 pakujemy się do śpiworów, bo zimno. No to kolejna noc na 4 600m n.p.m. Za oknem zasypianie

umila nam ryczący wniebogłosy osioł. Początkowo nie mogę zasnąć, bo mój oddech jest krótki i kiedy już zasypiam to budzę się, bo nie mogę złapać tchu. Ale w końcu to przechodzi i mogę spać do rana...

03.08.2015 (poniedziałek)

Budzimy się o 7 rano, ale ależ to była długa noc, ale na całe szczęście przespana. Nie budziłam się z powodu braku tlenu i nawet mnie głowa nie boli. Idziemy na śniadanie do tej samej restauracyjki co wczoraj, zresztą wyboru i tak we wsi nie ma. Czekając na śniadanie Ania wraz z Estończykiem rozmawia o buddyzmie. Estończyk również ma sporą wiedzę na ten temat. Jak się okazuje są 4 równorzędne szkoły buddyzmu, ale najbardziej znana jest właśnie ta Dalajlamy. Jemy ciapati z omletem i grzejemy się ciepłą herbatą. Poranek dość zimny, a miejscowi okutani w ciepłe kurtki i czapki.

Po śniadaniu jedziemy jeszcze kawałek dalej za wieś, na punkt widokowy. Z tego miejsca roztacza się przepiękny widok na większą część jeziora. Muszę przyznać, że jezioro Moriri jest ładniejsze od Pangong, ale do tego drugiego jest ciekawsza droga.

Okazuje się, że jednak nie zrobimy kółka i musimy wracać znowu przez Korzok, gdyż droga dalej nie jest przejezdna. No nic przynajmniej „zapamiętamy” tutejsze wioski. Dzisiaj dopiero zauważamy, że pewien fragment naszej trasy wiedzie przez obszar gazowych wyziewów. Grunt pokryty jest lekko żółtym nalotem z siarki. Tuż przy jeziorze Tso Kar na zielonej łące odkrywamy sporych rozmiarów gejzer. Super. Zatrzymujemy się, ale jest dość daleko. Trzeba najpierw przekroczyć rzeczkę w bród, a potem przejść jeszcze łąkę która cała nasączona jest wodą. Najłatwiej idzie się po wystających kępach traw. Jednak momentami trzeba iść w wodzie. Gejzer jest prawdziwy. Od wyrzucanej wody z minerałami zdążył wybudować komin. Woda jest mocno gorąca, bo jak zbliżyłam się to mi woda poparzyła palce u stóp. Pod spodem musi być niewielki zbiornik wodny, a dużo ciepła, bo gejzer wyrzuca wodę non stop. Jedna fontanna opada, a druga już się pojawia. Na tej mokrej łące pasą się konie. W sumie nie wiem, czy takie napotykanne konie są czyjeś czy dzikie. A może i takie i takie?

Wracamy dalej mijamy miejsca, gdzie trochę drogi zjechało. Niestety z przyrodą w takich miejscach trudno jest wygrać. Mijamy kolejne dzieci z namiotów. Nie chciałabym tu mieszkać, nawet jakby mi za to płacili. Przerwę robimy sobie dopiero przy drodze Manali – Leh. Gdzie czekając na zakup chińską słyszymy polskie przekleństwa. Na motorach właśnie przyjechała grupa Polaków. Jeden coś tam po drodze zgubił i teraz klnie jak szewc. Ehhh Polaków pozna się wszędzie.

Znowu czas na przejazd przełęczą Tanglangla, czyli ponad 5000m n.p.m. Daję radę. Jeszcze parę dni, a już chyba nie będę odczuwała skutków wysokości.

Docierając już do Tiksey widzimy w obniżeniach bardzo dużo wody. Podobno wczoraj dużo padało. Momentami na drodze są całe masy błota. Auta jadą całe umazane błotem. W Leh stoimy w korku. Ze szkoły akurat wyjeżdża kilka szkolnych autobusów, a na drodze cała masa uczniów w mundurkach. 1 sierpnia rozpoczął się nowy rok szkolny.

Dopiero koło 17 docieramy pod naszą agencję. Okazuje się, że wycieczki do Pangong i Nubry są odwołane z powodu zaniknięcia dróg. Zeszły osuwiska i wszystko zablokowały.

Wracamy do naszej Bimli, a pan Bam oczywiście informuje na że nasz „room waiting, waiting”. Świetnie dostajemy z powrotem nasz ulubiony pokój.

Czas szybko się umyć, bo o 18 umówiliśmy się z Anią na obiad. Kiedy wychodzimy z hoteliku zaczyna padać. Idziemy na ulicę Changspa na kurczaka. Obok płynie rzeka. Duże zbiegowisko ludzi się na moście zrobiło, bo podobno przed chwilą rzeka nabrała mocy i brązowego koloru. Z hukiem niesie błoto i glazy. Wali tym tak, że czuć dookoła wibracje. Gdzieś w górach nastąpiło oberwanie chmury i teraz to wszystko spływa w dół. Jemy obiad odgradzeni od tej rzeki

wielkim murem. Widać, że miejscowi są do tego przyzwyczajeni. Po obiedzie przenosimy się do knajpki z tarasem, aby wypić tutejsze piwo. Z tarasu ma się widok na całe miasto. Żegnamy się z Anią umówieni na jutrzejszy obiad i wracamy do Bimli.

Znowu zaczyna padać, gdzieś tam coraz bliżej słychać grzmoty. Do tego dochodzi głos muezina. A w pokoju co chwilę zanika prąd i załączają agregat. Oczywiście internetu nie ma. Znowu coś im się popsulo na dłużej.

Jutro dzień odpoczynku, tym bardziej, że o 1 w nocy mamy autobus do Manali, więc czeka nas prawie doba jazdy, a to już zawnazs trzeba nabrać sił na taką podróż.

04.08.2015 (wtorek)

Budzę się w nocy parę razy. Pada. Niedobrze... Muszę wstać i zamknąć okno. Kiedy rano się już definitywnie budzę, pada dalej. Na korytarzu słyszę naszego bama, który w hindi mówi do kogoś „zjada pani” czyli dużo wody. Oj brzmi to już naprawdę źle. Potem słychać, że ktoś chyba Bam łązi po dachu i wręcz zrzuca duże ilości wody na dół. Wstaje i widzę, że cały jego ogródek pływa od tej wody z dachu. Inni też na swoich dachach robią to samo. Hmm a podobno w Ladakhu w okresie wakacji wcale nie pada. To co to jest?

Paweł niestety znowu ma problemy żołądkowe. Wręcz zmusza się, żeby pójść na śniadanie. Jak jego dopadło, to tylko czekać jak z opóźnieniem dopadnie i mnie. Tym bardziej, że wczoraj jedliśmy to samo...

Wychodzimy na korytarz i... już tu można otworzyć parasol. Na całej długości sufitu leje. Wykładzina na korytarzu już dawno nasiąkła. W kilku miejscach jest woda po kostki. Ciekawe jak to wysuszą. Jutro tu będzie nieźle śmierdziało. Na ścianach porobiły się wielkie zacieki. Swoją drogą to ciekawe ile pokoi zalało, bo nasz o dziwo cały jest suchy. Dobrze, że jest wysoki próg na korytarzu, bo inaczej mielibyśmy wodę w pokoju.

Zjadamy śniadanie w Dolfinie, a że pada, to wracamy do pokoju. Paweł śpi, a ja robię zaległe notatki i czekam aż deszcz przestanie padać. Martwi mnie to coraz bardziej, bo przecież w nocy mamy jechać do Manali, a taki deszcz nie wróży niczego dobrego.

W końcu kiedy przestaje mocno padać, a tylko kropi postanawiam iść do centrum i choć trochę połązić krętymi uliczkami starego centrum. Zaglądam na największy tybetański bazar, gdzie kręcą się bez celu turyści, a sprzedający zabezpieczają swoje dobra przed przeciekającym dachem wielkiego namiotu bazarowego. Chyba ta pogoda sprawia, że nawet sprzedawcy nie sądzą, że sprzedadzą dzisiaj dużo rzeczy, więc bardzo szybko udaje mi się wytargować dobrą cenę za piękny tybetański wisior. Potem jeszcze znajduję śliczne wdzianko, po które chyba wrócę jeszcze wieczorem. I co mnie zbija z nóg sklep desiguala z hiszpańskimi ubraniami, ale szytymi w Indiach. Sprzedawca zachęca do kupowania pokazując że ceny są tu zdecydowanie niższe niż w Europie. No faktycznie tak jest... Skoro tak się sama płczę, to z każdego sklepiku ktoś wyskakuje, aby mnie tam wciągnąć i coś mi sprzedać. Pogoda nie służy również sklepikarzom.

W końcu wracam do Pawła. Nie czuje się dobrze... a nawet jest gorzej. Nawet wody nie pije zbyt dużo. Po godzinie 16 wychodzimy coś zjeść i sprawdzić jak nasz bus do Manali. Okazuje się, że bus dzisiaj nigdzie nie pojedzie. Te co wyjechały dzisiejszej nocy musiały zawrócić do Leh, bo droga jest nieprzejezdna. W sumie to się nawet cieszę, bo to może i lepiej, że dzisiaj nigdzie nie pojedziemy, bo Paweł wygląda coraz gorzej. Idziemy coś zjeść razem z Anią. Jedzenie musimy skończyć dość szybko, bo Paweł wygląda już źle. Tashi z naszej agencji turystycznej załatwia szybko taksówkę i jedziemy do szpitala. Przynajmniej już wiemy gdzie jest i jak wygląda procedura przyjęcia. Paweł szybko zostaje przyjęty przez lekarza. Dostaje przepisaną kroplówkę z glukozy, metronidazol i zastrzyk na wymioty. Lecę do apteki, po część specyfików, bo nie ma w szpitalu wszystkiego. Rety apteka to straszny bałagan. Szafy do sufitu, pudełka porozwalane, bo przecież muszą być pootwierane, bo wszystko sprzedaje się nas sztuki. Leki których potrzebuję są tanie jak

barszcz. Płacę jakieś 5 złotych.

Potem Paweł trafia do sali gdzie są przyjmowani chorzy „na chwilę” i pielęgniarka podaje mu zastrzyk i pierwszą kroplówkę. Masakra znowu muszę pilnować, co robią ze strzykawkami. Machają nimi w prawo i lewo, kładą gdzie popadnie i jeszcze rękawiczek nie używają.

Siedzimy i czekamy jak zejdzie cała kroplówka z metronidazolu. Przy okazji oglądamy ludzi przywożonych na tę izbę przyjęć. Niektórzy w dość ciężkim stanie. Jakiś dziadek chyba po jakimś udarze, potem przywożą kobietę, która krzyczy i trzyma się za głowę. Chyba ma jakieś straszne bóle. Rodzina ją trzyma, bo się strasznie szamocze. Lekarz szybko załatwia sprawę. Matko, a my tu siedzimy z biegunką i zatruciem... Teraz czekamy aż zejdzie kolejna kroplówka z glukozą. Paweł zaczyna odzyskiwać siły i chęć rozmowy. Nudno w szpitalu nie jest. Cały czas ktoś się tu kreci, wchodzą różni chorzy. A błota wszędzie sporo. Oczywiście nikt tu podłogi za bardzo nie czyści. Jacyś Hindusi przywożą kumpla do szpitala, cierpi na brak tlenu więc zostaje w tej samej sali co Paweł podpięty do butli z tlenem. Po dwóch godzinach możemy wracać do hotelu. Paweł od tej glukozy odzyskał siłę.

Wracamy taksówką do Bimli. Mówimy Bamowi, że zostajemy jeszcze jeden dzień, co bardzo cieszy naszego gospodarza. Pozostaje nam teraz odpoczywać i zobaczyć co jest w telewizji. Akurat przeglądam kanały z wiadomościami. Mają jakąś obsesję na punkcie kanałów informacyjnych, można tam dostać oczopląsu. Nie dość, że przez ekran z różnych stron lecą informacje pisemne, to jest tego tyle i tak szybko, że nawet nie jest się w stanie tego przeczytać, jakby tego było mało to ekran często podzielony jest na 8 części, gdzie każda część to jeden człowiek. Robią sobie telekonferencję i debatują. Ale jak! Nie rozmawiają normalnie – wrzeszczą na siebie. Nie wiem jak można cokolwiek z takiego kanału zrozumieć. Kiedy tak klikam po tych kanałach, to wszystkie wyglądają tak samo. Chaos totalny.

Koło 22 czuje, iż robi mi się niedobrze. 2 razy odwiedzam łazienkę. Mam i biegunkę i wymioty. Nie wiadomo czym najpierw zająć się w łazience... To prawdziwe szczęście w nieszczęściu, że dzisiaj nigdzie nie jedziemy, bo jakoś sobie tego nie mogę wyobrazić. Chyba byśmy po drodze umarli.

Czas spać... może jutro będzie lepszy dzień. Niech tylko przestanie padać, a nam wróci zdrowie.

05.08.2015 (środa)

Budzę się rano. Pogoda za oknem jest w porządku. Mam lekką biegunkę, ale czuję się w miarę dobrze. Na śniadanie też idę bez problemu i jem jajecznice i podpiekane bułki z masłem. Potem wracamy do pokoju. Postanawiamy obejrzeć jakiś film, ale niestety w połowie zdycha prąd. Jak zresztą w całym mieście. Laptop słaby, więc po 10 minutach zdycha również i to w całkiem ciekawym miejscu. No cóż, póki nie włączą generatora z filmu nici. No to nie pozostaje nam nic innego jak udać się na spokojny spacer po mieście. Czas na małe zakupy. Wracam po moje wdzianko hinduskie, kupuję śliczny zielony szal, a także w Desigualu w budce drewnianej, całkiem śliczną sukienkę. A co tam... Kiedy targuję się używając hindi, cena mojego szala spada w tempie błyskawicznym. Sprzedawca już nie jest tak stanowczy. Fajne to. Paweł w jednym z małych warsztatów, zamawia sobie wyhaftowanie t-shirta z buddyjskim znakiem „om”.

Wracamy koło 14 do pokoju, ale prądu dalej brak. Czytamy, śpimy, dołączmy nasze chore żołądki. Czekając na wieczór, aby pójść sprawdzić co tam powiedzą nam w agencji. Jedziemy dzisiaj czy nie...

Kiedy mija godzina 17 stawiamy się u Tashiego, no niestety droga cały czas zamknięta. Radzi nam aby przyjść za dwie godziny. Idziemy do hoteliku Ani, ale zostawiła nam informację, że udało jej się pojechać dzisiaj nad Pangong, bo droga była przejezdna. Postanawiamy coś zjeść.

Randevou Cafe ma też pizzę, więc postanawiamy zjeść właśnie tak po europejsku. Mój żołądek ma problemy z dużą ilością sera z pizzy. Ale jakoś daję radę.

Szwendamy się po centrum bez celu. „upiększanie” owego centrum trwa w najlepsze. W czasie naszego pobytu tutaj można zaobserwować duży postęp prac. Sporo tutaj niestety bepańskich psów, po których łązi mnóstwo robaków, aż się na nich wszystko rusza. Tylko niektóre są czyste. Na głównym deptaku kolejny dzień siedzi ten sam muzułmański żebrak, któremu Paweł robi zdjęcia, ale jednocześnie już kolejny raz zostawia mu datek.

Właśnie widzę, że część deptaku do buddyjskiej świątyni w centrum jest już całkiem nieźle wykończona, ale to chyba dlatego, że odwiedzał ją kilka dni temu sam Dalajlama. Trudno, aby chodził tutaj po błocie, czy gruzowisku.

Prądu jak nie ma tak nie ma, bo w wielu miejscach słychać pracujące generatory. No nie ma prądu od samego rana, w sumie to nie ma nawet chwilowych dostaw. Jak tak im pada prąd to nie ma co się dziwić, że człowiek pochoruje się jak zje trochę jedzenia, które popsulo się bo za długo było w niedziałającej lodówce... o ile w ogóle było w lodowce przechowywane. Więcej generatorów zostanie włączonych dopiero, jak się ściemni.

Wszędzie siedzą turyści. Na turystycznej Changspa restauracyjki pełne turystów. Głównie z Izraela. Dla nich to podobno bardzo popularny kierunek podróży i tani. To interesujące, bo odkąd jeżdżę do Azji, to w życiu tylu turystów z Izraela nie widziałam. W sumie to nie dowiedziałam się, co ich tak tu przyciąga.

W eleganckiej uliczce hotelików z wyższej półki pracują agregatory, wielkie niczym szafa. Te to dopiero robią łomot. No ale bogatszy turysta płaci za pokój więcej więc w jego hotelu prąd jest z generatora. W sklepikach z pamiątkami załączają generator, zazwyczaj dopiero jak pojawi się potencjalny klient, aby w ciemnościach nie utonął. Aż mi się nie chce do tych sklepików wchodzić, bo po jakie licho mają włączać te generatory, jak ja nawet nie wiem czy coś kupię.

Paweł o 19 idzie sprawdzić jak tam nasz transport. Wraca i mówi, że nic z tego. Musimy to jakoś teraz przemyśleć, bo zaczyna nam brakować czasu. Jest jeszcze szansa, że damy radę dojechać wszędzie gdzie chcieliśmy jak wyjedziemy jutro w nocy. Pokrzepiamy się jeszcze sokiem z mango. A co tam chyba już bardziej chorzy nie będziemy...

Postanawiamy nie marnować jutrzejszego dnia i wybierzemy się do kolejnej wioski pod Leh – czyli do Stoku. A naszemu panu Bamowi, mówimy, że jednak dzisiaj nie wyjeżdżamy, zostajemy kolejny dzień. Widać jak po Leh snują się wszyscy, ci co tu utknęli. Za bardzo nie da się nigdzie pojechać, bo wszędzie są pozamykane i nieprzejezdne drogi.

Wieczór spędzamy przed telewizorem, bo kiedy zmrok zapada w hoteliku włączają generator. A w telewizji dwa newsy. Pierwszy o wykolejonym pociągu, gdzie zginęło aż 30 osób. Faktycznie pokazują filmy z miejsca wypadku i wygląda to dość kiepsko. Drugi news jest nam bliższy, bo złapano terrorystę z Pakistanu, który przeniknął przez granicę, aby zabić Hindusów. To wiadomość pojawiająca się na kilku kanałach. Na szczęście został złapany przez ludzi. O mało co nie wykonano na nim samosądu.

06.08.2015 (czwartek)

Wstajemy po 8 rano, tradycyjnie śniadanie w Dolfinie, a potem bierzemy taksówkę lokalną i jedziemy do Stoku. Kierowca mówi, nam że jeszcze co najmniej 1-2 dni zanim droga do Manali będzie otwarta, ale równie dobrze może być dłużej. To brzmi źle. Oczami wyobraźni widzę, jak Amritsar i granicą z Pakistanem się oddalają. No dobra na razie jedziemy do Stoku, wrócimy to zajrzemy do Tashiego, jakie ma nowe informacje.

Stok położony jest niedaleko od Leh, znajduje się tutaj klasztor i pałac. Klasztor pochodzi z XIV wieku i został ufundowany przez Lamę Lhawang Lotusa. Najpierw oglądamy klasztor. Jednak cisza i spokój, wszystko w nim pozamykane. Tylko miejscowi malują jaką wiatę. Małym labiryntem przechodzimy pomiędzy budynkami klasztoru i schodzimy do pałacu. O dziwo w pałacu

znajduje się fajne muzeum z tybetańskimi pamiątkami. Znajduje się tu tybetańska kuchnia, jakich wiele widzieliśmy w tym regionie, zastawiona całym mnóstwem naczyń. Są pomieszczenia z ekspozycją strojów, sal modlitewnych. Kiedyś mieszkała tu wysoko postawiona rodzina.

Po obejrzeniu pałacu postanawiamy wracać do Leh. Nic tu nie jedzie, więc pozostaje nam łapać jakiegoś stopa. Zatrzymuje się starszy pan, który zabiera nas i lokalną kobietę z dzieckiem. Kierowca opowiada nam, że po załamaniu pogody droga do Manali jest bardzo zła. Jesteśmy trochę wystraszeni tymi nowinami. Utkniemy tu na dobre? Chyba czas obmyślać jakiś plan awaryjny. Kierowca dowozi nas do Chonglamsar, gdzie wsiadamy do busika i jedziemy do Leh.

Postanawiamy najpierw odwiedzić informację turystyczną, zobaczyć co tam mówią. Tutaj radzą nam jechać do Śrinagaru w Kaszmirze, albo samolotem prosto do Delhi. Do Śrinagaru codziennie z dworca autobusowego jadą busiki na 7 osób przez całą noc. Ale jak tu sprawdzić samoloty, skoro internet znowu nie działa. Zostajemy wysłani do agencji, która poprzez telefon satelitarny jest w stanie sprzedać bilety na samolot. Loty do Delhi z Leh są niedostępne na kilka dni do przodu. Wszystko wykupione. Sprawdzamy loty ze Śrinagaru do Delhi. Na szczęście są. Potem nagle nas oświeca... a ze Śrinagaru lata coś do Amritsar??? Jest! Hurra! Wrócimy na naszą trasę i jednak zobaczymy Amritsar. A bilet na pojutrze kosztuje tylko 200zł. Paweł pędzi do bankomatu po pieniądze. Uff... działa. Przecież tu w kółko są kolejki nawet do bankomatów, bo jak nie ma prądu to i bankomaty nie działają. Kiedy wraca z pieniędzmi możemy kupić bilet na pojutrze ze Śrinagaru do Amritsar. Dobra to dzisiaj musimy się szybko uwijać jest 13:00, busik do Śrinagaru ma być koło 17:00, a trzeba by pojechać wcześniej, żeby się ni okazało, iż nie ma dla nas miejsc. Pędzimy odwołać naszą rezerwację u Tashiego na busa do Manali. Tashi cieszy się, że udało nam się wybrnąć z tej sytuacji i życzy nam powodzenia. Zostawiamy mu też wiadomość dla Ani, aby przekazał, iż pojechaliśmy do Śrinagaru w Kaszmirze.

Lecimy na złamanie karku do hotelu, bo trzeba się spakować. A tu po drodze spotykamy Tobiasa, tego którego poznaliśmy w Timisgam po trek. Siedzi i rozmawia z Francuzami, którzy mają podobny problem jak my. Jadą o 14 autobusem publicznym do Śrinagaru, a my im polecamy kupno tanich biletów lotniczych. Na autobus już nie zdarzymy, pojedziemy prywatnym busikiem. Szybko pakujemy się w hotelu. Żegnamy z Bamem, który nazywa nas swoją siostrą i bratem. Potem jeszcze szybki obiad w Dolfinie, bo czeka nas cała noc jazdy więc nie wiadomo co będzie po drodze. Jeszcze kupienie zapasu wody na drogę. Bierzymy pierwszą z brzegu taksówkę i jedziemy na dworzec autobusowy.

Kręcimy się po placu w poszukiwaniu tzw shered taxi, i znajdujemy jedną jadącą do Śrinagaru, ale za trzy godziny. Mają ostatnie dwa miejsca. Ok bierzemy. Zostawiamy w samochodzie nasze plecaki i przez 1,5 godziny siedzimy w pobliskiej kawiarni i pijemy herbatki.

Co chwilę ktoś krzyczy, że ma wolne miejsca do Manali. Trochę nas to dziwi, a okazuje się, że przejazd jest możliwy, choć niełatwy. Samochód dojeżdża do miejsca gdzie nie może przejechać, a po drugiej stronie lawiniska czeka kolejny samochód. Jedzie się po prostu na raty.

Po półtorej godziny jedziemy z naszym kierowcą za Leh, gdzie ma zabrać z wioski resztę pasażerów. Z nami jedzie jeszcze Japończyk. Ów Japończyk bardzo kiepsko mówi po angielsku. Jak on się uchował?

Docieramy po raz kolejny dzisiaj pod miejscowość Stok, bo stąd jest reszta podróżnych, jak się okazuje to rodzina kierowcy.. dosiada się jeszcze 5 osób w tym dwoje dzieci. Niestety zostajemy wywaleni do trzeciego rzędu, gdzie jest mało miejsca. Jak przeżyją to moje kolana to nie wiem. Wracamy znowu do Leh, już po raz ostatni i w końcu ruszamy na właściwą trasę do Śrinagaru. Wspinamy się po wertepach w górę. Kierowca jedzie, ale jakoś bardzo się spieszy. Na wybojach co chwilę walę głową w sufit. Normalnie wstrząsu jakiegoś dostanę po tej jeździe. Na dodatek siedzący przed nami co chwilę otwierają na maksa okna więc wiele jak diabli. Musimy co parę minut prosić aby to przymknęli bo nam głowę urwie.

Po drodze mijamy kilka check pointów, gdzie trzeba wypełnić mozolnie długie druki, dać paszporty. Japończyk tak sobie nie może z tym poradzić, że nie wytrzymuję. Zabieram mu i druk i

paszport i sama to wypełniam.

W połowie drogi do Kargil, gdzie podobno mamy zmienić samochód z kierowcą, zatrzymują nas miejscowi. Ale nie tylko nas inne samochody również. Nie wytrzymam, znowu jakiś strajk? Ale po pół godzinie trochę samochodów puszczają, w tym również i nas. W sumie nie wiem czemu tak.

Jeden z dzieciaków w samochodzie przez większą część drogi wymiotuje. Na dodatek prosto przez okno. Aż mu dwa razy dają leki na wymioty, ale to u niego chyba jednak silniejsze niż leki. Ale kiedy babcia zaczyna wymiotować, to już masakra... W sumie nie dziwota kierowca jedzie jak szalony po wertepach i zakrętach. O północy docieramy do Kargil. Tu stoi cały sznur samochodów. Zamieniamy samochód i kierowcę i po paru minutach wszyscy jedziemy dalej...

07.08.2015 (piątek)

Koło 3 w nocy kolejny check point, samochody dojeżdżają do posterunku, ale nikt nie otwiera. Kierowcy walą w drzwi i okna, ale niestety nikt nie otwiera. Zamknięte na głucho. No nic kierowcy wracają do samochodów. Kto przyjeżdża następny robi to samo, ale nic z tego nie wychodzi. Drzwi zamknięte na głucho. Wszyscy więc w samochodach ucinają sobie drzemkę. Ciemno dookoła, jak oko wykol. Ani jednego światła, ale za to jakie niebo gwieździste! Też próbuję spać, ale łatwo nie jest. Chociaż chwila snu się przyda, bo stoimy w miejscu, a nie jedziemy po wertepach i walę głową w sufit. Ciekawe bo Japończykowi wertepy nie przeszkadzają i śpi w najlepsze.

Tuż koło 5 rano następuje popłoch wśród kierowców. Zaświeciły się światło i otworzono posterunek. Wszyscy kierowcy rzucili się do drzwi. Znowu trzeba wypełnić formularz. Ponownie zabieram Japończykowi jego druk, bo nie wyjedziemy stąd. Chwilę po piątej i załatwieniu formalności zostajemy puszczeni dalej. Powoli za oknem zaczyna świtać. Znowu jedziemy przez wysokie góry. Momentami jedziemy drogą wyrąbana w litej skale, a gdzieś z drugiej strony dolina. Mało widać jak głęboka, bo strasznie gęsta mgła. Jeszcze widzimy górskie szczyty pokryte śniegami, ale kiedy zjeżdżamy coraz niżej teren zaczyna się zmieniać. W dolinach pojawiają się zielone łąki, na których pasą się kozy, z których powstaje paszmina, potrzebna do najlepszych kaszmirskich szali. W końcu zaczyna się robić zielono. Ciekawa odmiana po trzech tygodniach surowego krajobrazu. Najpierw pojawiają się trawy, potem kosodrzewina, aż w końcu są pierwsze pojedyncze drzewa iglaste. Zjeżdżamy jeszcze niżej, a tu już pełną parą rosną gęste lasy. Krajobraz przypomina nasze góry. Już teraz wiem dlaczego ładnych parę lat temu zakopane wybrano do tego, aby w indyjskim filmie „Fanaa” zagrało górski Kaszmir. Wtedy jeszcze w Kaszmirze trwała wojna. Nasze Tatry to do Kaszmiru to i tak jak kropla w oceanie.

W drodze do Srinagaru podróżnicy przedzierają się najpierw przez przełęcz Zoji, której średnią wysokość szacuje się na ponad 3500 metrów nad poziomem morza. Oczywiście, z tym przedzieraniem się to lekka przesada, przynajmniej w okresie letnim, turystycznym, bo przez przełęcz biegnie indyjska National Highway 1D zbudowana „w odwecie” za pakistańsko-chińską Karakorum Highway. Zoji La jest drugą pod względem wysokości przełęczą na tej trasie i naturalnym przejściem łączącym Kaszmir z Ladakhiem. Zimą różnie z tym „przejściem” bywa, choć władze indyjskie działają w kierunku udroźnienia przełęczą także w okresie wielkich śniegów. Zoji La odegrała ważną rolę strategiczną w czasie pierwszej wojny indyjsko-pakistańskiej w 1947 roku, kiedy to jej przynależność państwowa wcale nie była jeszcze taka pewna, gdyż na jakiś czas przejęły ją wojska pakistańskie. Na przełęcz wjechały nawet czołgi, a potyczka, która wtedy miała miejsce, może być uznana za Najwyższą Bitwę Pancerną Świata, o ile jest to jakikolwiek powód do jakiegokolwiek dumy. Przynależność państwowa gór, przełęczą, jezior i mórz to raczej jeden z przejawów paranoi cywilizacji na planecie Ziemi, niemniej jednak należy pamiętać, że wojna

pakistańsko-indyjska, albo indyjsko-pakistańska, wciąż się tli niewidzialnym płomieniem a przełęcz są wciąż kontrolowane przez różne gotowe do boju oddziały.

Zjeżdżamy dalej z gór i trafiamy na wioski. Domy tutaj całkiem inne niż w Ladakhu. Trochę wyglądają jak nasze rodzime polskie wioski. Większa różnica polega na tym, że wszędzie widać wojsko. Coraz więcej osób w muzułmańskich wdziankach, a mężczyźni w charakterystycznych brodach. Czuje się trochę jakbym była w Pakistanie. Ale to co rzuca się w oczy w porównaniu z Ladakhiem to... bogactwo. Widać, że ludzie mają tu zdecydowanie więcej niż w surowym Ladakhu.

Im bliżej Śrinagaru, tym coraz bardziej okazałe domostwa. Chociaż większość z nich odgradzona od drogi mniejszymi lub większymi murami. To chyba jeszcze pozostałość po niespokojnych czasach w tym regionie.

Geneza konfliktu Pakistańsko - Indyjskiego o Kaszmir

Przed 1947 roku terytorium dzisiejszych Indii, Pakistanu i Bangladeszu było połączone i stanowiło część Imperium Brytyjskiego. W 1947 roku na mocy India Independence Act (czyli ustawy o niepodległości Indii) Wielka Brytania uznawała suwerenność hinduistycznych Indii i muzułmańskiego Pakistanu. Ponieważ Wielka Brytania nie określiła dokładnego przebiegu granic, konflikt pakistańsko-indyjski był oczywisty. Najpoważniejszym punktem zapalnym było terytorium Kaszmiru, krainy położonej w północnej części dawnej kolonii brytyjskiej, przy granicy z Chinami. Indie zdecydowały się na politykę faktów dokonanych i jeszcze w 1947 roku zajęło ten teren siłą.

Pierwsza wojna Pakistańsko Indyjska

Wobec bezczynności Organizacji Narodów Zjednoczonych Pakistan, przy częściowym poparciu miejscowej ludności, zdecydował się na konfrontację zbrojną. Ze względu na specyficzną sytuację etniczną oraz trudne dla działań wojennych ukształtowanie terenu, żadna ze stron nie osiągnęła w trwającej od 1947 do 1949 roku wojnie, wszystkich wyznaczonych celów. Indiom udało się zachować większą, południowo-wschodnią część Kaszmiru, natomiast Pakistan zajął północno-zachodnie terytoria. Obie strony uznały zaproponowaną przez ONZ linię demarkacyjną oraz ustaliły przeprowadzenie plebiscytu na spornych terytoriach w porozumieniu z Karaczi w 1949.

Pozorny pokój

Od tego czasu Pakistan i Indie przestrzegały warunków porozumienia, ale obie strony dawały do zrozumienia, że nie osiągnęły swoich celów, a pokój uważają za przejściowy. Do kolejnej eskalacji napięcia doszło w roku 1954, kiedy Indie dokonały oficjalnej inkorporacji, formalnie autonomicznej, swojej części Kaszmiru. W 1956 premier Indii Jawaharlala Nehru otwarcie zanegował sens przeprowadzania plebiscytu. Obustronne napięcie, z większym lub mniejszym natężeniem, utrzymywało się jeszcze przez całe dziesięciolecie. Obie strony lawirowały między USA i państwami zachodnimi a ZSRR, a w konflikt zaangażowały się również Chiny które zgłosiły swoje własne pretensje do Kaszmiru.

Druga wojna

Kiedy w 1965 roku Indie kolejny raz aresztowały szejka Abdullaha, przywódcę propakistańskiej muzułmańskiej społeczności kaszmirskiej, Pakistan postanowił uderzyć przy pomocy „ochotników” z północno-wschodniego Kaszmiru. Miejscowa ludność nie poparła jednak działań Islamabadu i Indie przeprowadziły kontratak. Zarówno USA jak i ZSRR odmówiły zaangażowania się w konflikt po żadnej ze stron. Wojna znów stała się stacjonarna i kolejny raz żadna ze stron nie osiągnęła zwycięstwa. Wobec tego już w tym samym roku 1965 wstrzymano ogień, a w 1966, przy mediacji radzieckiego premiera Aleksieja Kosygina, zawarto porozumienie w Taszkencie, zwane jako deklaracja Taszkiencka, w której obie strony wyrzekły się stosowania siły i zobowiązały do rozwijania dobrosąsiedzkich stosunków.

Powstanie Bangladeszu i trzecia wojna w Kaszmirze

Sytuacja w Kaszmirze uległa względnemu załagodzeniu, ale niedługo potem wybuchł kolejny konflikt indyjsko-pakistański, który tym razem skoncentrował się na terytorium tak zwanego Pakistanu Wschodniego (Bengalu Wschodniego), dzisiejszego Bangladeszu. W 1971 roku Bangladesz, czując się dyskryminowany i zapomniany przez Islamabad, ogłosił niepodległość. Armia pakistańska rozpoczęła pacyfikację swojej enklawy, której zdecydowanego poparcia udzieliły Indie. W grudniu 1971 napięcie dyplomatyczne zmieniło się w kolejną wojnę w Kaszmirze. Tym razem armia indyjska osiągnęła szybki sukces i narzuciła Pakistanowi warunki pokoju. Islamabad musiał przede wszystkim uznać niepodległość Bangladeszu, ale Indie doprowadziły również do przesunięcia linii demarkacyjnej. Nowy stan rzeczy został usankcjonowany przez porozumienie z Simli z 1972 roku.

Konflikt dziś

Mimo, że trzecia wojna zakończona porozumieniem z Simli była ostatnim konfliktem zbrojnym na taką skalę w tym regionie, to sytuacja pozostaje wciąż napięta. Co jakiś czas oba kraje ogłaszają mobilizację wojsk i koncentrują je w pobliżu granicy w Kaszmirze. Wojna nie wybucha, ponieważ kolejny konflikt pochłonąłby gigantyczne środki, a powodzenie nie jest pewne. Mimo to w okresie od 1972 roku kilka razy sytuacja stawała na ostrzu noża. W 1990 roku Indie musiały uporać się z powstaniem mudżahedinów, inspirowanym prawdopodobnie przez Islamabad. W 1996 roku Pakistan oskarżył Indie o atak raketowy na jedną z wiosek po zachodniej stronie Kaszmiru. W 1998 świat przeraził się, kiedy oficjalnie zostało potwierdzone, że oba kraje posiadają broń jądrową. W 2001 roku, dwa miesiące po zamachach na World Trade Center, islamscy terroryści zaatakowali Parlament w Delhi. Ostatnie wydarzenia w Bombaju, gdzie w listopadzie 2008 roku terroryści zabili ponad 100 osób, kolejny raz podgrzały temperaturę. New Delhi oskarżyło Islamabad, że nie robi nic, aby ująć inspiratorów tego ataku.

Problem Kaszmiru pozostaje więc nierozwiązany i stanowi zarzewie dalszych konfliktów. Są one tym bardziej niebezpieczne, z powodu faktu posiadania przez oba kraje broni jądrowej. Ponadto sytuacja w Kaszmirze w sposób bezpośredni przekłada się na powodzenia misji stabilizacyjnej na Bliskim Wschodzie – w Iraku i Afganistanie.

Kiedy tak jedziemy to co chwilę widzę orły. Najpierw mam wrażenie, że to jakieś zwidy. Niemożliwe, aby tych ptaków było tyle. Potrafią siedzieć na dachu po kilkanaście sztuk. Koło 8 rano dojeżdżamy wymęczeni do Śrinagaru. Japończyk znika w trzy sekundy. Nas z kolei łapie jakiś miejscowy, który proponuje nam swój tani hotel. Okazuje się on być marnym houseboatem, czyli łodzią na rzece. Na dodatek przy moście i ruchliwej drodze. Rezygnujemy, bo nie wygląda zachęcająco.

Łapiemy riksze i jedziemy do wybranego wcześniej Swiss Hotelu. Rikszarz wiezie nas wzdłuż bulwaru nadrzecznego. Tu wszędzie rozlewa się rzeka i kanały. Po kilku minutach docieramy do hoteliku. To najdroższe miejsce noclegowe jak do tej pory, ale ładnie w nim. Cały budynek w szwajcarskim stylu, położony pod zielonym wzgórzem. Tutaj też cała masa orłów. Krążą zresztą nad całym miastem. Muszą tu mieć bardzo dobre miejsce z pożywieniem, ale to chyba zasługa wody w kanałach. Jednak innych ptaków nie widać, tak orły zdominowały ten region.

O 9 zakwaterowani i umyeci postanawiamy iść spać, nie damy rady funkcjonować, po takiej nocy. Nastawiamy budzik na godzinę 12. Trzy godzinki snu powinny nam pomóc, a potem ruszymy zobaczyć miasto. Faktycznie po trzech godzinach czujemy się całkiem dobrze i szukamy miejsca, aby coś zjeść. Znajdujemy Lhasę, gdzie o godzinie 13 jemy... śniadanie. Po śniadaniu możemy już zabrać się za zwiedzanie. Z uliczki wychodzimy riposto na bulwar, przy którym cumują łódki. Łódki są tu setki. Klientów jak na lekarstwo. W Kanałach stoją wielkie łódzie-domy. W nich mieszkają ludzie, traktując je jako domy, albo są w nich porobione hotele. Te duże łódzie stoją jedna obok drugiej, tworząc charakterystyczny krajobraz Śrinagaru. Naganiacze zewsząd nas obskakują, aby zabrać nas na rejsik po kanałach. Najpierw się opieramy, ale kiedy cena staje się

przystępna, to przystajemy na godzinną wycieczkę. Nasz „gondolier” całkiem dobrze mówi po angielsku, więc opowiada nam o życiu ludzi na owych housboatach. W małych kanałach mieszkają lokalni „cyganie”. Co widać, bo otoczeniu domostw. Ciekawa sprawa, że cyganie mieszkają w podobnych warunkach na całym świecie. No i że nie przywiązują za bardzo wagi do porządku w otoczeniu.

Co chwilę widać sporo wodnego ptactwa. W tej gęstwinie krzaków, chyba się chronią przed latającymi dookoła orłami. Docieramy do wodnego marketu, gdzie w sklepikach można zakupić pamiątki. Nasz pan dowozi nas do jednego ze sklepików, gdzie kupujemy dwa szale, ale przy okazji oglądamy dywany. Niektóre są cudne w dotyku, ale za nieduży dywan trzeba zapłacić od 5 tysięcy dolarów. Po odwiedzinach sklepu, okazuje się, że pan od naszej łódki dostaje od sprzedawcy kasę, że nas przywiózł, a my coś kupiliśmy. Choć marni z nas klienci. Co tam dwa szale. Zapewne zachodni turyści kupują tu sporo, zwłaszcza te piękne, miękkie dywany. Jak stanęłam na takim dywanie boso, to dopiero cudne uczucie dla stóp. A wszystkie te dywany w pięknych kolorach są produkowane właśnie tutaj.

Nasz pan od łódki opowiada nam o tutejszej ziemi i zamrzniętym jeziorze Dal. Aż trudno mi uwierzyć, że to jezioro może zamrażać. Jezioro o powierzchni około 18 km². Jezioro znane jest głównie ze względu na około 500 wiktoriańskich łodzi mieszkalnych. Łodzie mieszkalne były budowane przez Brytyjczyków spędzających upalne lata w Kaszmirze.

Z godzinnej wycieczki robią się w sumie dwie. Mijamy miejscowych ludzi, którzy płyną łódkami niczym samochodami, są płynące warzywniaki. Dość pory ruch na tym wodnym terenie. Tuż przed końcem rejsiku spotykamy dziwne urządzenie, które podobne do barki płynie po wielkim jeziorze i kanałach i czyści wodę z glonów, wybierając owe rośliny.

Śrinagar leży w Dolinie Kaszmirskiej, na wysokości około 1700 m n.p.m i jest zamieszkiwany przez około 1,2 mln ludzi. Klimat miasta charakteryzują łagodne lata i zimne, śnieżne zimy. Łagodny, nieco przypominający europejski klimat decydował o popularności Śrinagaru wśród rządzących Indiami Brytyjczyków.

Historia Śrinagaru sięga III wieku p.n.e., kiedy Śrinagar należał do imperium Aśoki. Śrinagar przejściowo znajdował się pod kontrolą koczowników z Azji Środkowej (Heftalici), jednak do XIV wieku zachował hinduistyczny i buddyjski charakter. Dopiero w XV - XVI wieku większość ludności Kaszmiru i Śrinagaru zaczęła wyznawać islam. Na początku XIX wieku Śrinagar trafił pod panowanie Sikhów. W połowie XIX wieku zostali oni pokonani przez Brytyjczyków i wówczas zdecydowano, że Kaszmir nie zostanie wcielony formalnie do Indii, ale będzie odrębnym, formalnie niezależnym księstwem z hinduistycznymi władcami. Taki też był status Śrinagaru do końca rządów Brytyjczyków w Indiach.

Historia Śrinagaru po uzyskaniu przez Indie niepodległości jest nierozdzielnie związana z historią konfliktu indyjsko-pakistańskiego o Kaszmir. Uzyskanie przez Indie niepodległości w 1947 roku spowodowało narastanie konfliktów w Kaszmirze. W momencie wycofania się Brytyjczyków z Indii większość ludności Kaszmiru, w tym również Śrinagaru stanowili muzułmanie. Sprawę komplikował również status prawny Kaszmiru, który formalnie był niepodległym księstwem. W rezultacie decyzja o przynależności regionu, w tym również oczywiście Śrinagaru, do Indii bądź Pakistanu należała do maharadży Hari Singha. W momencie podjęcia działań zbrojnych przez Pakistańczyków Hari Singh zdecydował się wystąpić do Indii o interwencję zbrojną, a następnie wyraził zgodę na przyłączenie Kaszmiru do Indii. Stało się to bezpośrednią przyczyną wojny indyjsko-pakistańskiej w latach 1947-1948. Druga wojna indyjsko-pakistańska o Kaszmir miała miejsce w 1965 roku. Kaszmir był również obiektem interwencji chińskiej w 1962 roku.

Obecnie Śrinagar jest administrowany przez Indie. Nie oznacza to jednak, że Pakistan nie występuje z roszczeniami o miasto (i cały Kaszmir). Śrinagar jest obiektem częstych zamachów bombowych.

Potencjalnie przemysł turystyczny powinien stanowić jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki Śrinagaru. Miasto ma bowiem do zaoferowania wielkie atrakcje, w tym jezioro Dal z

łodziami mieszkalnymi. Śrinagar jest również punktem wyjścia do wypraw w Himalaje, w tym Doliny Kaszmirskiej. W Śrinagarze zaczyna się wiodąca wzdłuż Indusu droga do Leh.

Niestety, poważną przeszkodą dla rozwoju turystyki w Śrinagarze jest trwający konflikt i nieustające zagrożenie zamachami terrorystycznymi.

Jedną z atrakcji miasta jest rzekomy grób Jezusa Chrystusa. Zgodnie z wiarą islamskiej sekty ahmadytów nie zginął na krzyżu. Wyruszył jednak na wschód, by nauczać zaginione plemiona Izraela. Miejsce spoczynku jego szczątków jest właśnie w Śrinagarze.

Potem czas na spacer po mieście. Bierzymy riksę i jedziemy do tzw. starego miasta. A stare miasto w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Wszystko jest tu stare. Stare domki m niektóre ledwie się trzymają. Bazar w centrum niczym arabski suk. Mnóstwo mężczyzn z brodami i w sukmanach. Kobiety gdzieś zniknęły z ulic.

Idziemy zobaczyć pierwszy meczet Shah-e-Hamdan. Meczet wzniesiono pod koniec XIV wieku dla uczczenia wizyty ważnej postaci w historii islamu na terenie Kaszmiru. Był nią Mir Sayyid Ali Hamadani, znany też potocznie jako Szach Hamadan. Ten perski sufi, poeta i uczony odegrał istotną rolę w propagowaniu islamu w Dolinie Kaszmiru.

Na przestrzeni wieków meczet padł kilkakrotnie ofiarą pożarów. Obecna konstrukcja pochodzi z początków XVIII stulecia i wznosi się na 38 metrów.

Inny niż wszystkie do tej pory, które widzieliśmy. Jest cały drewniany i przepięknie zdobiony i malowany. W środku przez okna widać krużganki na piętrze. Ja mogę sobie tylko obejrzeć wewnątrz przez okno, nie mogę wejść. Natomiast Pawłowi pozwolono wejść na dwa kroki do sroka i porobić zdjęcia. Muzułmanie leniwie siedzą przy drzwiach meczetu. Paweł robi im zdjęcia i kończy się na sesji zdjęciowej, bo panom strasznie się to podoba. Dostajemy adres aby wysłać zdjęcia po powrocie. Po obejrzeniu meczetu idziemy uliczkami starego miasta. Tu panuje klimat jak z 19 wieku. Nawet autobusy to jakieś dziwne pojazdy. Krótkie busiki, ale wyglądają jakby miały z kilkadziesiąt lat. Paweł wypatruje sprzedawców baraniny, więc też robi im zdjęcia. Znowu dostajemy adres aby wysłać zrobione fotki. Jeden z nich mówi, żeby na kopercie napisał Indie, bo w chwili obecnej są częścią tego kraju, ale woleliby by osobnym państwem. Nie chcą być ani częścią Indii, ani Pakistanu.

Kiedy tak idziemy to w mieście wszędzie na skrzyżowaniach, czy przed budynkami publicznymi stoją uzbrojeni wojskowi. Pilnują, na wypadek zamachu? Od 5 lat to już niby spokojny region, ale jest blisko pakistańskiej granicy, więc różnie to może być. Na jednym z murów widzimy napis państwa islamskiego. Trochę tak dziwnie przebywać w tym miejscu.

Ze starego miasta małymi uliczkami idziemy do kolejnego meczetu Jama Masjid – Meczet Piątkowy. Ten z kolei jest już wielki, z ogromnym zielonym dziedzińcem powstał na początku XV wieku.

Chwila przerwy aby zjeść samosę i napić się lokalnego 7up o nazwie masala lemon soda. Ohydne. Więcej na pewno tego pić nie będę.

Nad miastem na wzgórzu góruje fort, ale nie da się go zobaczyć, bo zajmuje go tutejszy regiment wojska. Szkoda, bo wygląda to imponująco.

Wracamy na bulwar i idziemy wzdłuż brzegów kanału i jeziora, zaczepiani co chwilę przez naganiaczy. Ale za każdym razem musimy odpowiadać, że już pływaliśmy. Wracamy na godzinkę do hoteliku, a potem idziemy ponownie do restauracji Lhasa na późny obiad, a właściwie już kolację. Mamy szczęście bo został tylko jeden wolny stolik. Większość miejsc zajmują turyści z... Izraela. Zamawiamy zupę warzywną z mięsem i chowmaina. Bardzo smaczne dania.

Jutro lecimy do Amritsar w Pendżabie. Uff spać... łóżko strasznie twarde, albo mnie tak plecy i krzyż bolą po tej całonocnej przeprawie przez góry...

08.08.2015 (sobota)

Wstajemy o 8:30, nawet wypoczęci. Idziemy na śniadanie do Lhasy, bo nam tam wczoraj bardzo smakowało, ale niestety restauracja okazuje się być zamknięta na cztery spusty. Postanawiamy więc pójść najpierw i zamówić taksówkę i wrócić za pół godziny może otworzą. Ale niestety kiedy wracamy dalej zamknięta. Większość restauracji tutaj to „pure veg” czyli restauracje wegańskie więc nawet jajka nie ma. Wchodzimy do pierwszej restauracji z brzegu. No i zaczynają się schody. W owej restauracyjce nikogo nie ma. Patrzymy przez okno siedząc już przy stoliku, jak kelner leci z jajkami i chlebem tostowym ze sklepu. O nasze śniadanie będzie się robić. Nawet takich produktów nie mają na stanie. Czekamy i czekamy. No ileż można robić omlet. Jak już w końcu dostajemy omlet to jest z drobno pokrojonymi papryczkami chili, więc najpierw mozolnie je wyjmujemy. Zamiast herbaty dostajemy kawę. Masakra jakaś. Trzeba się stąd szybko ewakuować.

Wracamy do hotelu. Dopakowujemy nasze plecaki. O 11 przyjeżdża taksówka. Przedzieramy się przez Śrinagar, bo to bardzo rozległe miasto z 1,2 mln mieszkańców. Nie widać tego, bo tu wysokich budynków nie ma, więc miasto zajmuje bardzo dużą powierzchnię. Na lotnisko musimy jechać dużo wcześniej niż zwykle się jeździ przed odlotem. Dlaczego tak? Mają tu specyficzne środki ostrożności. Wszystkie kontrole trochę trwają, toteż trzeba wyjechać znacząco wcześniej. Pierwsza kontrola jest na 1 kilometr przed lotniskiem. Dojeżdża się do szlabanów, obok stoją opancerzone wozy. W wieżyczce takiego wozu siedzi uzbrojony żołnierz. Należy wysiąść z bagażami i przejść do pobliskiego budynku. Bagaże zostają prześwietlone, a my „obmacani” przez służby bezpieczeństwa. W tym czasie jest sprawdzony samochód. Po kontroli zabieramy bagaże, wsiadamy do taksówki i jedziemy na lotnisko. W miarę zbliżania się do lotniska, ilość wojska wzrasta. Przed wejściem do budynku lotniska, kolejne osoby wpuszczają do środka, tylko po sprawdzeniu czy ma się ważny bilet. Bez tego nie można wejść. Oddajemy bagaże na stanowisku odprawy. Ufff. Aparat prześwietlony zostaje dwa razy, bagaż podręczny też. Kolejne dwie kontrole „obmacane”. Mężczyźni za bramkami wykrywającymi metal, a kobiety dodatkowo za apawanami. Trudno by się tu było prześliznąć z jakimś niebezpiecznym przedmiotem. Chociaż, myślę, że łatwiej byłoby to zrobić kobiecie, bo są raczej kontrolowane dość oględnie.

Kiedy przechodzimy wszystkie te kontrole, muszę jeszcze wyjąć wszystko co mam w podręcznym plecaczku, załączyć sprzęt i dopiero wtedy dostaję pieczętkę na etykietce, że mój bagaż podręczny jest bezpieczny. Większość podręcznych bagaży miejscowych jest również nadawana jako bagaż. To też w celach bezpieczeństwa. Bagaż podręczny obcokrajowców jest traktowany bardziej ulgowo. Kiedy już to wszystko mamy załatwione, a trwało to naprawdę sporo czasu, to czeka nas jedyne w swoim rodzaju zadanie. Przez to jeszcze nigdy, nigdzie nie przechodziliśmy. Teraz czas na... INDETYFIKACJĘ bagażu. Idzie Paweł, bo nalepki z bagażu są przyklepione do jego paszportu. Nadane wcześniej bagaże leżą na płycie lotniska przy budynku i trzeba wskazać, który bagaż jest nasz. Pracownik lotniska stawia krzyżyk na nalepkach i na swojej liście. Teraz dopiero bagaż może zostać nadany do samolotu. Nawet na tym etapie jest jeszcze kontrola, aby czasem ktoś bombę nie podrzucił. Ja czekam na Pawła. Jakiś obcokrajowiec, dopytuje mnie o co chodzi z tą identyfikacją bagażu. Jest przerażony, bo okazuje się, że wszystkie bagaże jego rodzinnej grupy są doklejone do jego paszportu. Mówi, że bagażu mają tyle, że on sam chyba nie rozpozna wszystkiego.

Bagaże rozpoznane, jeszcze jedna kontrola paszportów i zostajemy wpuszczeni do naszego pomieszczenia, gdzie czekają podróżni głównie na nasz lot do Amritsar. W poczekalni zjadamy ciastko i burgera z warzywami, bo trochę głodni po tym śmiesznym śniadaniu jesteśmy. Coś większego zjemy dopiero w Amritsarze a to trochę jeszcze potrwa.

Nasz samolot ma być punktualnie, czekamy więc. Wojska na lotnisku wyposażonego w karabiny mnóstwo. Co chwila grupkami przechadzają się po lotnisku i przyglądają się ludziom. Nawet kiedy trwa boarding do samolotu to przy drzwiach prowadzących do rękawa stoi kilku wojskowych. Kiedy wchodzimy do rękawa i już jesteśmy przy wejściu do samolotu, to czeka nas niespodzianka. Czwarta kontrola!!! kolejka rozdziela się ponownie na damską i męską, bo kobiety muszą wejść za parawan i zostać ponownie obmacane przez kobietę - żołnierza. W życiu nie

spotkałam się z kontrolą przed drzwiami samolotu. Kto widział cztery kontrole bezpieczeństwa. No ale może to faktycznie zapobiega ewentualnym zamachom w tym regionie.

Wsiadamy do samolotu, aż cud że przedwczoraj udało nam się kupić tak tanie bilety na ten lot kupić, skoro samolot jest wypełniony praktycznie do ostatniego miejsca. Spotykamy też Francuzów, którym sami w Leh przedwczoraj poleciliśmy tę opcję. Opowiadają, że pojechali tym autobusem o 14 z Leh i dotarli do Śrinagaru w podobnym czasie co my. Jednak nasze dzielone taxi było mimo wszystko szybsze i i choć trudno w to uwierzyć po moim wcześniejszym opisie – jednak wygodniejsze niż ów autobus.

Lot do Amritsaru trwa tylko 45 minut. Świetnie, wracamy na trasę naszego wyjazdu. Chociaż fajnie byłoby kiedyś wróc do Kaszmiru, może jak już będzie zdecydowanie spokojniej, bo to na pierwszy rzut oka bardzo piękny region.

Samolot ląduje w Amritsarze przedzierając się przez grube chmury. Wsiadamy na płytę lotniska. Uff, ale gorąco i parno. I ta wilgotność... powietrze, aż białe i wisi nad całą okolicą. Wraz z Francuzami bierzemy wspólne taxi i jedziemy do centrum. Coraz większy rozgardiasz. Czyli witajcie tradycyjne Indie. Po cichym Ladakhu, ten huk pojazdów jest niczym oberwanie obuchem po głowie. Szukamy noclegu. Polecane z przewodnika okazują się być zdecydowanie droższe niż to jest napisane. Taksówka podwozi nas w pobliże słynnej Złotej Świątyni Sikhów. Tutaj poszukamy jakiegoś noclegu. Trafiamy do God Gift i tutaj zostajemy, choć musimy się chwilę targować o cenę noclegu.

Zaraz po zakwaterowaniu idziemy zobaczyć Złotą Świątynię. Po drodze znajdujemy miejsce, skąd jeżdżą zbiorcze taksówki do Attari na granice z Pakistanem. Jeden z kierowców daje nam namiar na siebie, abyśmy jutro tutaj przyszli i pojechali razem z nim. Fajnie.

Na uliczkach Amritsaru trwa prawdziwy sajgon, ruch we wszystkich kierunkach, a do tego jeszcze wszędzie piesi pielgrzymi, którzy ciągną do świątyni. Amritsar to magiczne miasto.

Amritsar (pendż. Sadzawka Nektaru Nieśmiertelności) - miasto w północno-zachodnich Indiach, w stanie Pendżab, w pobliżu granicy z Pakistanem. Około 1,1 mln mieszkańców. W mieście tym znajduje się najważniejszy obiekt kultu Sikhów - Złota Świątynia zwana Darbar Sahib (Dwór Pana) lub Harmandir (Świątynia Boża), w której przechowywany jest oryginał świętej księgi Sikhów.

Amritsar dla sikhów jest niczym Mekka dla muzułmanów czy Watykan dla katolików. Miasto zostało założone przez Rama Dasa - czwartego guru sikhów w 1577 r. i stało się głównym celem sikhijskich pielgrzymek. Jego syn i następca Ardżan wzniósł świątynię na wyspie pośrodku Ambit Sarovar - „jeziora boskiego nektaru” zwanego też Jeziolem Nieśmiertelności, a wewnątrz umieścił świętą księgę sikhów – Granth Sahib. Jest ona do dnia dzisiejszego odczytywana bez przerwy w dzień i w nocy przez zmieniających się co dwie godziny kapłanów.

W 1803 roku świątynia pokryta została cienką, połączoną blachą ofiarowaną w darze przez maharadżę Randzitha Singha. Z Harmandirem wiąże się jeden z najsmutniejszych epizodów historii Indii. Na początku lat 80. XX w. bardzo silne zaczęły być dążenia niepodległościowe przejawiane przez część separatystycznych sikhów. W 1983 roku obrali sobie oni Złotą Świątynię za swoją fortecę i szerzyli z niej terror wobec wszystkich swoich przeciwników. W przeciągu niespełna dwóch lat zginęło 410 osób i wiele zostało rannych. Na taki obrót spraw rząd Indiry Gandhi nie mógł pozostać obojętnym i w dniach 5-7 czerwca 1984 roku przeprowadzono szturm świątyni zwany Operacją Niebieskiej Gwiazdy. Społeczność sikhijaska uznała to za zhańbienie świątyni (mimo że wojsko miało zakaz strzelania w kierunku głównego sanktuarium) i w odwecie 31 października 1984 dwaj sikhijscy ochroniarze zastrzelili panią premier. Drugie pamiętne miejsce w Amritsarze to park Jallianwala Bagh, gdzie 13 kwietnia 1919 roku brytyjskie wojsko otworzyło ogień do nieuzbrojonych demonstrantów zabijając blisko 300 i raniąc 2700 osób. Wydarzenia te upamiętnia „Galeria Męczeństwa” oraz tablica pamiątkowa przy wejściu do parku.

Przed Złotą Świątynią ruch panuje niczym w ulu. Zostawiamy buty w specjalnych przechowalniach, a Paweł kupuje sobie chustkę na głowę. Ja mam swoją. Tutaj każdy musi wejść z

chustką na głowie. Ale najpierw trzeba przejść przez bramę pilnowaną przez strażników, którzy pilnują by każdy ową chustę na głowie miał oraz aby przeszedł przez basenik z wodą po kostki. Ma obmyć stopy. Ehhh tysiące ludzi włązi do tego brodzika. W najlepszym razie gwarantowana grzybica.

Wchodzimy do zabudowań świątyni. Brama wychodzi na plac z wielkim jeziorem tzw. „nektaru nieśmiertelności”, na środku którego znajduje się Złota Świątynia. Święte miejsce Sikhów.

Złota Świątynia (Harimandir Sahib) – główne miejsce kultu i sanktuarium (gurudwara) wyznawców sikhizmu w Indiach. Położona w Amritsarze (stan Pendżab). Zbudowana w latach 1589-1601 przez Guru Arjuna, który symbolicznie nakazał umieszczenie jej na niskim poziomie, tak, aby nawet najbardziej pokorni mogli schodzić do niej w dół. Posiada cztery wejścia po każdej ze stron, co ma być symbolem tego, iż jest otwarta dla ludzi ze wszystkich klas społecznych, bez względu na pochodzenie kastowe.

Świątynia była wielokrotnie (1757, 1761, 1762) niszczone przez afgańskich najeźdźców. Ostatecznie odbudowana w czasie panowania (1801-1839) maharadży Ranjit Singha, który użył do jej odtworzenia marmuru i miedzi oraz ozdobił złotem kopułę świątyni. Złota Świątynia to absolutna perełka architektury. Pierwotnie zbudowana w XVI wieku swój obecny kształt zawdzięcza Ranjitowi Singhowi, który podczas swego panowania w XIX wieku nie skąpił złota, aby świadczyła o potęgze jego państwa. Obecnie sikhowie rozsiani po całym świecie także nie skąpią na jej utrzymanie, co skutkuje tym, że wszystko błyszczy, lśni i ocieka złotem. Złota Świątynia mieści się na małej wysepce, pośrodku zbiornika - zwanego amrit-sar (Nektarowe jezioro), połączona jest z lądem za pomocą marmurowej grobli.

6 czerwca 1984 świątynia ucierpiała w wyniku walk armii indyjskiej z sikhijskimi ekstremistami, którzy użyli jej jako schronienia i swojej twierdzy.

Zawszad całe grupy Sikhów w turbanach na głowie ściągają do tego miejsca. Turbany Sikhów to rewia mody. Poczynając od kształtów, a kończąc na kolorach. W tych turbanach mają też kindzały.

Sikhizm to jeden z ciekawszych systemów wierzeń, który pełnymi garściami czerpie także z innych religii. Słowo sikh oznacza w hindi oraz w pendżabskim (główny język używany przez sikhów) ucznia. Sikhizm jest z reguły określany jako religia monoteistyczna. Kult zapoczątkowany został w XV stuleciu przez guru Nanaka. Cześć oddawana jest łącznie 11 guru- ostatnim z nich jest święta księga Guru Granth Sahib.

Do podstawowych zasad, tzw. 5xK zalicza się:

1. Kesh: zakaz strzyżenia włosów oraz brody,
2. Kangha: specjalny drewniany grzebień, przydatny w utrzymaniu czystości włosów,
3. Kara: metalowa bransoletka noszona na nadgarstku - ma przypominać, że wszystko co czynią wyznawcy powinno być zgodne z naukami guru,
4. Kachera: rodzaj bawełnianych spodni, które mają na celu uzmysławiać potrzebę nieustannej obrony wiary,
5. Kirpan: najczęściej drewniany, lub symboliczny miecz noszony u pasa - podobnie jak Kachera ma wojskowe konotacje i symbolizuje gotowość do walki o religię.

Przyglądając się zwyczajom sikhów oraz architekturze, jasnym staje się fakt, że sikhizm jest mieszanką islamu i hinduizmu, z pewnymi wpływami chrześcijaństwa. Co ciekawe sami sikhowie nie przywiązują do tego wagi - twierdzą, że bóg jest jeden, a to jak go nazywamy nie gra roli.

Do najważniejszych zwyczajów pochodzących z islamu należy:

- a) posiadanie Świętej Księgi, której oddaje się cześć,
- b) padanie na twarz jako forma modlitwy,
- c) zakrywanie głowy przy wejściu na teren świątyni (większość Sikhów zakrywa ją przez cały czas- mężczyźni w formie turbanów, kobiety chust),
- d) wygląd wnętrza Złotej Świątyni- pokryta jest ona arabeskami.

Z chrześcijaństwa pochodzi m.in. chrzest - praktykowany przez członków wspólnoty deklarujących

chęć ścisłego przestrzegania zasad wiary.

Z hinduizmu pochodzą zaś m.in.:

- a) obyczaj prasadu, czyli spożywania ofiary na cześć bogów,
- b) wiara w boskość świętej księgi Guru Granth Sahib (która dosłownie „mieszka” w swoim pałacu,
- c) obecność rytualnych sadzawek w pobliżu gurudwar, które są używane do rytualnych obmyć.

Sikhowie uznają się za członków „rodziny hinduizmu” jako że wszyscy guru sikhizmu byli hinduistami. Ponadto sikhowie powinni być wegetarianami, coraz mniej z nich przestrzega jednak tego zalecenia.

Sikhowie zawsze o coś walczyli. Począwszy od 1799 roku walczyli o utrzymanie swego państwa, później po utracie niepodległości na rzecz Brytyjczyków w 1849 nieustannie walczyli zaś o utrzymanie tożsamości, którą to walkę kontynuują po dziś dzień.

W 1947 roku podczas podziału brytyjskiego radżu pomiędzy Indie i Pakistan to właśnie Pendżab stał się areną krwawych walk, gdyż został podzielony pomiędzy dwa państwa. Większość Sikhów mieszkała po pakistańskiej stronie- szybko jednak powrócili do Indii, czego efektem jest fakt, iż obecnie lwią część sikhów mieszka w Indiach.

Później sikhowie walczyli o swój odrębny stan, co doprowadziło w 1966 roku do wyodrębnienia hindujęzycznej Harijany z Pendżabu, w którym sikhowie stanowią obecnie 60% większość.

Lata 80. były niezwykle trudnym czasem dla wszystkich wyznawców tej religii. Ekstremiści pod wodzą J.S. Bhindrawale zażądali wtedy utworzenia Khalistanu państwa Sikhów. Skończyło się na oblężeniu Złotej Świątyni, w której schronili się rebelianci przez wojska indyjskie. Profanacja miejsca kultu poskutkowała wzburzeniem społeczności i zabójstwem Indiry Gandhi przez jej sikhijskich ochroniarzy. Wywołało to z kolei pogromy sikhów - w samym Delhi zginęło ich wtedy co najmniej kilkanaście tysięcy.

Dzisiaj wyznawcy świętej księgi walczą zaś o powodzenie w stopniowo liberalizującej się gospodarce indyjskiej i trzeba przyznać, że idzie im znakomicie. Pendżab to spichlerz Indii, a sikhijskie turbany są nieodłącznym obrazem, jaki możemy zobaczyć na ekranach telewizorów gdy mówi się w Indiach o gospodarce.

Obchodzimy dookoła całe jezioro. Mężczyźni kąpią się w wyznaczonych strefach. Nie Sikh nie może zanurzyć nawet stopy w wodzie. Tego pilnują strażnicy ubrani w żółte stroje i niebieskie turbany. Co chwilę kogoś gonia, kto za bardzo zbliża się do świętej wody. W rogach placu znajdują się miejsca gdzie pielgrzymi mogą napić się wody z metalowych naczyń. Ustawiamy się w mega kolejce, aby wejść do środka Złotej Świątyni. Do tej świątyni prowadzi most, który szczerlnie wypełniają setki pielgrzymów. W kolejce czekamy około 45 minut. W środku ma się kilkanaście sekund na przejście pomieszczenia ze świętą księgą Sikhów. W pomieszczeniu tym jakiś ważny Sikh siedzi i wachluje ową księgę. Dookoła kamery, które nadają transmisję do telewizji. Obok siedzi na dywanach „zespół”, który gra i recytuje śpiewne modlitwy. To również słychać na całym świątynnym placu. Nie można się ani na chwilę zatrzymać, bo od razu specjalne osoby pokazują ci że masz się przemieszczać, bo przecież za tobą cała masa innych pielgrzymów. W mniejszych pomieszczeniach siedzą inni Sikhowie i czytają księgi. Pielgrzymi składają pokłony na progach wejściowych do ważniejszych pomieszczeń. Chwilę sobie tu siedzimy, w tej całkiem innej i magicznej atmosferze. Niesamowite, że w dobie globalizacji i tego małego świata, są jeszcze takie miejsca oderwane od rzeczywistości.

Po wyjściu ze świątyni i przejściu ponownym owego mostu okazuje się, że Sikhowie mają coś w rodzaju „komunii” zresztą nawet tak głoszą napisy. Przy wyjściu stoją osoby, które wydają łyżkę jakiejś ciapki, którą Sikhowie z nabożeństwem niosą w złożonych dłoniach. Trochę to przypomina rozdziobany budyń.

Robi się coraz z ciemniej więc wszystko dookoła rozjarza się lampkami. Mam wrażenie, że pielgrzymów jest coraz więcej i dają nadciągają czterema bramami do wnętrza tego kompleksu. W pewnej chwili wszyscy co siedzieli dookoła jeziora wstają i się modlą. Jakiś guru przemawia do

mikrofony.. nic nie rozumiem, bo to po pendżabsku. To nawet inny alfabet jest i literki też nie przypominają hindi, są nawet bardziej kanciaste.

Przed świątynią ruch na ulicach niezmierny. Drogą ciągną dalej całe rzesze pielgrzymów, tak, że lokalne riksze, samochody, skutery mają problem aby przejechać drogą, którą zajmują piesi. Sklepiki z dewocjonaliami i pamiątkami pracują pełną parą. Jadłodajnie również. Chwila spaceru tak nas męczy, bo głośno, bo spaliny, bo tłoczno, a tu jeszcze trzeba uważać, co nas mija, jak przejść przez ulicę, bo przecież każdy prze do przodu jak mu się podoba.

Okolo 21 nad świątynią rozbłyskują fajerwerki, podobno jakiś ważny Sikh ma dzisiaj urodziny. Na placu przed bramą prowadzącą do kompleksu całe rzesze ludzi koczują na ziemi. Pielgrzymki bez noclegu?

Idziemy jeszcze na lody i przed 22:00 wracamy do hotelu. Jutro rano też planujemy pójść do świątyni, a potem ruszymy na granicę z Pakistanem.

Pierwszy dzień w parnym klimacie po 3 tygodniach w górach, a my bardzo dobrze się czujemy. Nasze ubrania wprawdzie mokre od potu, ale całe popołudnie ostro maszerowaliśmy, a nie ciągnęliśmy nogi za nogą. Zobaczmy jak będzie jutro, bo przed nami cały dzień zwiedzania.

09.08.2015 (niedziela)

Pobudka o 8:30. jak ja nie znoszę pokoi bez okien. Nie wiadomo czy to dzień czy to noc. Przez co wstaje się bardzo kiepsko. W końcu się udało zwlec z łóżka, więc wychodzimy i szukamy miejsca na śniadanie. Wegetariański bar kanapkowy jeszcze nieczynny. Mamy przyjść za kwadrans. Postanawiamy się więc pokreślić po okolicy. Do świątyni ciągną już setki pielgrzymów. Szeroki tłum ludzi na drodze pomiędzy którym lawirują riksze rowerowe, motoriksze oraz pojedyncze samochody. Kolorowy tłum sunie do świątyni. Czekamy dalej na śniadanie, ale idzie coś powoli w restauracji z porannym rozruchem. Zatrzymujemy się przy ulicy i robimy zdjęcia temu sunącemu tłumowi. Potem zaglądamy do pobliskiego miejsca Jallianwala Bagh upamiętniającego masakrę z 1919 roku.

13 kwietnia 1919r. miała miejsce masakra setek niewinnych pielgrzymów. Żołnierze brytyjscy i wspierający ich Ghurkowie pod dowództwem brytyjskiego generała Reginalda Dyer'a zabili przynajmniej 379 nieuzbrojonych demonstrantów i przypadkowych przechodniów w parku miejskim Jallianwala Bagh. Odbывała się tam pokojowa manifestacja przeciwko przymusowemu wcielaniu indyjskich mężczyzn i chłopców do armii oraz wysokim podatkom, w której w większości brali udział Indyjcy nacjonaliści. Kilka dni wcześniej w mieście miały miejsce podobne protesty. Brytyjczycy zareagowali nakładając na miasto prawa wojenne i przekazując całkowitą kontrolę nad miastem generałowi Dyer'owi, który zakazał wszelakich spotkań i zgromadzeń.

Feralnego 13 kwietnia dziesiątki tysięcy ludzi przybyło do Amritsar z okolicznych wiosek aby wziąć udział w tradycyjnym święcie połączonym z dniem targowym. Większość z nich nie wiedziała nic o zakazie Dyer'a. Tłumy zebrały się w Jallianwala Bagh szukając spoczynku i cienia. W tym samym czasie rozpoczęła się tam demonstracja. W odpowiedzi Dyer wysłał wojsko i rozkazał otoczyć park. Na jego komendę żołnierze bez żadnego ostrzeżenia otworzyli ogień zabijając setki i raniąc tysiące.

Dyer podczas późniejszego śledztwa zeznał, że zarządził atak przekonany o jego "moralnym efekcie" na ludzi zamieszkujących ten region Indii. Z jego zeznań wiadomo również, że polecił swoim ludziom strzelać tak długo, dopóki nie zabraknie im amunicji. Generał został później usunięty ze swojego stanowiska przez władze brytyjskie ale ten krok był mocno spóźniony. Masakra wzmogła nastroje nacjonalistyczne w całych Indiach i miała ogromny wpływ na postawę późniejszego lidera ruchu oporu - Mahatmę Gandhiego. Podczas I Wojny Światowej Gandhi popierał Brytyjczyków licząc na uzyskanie przez Indie częściowej autonomii ale po tragedii w Amritsar przekonał się, że tylko całkowita niepodległość Indii może zapobiec takim zdarzeniom w przyszłości. Gandhi rozpoczął w kilka lat później swoją kampanię obywatelskiego

nieposłuszeństwa, dzięki której Indie stały się w 1947 w pełni suwerennym państwem.

Kiedy przechodzimy wąskim przejściem między budynkami, okazuje się za nim być spory park. Kto by przypuszczał, że przy tak ruchliwej ulicy znajduje się w kwartale budynków taki park. Znajduje się tutaj symboliczny monument z palącym się ogniem i kilkoma historycznymi wystawami. Jest też ściana, w której znajdują się dziury po kulach.

Wracamy do baru kanapkowego. Wszystko już gotowe i zaczęli sprzedawać jemy warzywne kanapki, bo oczywiście w Amritsarze w okolicach świątyni mięsa się nigdzie nie kupi.

Po śniadaniu wraz z kolorowym tłumem pielgrzymów ruszamy do Złotej Świątyni. Znowu obowiązkowo zostawiamy buty w przechowalni, zakładamy chustki na głowę, myjemy stopy w baseniku (jak tysiące innych osób... Ehhh grzybica...) i już ponownie jesteśmy przy jeziorze nieśmiertelności. Mimo że to przedpołudniowe godziny, to i tak są tutaj tysiące ludzi. Mam wrażenie, że jest och więcej niż wczoraj. Wokół zbiornika dużo kąpiących się mężczyzn – Sikhów oczywiście. Kobiety mają wyznaczone dwa małe budynki, w których za zasłoną mogą dokonać obmycia w świętym jeziorze Sikhów.

Dzisiaj postanawiamy odwiedzić Guru ka Langar, czyli jadłodajnię dla pielgrzymów, która przylega w budynkach obok świątyni. I to jest prawdziwy szok. Codziennie wydawanych est tu nawet 80 tysięcy posiłków. Gotują je wolontariusze. Każdy może zostać wolontariuszem, przygotowywać posiłki, albo w „myjni” myć naczynia. Akurat trafiamy do owej myjni na samym początku i powala nas huk. Ten huk to łomot metalowych naczyń, który przyprawić może o głuchotę. Na owym zmywaku praca wre. Przez pomieszczenie przebiegają wielkie „rynny”, wzdłuż, których stoją ciasno pomywacze. Na akord myją owe naczynia. W pierwszej rynnie znajdują się naczynia najbardziej brudne, a woda jest z dużą ilością piany. Kolejne rynny są coraz mniej spienione, aż do ostatniej rynny, gdzie już trafiają do opłukania czyste naczynia. Pomiedzy rynnami ludzie przerzucają naczynia. Są do tego osobni pomagacze. Wszędzie woda chlapie, każdy się spieszy. Naczynia umyte trafiają setkami do wielkich wózków, które jadą do wejścia budynku. Tutaj stoją ludzie, którzy po kolei dają pielgrzymom, talerz, miseczkę i łyżkę. Trzeba szybko to łapać, bo rozdający robią to również na akord. My też z trudem łapiemy swój zestaw i z tłumem udajemy się w kolejce do drzwi budynku. Po drodze mijamy kilku mężczyzn którzy siekają całe masy imbiru. Ruch pielgrzymów sterowany jest przez porządkowych. Znajdują bramki ze sznurka i do sal są wpuszczani partiami. My też czekamy przed jednym z takich sznurków. W pewnym momencie sznurek zostaje zwolniony i tłum w tempie ekspresowym wchodzi do sali wieloma drzwiami i siada na dywanikach rzędami. My też. Trzeba talerz położyć na ziemi, aby roznosiciele jedzenia mogli łatwo zapełnić talerze. Trochę dziwnie to wygląda, bo mają wiadra i chochle. Jakoś dziwnie mi się to kojarzy. Chlast i mam z takiego wiadra dal, czyli soczewicę, kolejny chlast i dostaję zieloną papkę, jeszcze jeden chlast chochlą i mam ryż. Z kosza dostaję ciapati czyli chlebki. Ciekawe czy się nie pochoruję. Goście biegają z wielkimi czajnikami i rozlewają wodę do misek (matko święta pic tego nie będę... bo dość mam problemów z żołądkiem). Rozlewacze wody mają też sprytnie urządzenia – beczka, na dole kranik i kierownica jak u roweru z czymś niczym hamulec ręczny. Gdy naciskają to coś, to woda leje się z kranikiem. Wystarczy że takie ustrojstwo podjedzie do miseczki i już mamy wodę. Podjeżdża do kolejnej miseczki i znowu jest pełna. Po 10 minutach podłoga w sali wygląda jak pobojowisko. Mnie niewygodnie siedzieć na kolanach w kucki więc też przyczyniam się do tego bajzlu. Patrzą na pielgrzymów jedzą jakby się paliło. Kto zje może liczyć na dokładkę. Zresztą roznosiciele w kółko biegają i dodają ludziom jedzenia. Sala dość szybko się opróżnia. Jak oni mogą tak szybko jeść??? Ja jestem jeszcze w trakcie jedzenia, kiedy do sali wchodzi sprzątacze. Polewają podłogę wodą i wielkimi ściągaczami usuwają bród. Szybko, szybko, bo już za drzwiami kłębi się kolejny tłum chcący zjeść darmowe jedzenie. Kończymy jeść i wychodzimy, a tam za drzwiami kolejni wolontariusze, którzy odpowiadają za przejmowanie łyżeczek, inna talerzy i misek. Talerze odbiera łańcuch ludzi, którzy z rąk do rąk podają brudne naczynia na koniec kolejki, gdzie kolejne osoby opłukują talerze z resztek, aby mogły trafić na wielki zmywak. Ale to co dzieje się w miejscu czyszczenia z większych resztek to jest jakiś sajgon.

Obywają naczynia znowu na akord i to w takim tempie, że zamiast podać kolejnym osobom do rąk, to rzucają talerzami (dobrze, że są metalowe). Ludzie są cali brudni od tego jedzenia, a talerze bardzo często spadają na ziemię, bo nikt ich nie zdążył złapać. Latające talerze... taki widok tam można zobaczyć. Ludzie je zbierają, aby w koszach wynieść je do sali zmywaka, gdzie w „rynnach” zostają umyte na błysk.

Po takich doświadczeniach chcemy zobaczyć jak wygląda kuchnia, gdzie to wszystko powstaje. Kuchnia to wiele sal, o bardzo prostym wyglądzie. Ściany są mniej lub bardziej otynkowane, na podłodze beton, budynek w ogóle wygląda tak jakby był w stanie surowym. W pierwszej sali ludzie siedzą na podłodze i wałkami wałkują ciasto na ciapati,. Obok na wielkich blachach pieką się ciapati. Starsi i młodszy wykonują czynności wspólnie. Spotykam nawet 4-latkę, który siedzi w wałkiem i dzielnie rozwałkowane ciasto na okrągłe ciapati. Kobiety i mężczyźni razem tutaj pracują jako wolontariusze. W kolejnej sali znajduje się dziesiątki butli gazowych. Jeszcze dalej w wielkich kadziach gotuje się ryż i porcje dalu. W kilku garach o średnicy 1 metra waży się indyjski czaj, czyli herbata z mlekiem i przyprawami. Kucharze dwoją się i troją. Co chwilę wynoszone są kolejne porcje ugotowanego jedzenia. Wszystko w ilościach mega hurtowych. W sumie ciekawe kto to wszystko sponsoruje. Niby można zostawić datek, ale czy to wystarczy aby codziennie było 80 tysięcy posiłków??? Co by nie mówić miejsce jest jedyne w swoim rodzaju i aby poczuć klimat tego miejsca, to trzeba tu się znaleźć. Mogłabym tu jeszcze zostać, bo naprawdę mi się tu podoba.

Czas jednak wracać do świątyni. Obchodzimy święte jezioro dookoła. Oczywiście ważne jest aby to zrobić zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Potem na chwilę wracamy do hoteliku, aby ochłoniąć. Jest tak gorąco i parno, że wszystkie ubranie jakie mam na sobie są mokre. Po drodze kupuję pendzabskie butki ala alladynki. Przydadzą się na jakieś fajne wydarzenia w szkole, albo bale przebierańców. Ale fajnie posiedzieć w klimatyzowanym pokoju. Aklimatyzacja w górach spowodowała, że mamy niezłą wydolność. Mimo, że gorąco i parno, to nie przeszkadza nam to w chodzeniu.

Po 15 wychodzimy na pobliski postój zbiorowych taksówek. Zostajemy zapakowani do taxi-jeepa z 6 Hindusami i parą Włochów. Jedziemy do Attari na granice z Pakistanem. Po drodze na prośbę Hindusów zaglądamy do hinduistycznej świątyni Lal Devi, czyli czerwonej bogini.

Koło 16:30 docieramy do Attari, na przejście z Pakistanem. Przejście to nazywa się Attari-Wagah i jest jednym z najbardziej osobliwych miejsc. 30 km od Amritsar położone jest Attari-przygraniczne miasteczko, o którym mało który turysta by słyszał gdyby nie spektakl towarzyszący zamknięciu granicy na noc, który z trybun oglądają tysiące. Ja już nie mogę doczekać się owego spektaklu zamykania granicy indyjsko-pakistańskiej. Kierowca umawia się z nami, gdzie będzie czekał na nas koło 19:30. Mamy zapamiętać to miejsce, bo tu coraz więcej samochodów. Teraz musimy iść dalej pieszo około 1 kilometra. Znaki wskazują granicę. Spieszę się, bo jesteśmy dość późno i boję się, że nie będziemy mieć dobrych miejsc na zobaczenie całego spektaklu. Wszędzie stoi wojsko, a tłum ludzi chcących zobaczyć zamknięcie granicy ciągnie się w nieskończoność. Od razu dopadają mnie młode osoby, które za pieniądze malują indyjskie flagi, ale fajnie, może się przydadzą. Malują mi dwie flagi na twarzy. No to teraz mogę ruszać na granicę. Już na samym początku pierwsza kontrola i „macanko”. Po raz kolejny przekonuję się, że kobiety sprawdzane są bardziej an słowo honoru, więc gdyby coś się tu miało wydarzyć, to bombę wniosłaby szybciej kobieta niż mężczyzna. My jako zagraniczni turyści możemy minąć kolejki w których muszą grzecznie stać Hindusi. Możemy dojść osobnym pasem do kolejnego check pointa. Tu kolejne sprawdzenie czy czegoś nie wnosimy. Już widać obie bramy graniczne. W bramie prowadzącej do Indii podobizna Gandhiego, a na wieżyczkach żołnierze z karabinami wycelowanymi w Pakistan. Po stronie Pakistańskiej podobnie. W bramie podobizna jakiegoś znanego bohatera Pakistanu i żołnierze z karabinami celujący w stronę indyjską. Idziemy do trybun specjalnym korytarzem, gdzie na końcu stoją wojskowi ze swoimi fantastycznymi czapkami z wachlarzami. Groźnie wyglądający żołnierz steruje ruchem przybywających i wskazuje gdzie mają siadać. Jest strefa VIP przy bramie,

ale aby tam być trzeba mieć specjalne przepustki. Obok niej znajduje się strefa dla zagranicznych turystów, a dalej dla Hindusów. Fajnie, mamy całkiem dobry sektor. Żołnierz co chwilę używa gwizdka aby ludzie siadali tam gdzie on każe. Sektor mi się podoba, ale miejsce nie bardzo. Nie widzę stąd dobrze granicznych wrót. Jakoś lepiej byłoby jakbym siedziała na dole. Tylko jak tu przechytrzyć wąsatego żołnierza, aby mnie nie odesłał na wolne miejsca u góry. Zaczynam więc powoli schodek po schodku przemieszczając się na dół. Paweł za mną. Co jakiś czas uśmiecham się do groźnego pana, a on jakoś mnie nie odsyła do góry. Innych owszem, a ja jestem coraz bliżej schodka na samym dole. Może to moje namalowane flagi nastrajają go do mnie pozytywnie? W końcu osiągam cel. Jesteśmy na najniższym stopniu zaraz przy drodze. Na trybunach tysiące ludzi. Tłum szaleje. Trybuny po stronie indyjskiej są zdecydowanie większe i jeszcze są w trakcie rozbudowy. Dla części osób miejsca nie starcza i zostają za trybunami i ceremonie zamknięcia muszą oglądać na telebimie.

Zadowolona siedzą sobie pół metra od krawężnika. Teraz mogę już czekać na ceremonie zamknięcia. Robię sobie zdjęcia z groźnym wąsatym żołnierzem. Ale fajne zdjęcie mam! Strona pakistańska na razie jest głośniejsza niż indyjska. Pakistańczycy wyposażeni w swoje zielono-białe flagi raz po raz wznoszą okrzyki.

Powoli coś zaczyna się dziać. Słychać indyjskie pieśni patriotyczne wychwalające potęgę Indii. Fajnie coś umieć w hindi! Później z głośników wydobywają się znane z bollywoodzkich produkcji dźwięki, m.in. Jai Ho. Z widowni wybiegają młode dziewczyny i turystki - zaczynają spontanicznie tańczyć do tych bollywoodzkich hitów. No i tyle byłoby misternego planu żołnierzy w upychaniu ludzi na trybunach. Grupki indyjskich dziewcząt przebiegają wte i wewte dumnie trzepocząc trzymanymi wysoko indyjskimi flagami. Pojawia się również ktoś kogo można by nazwać wodzirejem. Zaczyna się właściwe show. Wodzirej skanduje różne hasła, aby tłum Hindusów przekrzyczał stronę pakistańską. Zresztą po stronie pakistańskiej podobna osoba zagrzewa Pakistańczyków do okrzyków. Robi się niesamowity zgiełk. Każda ze stron chce być lepsza, ale ostatecznie indyjska strona przeważa liczebnie.

Właściwe show rozpoczyna się chwilę po godzinie 18:00. Wojskowi pokazują nam, że możemy usiąść na samym krawężniku. Bosko! Przed nami ustawia się kilku wojskowych w brązowych mundurach z czerwonymi pióropuszcami doczepionymi do czapek. Na podwyższeniu na perkusji gra kobieta – żołnierz. Tłum dziko wrzeszczy „Hindustan”. Strona pakistańska próbuje przekrzyzczeć. Rzuca mi się w oczy, że po stronie pakistańskiej są prawie sami mężczyźni, a niewielka grupka kobiet siedzi w osobnym sektorze. Z głośników płynie informacja o dziejach rozdziału Pakistanu i Indii. W 1947 w wyniku podziału Indii Brytyjskich powstały dwa niepodległe kraje: Pakistan – zamieszkały w większości przez muzułmanów i Indie – zamieszkałe w większości przez hinduistów. Następstwem podziału dawnego wicekrólestwa brytyjskiego był eksodus ok. 10 milionów muzułmanów wędrujących na północ do nowo powstałego państwa pakistańskiego a hindusów na południe w kierunku Indii. Ocenia się, że w trakcie tej wymiany ludności w wyniku starć i zamieszek między muzułmanami a sikhami i Hindusami zginęło nawet do 1 mln ludzi.

Czas zacząć to na co najbardziej czekam – osobliwe maszerowanie żołnierzy. Najpierw przez drogę do bramy maszerują dwie kobiety – żołnierki. Krok marszowy jest tu niesamowity. Machają nogami pod same czoło. Krok jest szybki, czasem jakieś śmieszne podbiegi. Wchodzi dowódca, straszy człowieka. Próbuje wymachiwać nogami pod czoło, ale mu nie wychodzi, za to wygląda bardzo komicznie. Potem następuje cała seria przemarszów z machaniem nogami, zarówno po jednej jak i po drugiej stronie. Żołnierze obu krajów docierają pod zamkniętą bramę między krajami. W końcu zostaje otwarta i można zobaczyć czarne stroje pakistańskiego wojska. Obie strony teraz machają przy bramie nogami i rękoma, pokazując sobie zaciśnięte pięści, stroszą się niczym koguty gotowe do walki. Tłum skanduje. Z hukiem zamykają obie bramy. Znowu zaczynają się przemarsze. Jeden wojskowy stojący naprzeciwko mnie tak szarżuje na mnie, że mam wrażenie, iż mnie zaraz strati. Zachowuję zimną krew i mam najlepszy fragment filmu tego dnia.

Żołnierz wręcz macha nogami nade mną. Tłum znowu szaleje, bo ponownie brama zostaje otwarta. A właściwie dwie bramy indyjska i pakistańska. Znowu wojskowi docierają pod bramę i wykonują taniec koguta. Czas ściągnąć flagi z masztów. Rzucają do siebie linkami i na krzyż ściągają je z masztów. Porządkowi na tę chwilę nakazują wszystkim ludziom wstać. Flagi ściągnięte, a następnie z honorami zostają wyniesione poza obręb widowiska. Po chwili obie bramy się, zatrząskują. Koniec. Tłum zaczyna wybywać z trybun. Wszystko jest niczym po wielkim koncercie. Tłum ludzi zmierzający do zbiorowych taksówek jest niczym rzeka. Cała ekipa naszej taksówki dość szybko się odnajduje i możemy wracać do Amritasu. Do centrum docieramy o 20:30

Na chwilę zaglądamy jeszcze do Złotej Świątyni. Dzisiaj nie jest oświetlona lampkami jak na Boże Narodzenie. Nie chce nam się oddawać butów, więc najpierw idę ja, a potem się zamieniamy. Zostaję przed bramę do świątyni i czekam z butami. W tym czasie hindusi robią sobie ze mną masę zdjęć. Podchodzą do mnie i nie pytają czy mogą zrobić foto tylko „snapa”. Normalnie czas mi szybko ulatuje, zanim wraca Paweł, bo sesja foto trwa w najlepsze. Już nawet nie siadam, bo co chwilę ktoś nowy podchodzi. Nie wiem po co im te zdjęcia. Ale zabawa przednia.

Potem idziemy do lokalnej knajpki na thali, czyli talerz z kilkoma małymi potrawami koniec okazuje się, że pomylili się w rachunku 2 herbaty po 30 rupii to według nich 160 rupii. Ciekawe czy często tak się mylą, bo turysta nie sprawdzi rachunku.

Dobijamy się lodami w McDonalddie. Tak grubej warstwy czekolady na lodach to nie widziałam. Najedzona jestem po przysłowiową kokardkę.

Do hotelu wracamy zmęczeni. Pakujemy się, bo jutro pobudka o 4 rano. Jutro czeka nas Chandigarh i dojazd o Delhi. Jeszcze tylko suszymy ubrania które się przepociły, bo już ich prac nie będziemy do powrotu do Polski, więc mam nadzieję, że mi nie skisną w worku u nie pomrzemy od smrodu...

Dzisiejszy dzień to tyle wrażeń, że nie mogę zasnąć...

10.08.2015 (poniedziałek)

Brrr budzik dzwoni o 4 rano, ale koszmar. Rikszy, którą wczoraj miał nam załatwić gość w recepcji hoteliku nie ma. Gdzieś dzwoni. Teraz okazuje się, że chce za tę usługę 300 rupii. Chyba oszalał. Wychodzimy na ulicę licząc, że mimo tak wczesnej pory coś złapiemy. Dwie ulice dalej siedzi sobie riksarz i za połowę ceny jedziemy na dworzec kolejowy. O tej porze Amritsar jeszcze śpi. Pojedyncze riksze i ludzie snują się ulicami, ale za parę godzin ponownie miasto żyje, pielgrzymkowy tłum ruszy do świątyni. Na dworzec docieramy szybko, bo nie ma ruchu na ulicach. Pociąg wtacza się na peron 15 minut później. Not o pojedziemy o czasie. Zajmujemy miejsca. Przed nami 4 godziny jazdy do Chandigarh.

Większość drogi przesypiamy. Pociąg dociera punktualnie, ale Chandigarh wita nas ulewą. Nasze bagaże zostawiamy w przechowalni na dworcu. Teraz mamy prawie cały dzień aby zobaczyć miasto. Kiedy wychodzimy z dworca przestaje padać. Rzucają się na nas rikszarze, którzy za 70 rupii chcą nas zawieźć do centrum, ale jeden Hindus mówi, że kawałek dalej są miejskie autobusy. Omijamy więc rikszarzy i za całe 10 rupii jedziemy miejskim autobusem do centrum.

Chandigarh to duże miasto, podzielone na ponumerowane sektory. Chandigarh nazywane jest też Pięknym Miastem. zamieszkuje je prawie milion mieszkańców. Nazwa miasta pochodzi od imienia bogini Chandi, której świątynia, Chandi Mandir, znajduje się w pobliskiej Panchkuli. Dosłownie "Chandigarh" znaczy "fort Chandi". Miasto zostało zaprojektowane przez architekta Le Corbusiera w latach 50. XX wieku.

Najprawdopodobniej to właśnie przez dzisiejszy stan Pendżab, do Indii maszerowała armia macedońskiego wodza Aleksandra Wielkiego, jednak nieprzyjemne warunki klimatyczne (deszcze, wysoka temperatura i wilgotność) oraz ciągle nękania Aleksandra i jego wojska przez Indów

sprawiła, że Macedończyk zawrócił do Babilonii, jednak po drodze musiał zmierzyć się z potężną hinduską armią króla Porusa nad rzeką Hydaspes. Bitwę wygrał, ale duże straty, złe warunki klimatyczne i bunty żołnierzy macedońskich pragnących wrócić do domu sprawiły, że Aleksander nie planował dalszej inwazji na Indie i zawrócił do Babilonu.

Po podziale Indii Brytyjskich na dwa państwa: Indie i Pakistan w 1947 roku, ziemie należące do Pendżabu znalazły się na terytoriach obu tych państw. Część stanu należąca do Indii wymagała ustanowienia nowej stolicy w miejsce Lahaur, które po podziale znalazło się po stronie Pakistanu. Po tym jak z różnych powodów uznano za niewykonalne plany rozbudowy miast już istniejących, podjęto decyzję o budowie nowego miasta, zaplanowanego od podstaw.

Spośród wszystkich tego rodzaju projektów w niepodległych Indiach Czandigarh szybko stał się najważniejszym, zarówno z powodu swego strategicznego znaczenia, jak i osobistego zaangażowania weń Jawaharlala Nehru, ówczesnego premiera. Czandigarh miał odzwierciedlać nowoczesne i postępowe nastawienie nowego narodu, wedle słynnych słów Nehru to miasto było w zamierzeniu "nieskrępowanym przez minione tradycje, symbolem wiary narodu w przyszłość". Plan wraz z częścią zabudowy został zaprojektowany przez architekta, Le Corbusiera, w latach pięćdziesiątych. Był on drugim z kolei projektantem miasta – pierwotny plan został przygotowany przez amerykańskiego architekta i urbanistę, Alberta Meyera, który współpracował z urodzonym na Syberii polskim architektem, Maciejem Nowickim. Dopiero po śmierci tego ostatniego w roku 1950 Le Corbusier został zaangażowany do projektu.

1 listopada 1966 we wschodniej części Pendżabu utworzony został nowy stan Haryana, który miał skupiać większość posługującą się językiem hindi, podczas gdy w części zachodniej, nadal zwanej Pendżabem, większość mieszkańców posługuje się językiem pendżabskim. W ten sposób miasto Czandigarh, leżące na granicy obu stanów, stało się ich wspólną stolicą, posiadającą jednak prawa niezależnego terytorium związkowego. Czandigarh miał zostać przyłączony do Pendżabu w 1987 roku, na podstawie porozumienia podpisanego w sierpniu 1985 przez Rajiva Gandhi, ówczesnego premiera Indii, oraz partię Sikhów Akali Dal. W związku z tym miała również powstać nowa stolica stanu Haryana. Plan jednak nie został zrealizowany, wskutek przeciągających się negocjacji odnośnie terenów, które w ramach rekompensaty miałyby zostać przyłączone do Haryany.

W centrum chwilę zajmuje nam odnalezienie się i trafienie do informacji turystycznej, które odsyła nas do biura turystycznego pod tutejszym sądem. Na głównym placu jest kino, a na wielkim plakacie reklama filmu bollywoodzkiego, który za kilka dni jest wyświetlany również w krakowskim kinie. Właśnie wszedł do kin w Indiach.

Dzieło Le Corbusiera. Przejmując projekt po Macieju Nowickim, Le Corbusier zdecydował się na plan miasta zgodny z modernistycznymi wytycznymi w zakresie podziału urbanistycznych funkcji, antropomorficznej formy planu oraz hierarchii dróg w systemie komunikacyjnym.

Wizja miasta, formułowana na niezliczonych mapach i szkicach na desce kreślarskiej, łącznie z towarzyszącymi notatkami i komentarzami, musiała zostać wcielona w życie za pomocą cegły i zaprawy murarskiej. Corbusier zachował wiele z kluczowych pomysłów Meyera i Nowickiego, przede wszystkim ogólne ramy projektu i jego podstawowe składniki, jak kompleks Kapitolu, uniwersytet, wyznaczone centrum miasta oraz tereny przemysłowe. Najpoważniejsza zmiana to szachownicowy układ prostokątnych sektorów, który zastąpił planowany przez Meyera i Nowickiego układ przypominający żyłkowanie liścia, gdzie ulice przebiegały po łuku. Innowacją Corbusiera było również położenie nacisku na prostotę materiału i jemu właściwy charakter. Wyeksponowana została surowa cegła i robota kamieniarska, nieopracowane powierzchnie betonu tworzą geometryczne struktury bliskie abstrakcji. Otoczone przez zieleń i starannie zaprojektowane ogrody, owe architektoniczne formy stały się znakiem rozpoznawczym Czandigarhu.

Wyjściowo plan był podzielony na dwa etapy: pierwszy przewidywał budowę miasta dla 150 000, drugi – dla 500 000 mieszkańców. Układ ulic jest kratownicowy. Corbusier podzielił miasto na tak zwane sektory, o wymiarach 800 na 1200 m (wyjątek stanowią nieco mniejsze

reprezentacyjne sektory 1 do 6). Każdy z nich funkcjonuje jako teoretycznie niezależna jednostka, z wyznaczoną przestrzenią na mieszkania, pracę i odpoczynek. Stąd każdy z nich posiada własny rynek, park, świątynie i szkoły – wszystko to w odległości około 10 minut pieszo z jakiegokolwiek punktu wewnątrz sektora. Pierwotne dwa etapy projektu przewidywały budowę sektorów od 1 do 47, z pominięciem 13.

Miasto miało zostać otoczone przez szeroki na 16 km pas zieleni, który nie dopuszczałby żadnej rozbudowy w bezpośredniej bliskości miasta, eliminując problem przedmieść i niekontrolowanego rozrostu miasta.

Pozostawiając ciężar projektowania zabudowy architektonicznej innym członkom swojego zespołu, Le Corbusier skoncentrował się na rozwiązaniach dotyczących się ogólnego planu miasta oraz kilku najważniejszych budynkach, jak siedziba Sądu Najwyższego i Zgromadzenia, Sekretariat, Muzeum i Galeria Sztuki, Szkoła Sztuk Pięknych oraz Lake Club. Najbardziej znaczącym dziełem Corbusiera jest budynek Sądu, na który składa się Sąd Najwyższy, faktycznie dominujący nad niższymi zabudowaniami ośmiu sądów niższych.

Idziemy pod sąd, bo wydaje się, że to dość blisko, ale po 20 minutach dreptania mamy dość. Dajemy za wygraną i bierzemy riksę. Wysadza nas w okolicy sądu, ale tutaj kręcimy się w kółko, bo nie możemy znaleźć owego biura. W końcu po wielu próbach i pytaniu ludzie okazuje się, że musimy cofnąć się do skrzyżowania. Kurczę, obok tego budynku jechaliśmy wcześniej riksą. Spieszmy się bo wkrótce ma być wejście na teren budynków Le Corbusiera: sądu, parlamentu i sekretariatu. Ale w końcu zdążamy. Wchodzimy do budynku turystycznego, gdzie nasze paszporty zostają skserowane. Wszyscy turyści otrzymują pozwolenie i lokalnego przewodnika. Takie wycieczki po budynkach Le Corbusiera są tu organizowane dopiero od kwietnia tego roku. Wyruszamy na wycieczkę w grupie kilkunastu turystów.

Najpierw idziemy pod sąd. Niestety do środka nie da się wejść. Wszystko w betonie. Obok stoik pomnik dłoni. Jeszcze dalej tak zbudowany budynek, że nigdy nie ma w nim słońca i zachowuje naturalny chłód. Potem czas na kolejny budynek rządowy z betonu, w którym mieszczą się dwa parlamenty stanu Pendżab i Harijana. Wchodzimy do kopuły parlamentu pendżabskiego. Opozycyjne partie siadają naprzeciwko siebie i podobno bardzo się kłócą. W środku też wszystko w surowym betonie. Ściany owej sali są wytłumione, tak aby na zewnątrz nic nie było słychać. Za to w środku akustyka jest fantastyczna. Szkoda tylko, że nie można robić zdjęć. W pewnej chwili do sali obrad wchodzi wycieczka innego stanowego parlamentu. Podobno lubią do siebie jeździć, aby podpatrywać jak inni rządzą i uczyć się nowych rzeczy.

Ostatni budynek Le Corbusiera to tzw. Sekretariat, z którego roztacza się niesamowity widok na zielony Chandigarh.

Na wycieczce znajduje się rodzinka Sikhów, która na stałe mieszka w Kanadzie. Sikh jest nauczycielem fizyki i historii. Opowiada nam o sikhijskim turbanie, nożu jako symbolach związanych z religią. Ma długą brodę, bo skoro Bóg daje jej możliwość rośnięcia to znaczy, że ma rosnąć, nie ma potrzeby aby ją przycinać. Skoro rośnie to am być sługa. Nie ścina jej się, bo najlepszy wzór człowieka daje właśnie Bóg. Po co to zmieniać. Niektórzy ścinają, ale tak nie powinno być. Opowiada, że w Kanadzie do szkoły przychodzi w turbanie i na dodatek z sikhijским kindziałem. I nie jest to absolutnie problemem.

Kończymy wycieczkę i jeszcze idziemy z Pawłem do pobliskiego Rock Garden. Ogród Skalny, zajmujący ponad 1.6 ha powierzchni indyjskiego miasta Chandigarh, jest prawdopodobnie największym na świecie dowodem na to, że można odnaleźć piękno w czymś przypadkowym i niespodziewanym. Znajdujące się tam unikalne dzieła sztuki, zostały wykonane niemal w całości ze zużytych materiałów, resztek i odpadów. Na chwilę przed naszym wyjazdem do Indii artysta, który go tworzył zmarł. Dziwne miejsce, bo wszystko jest tu wykonane z resztek potłuczonych naczyń, połamanych indyjskich bransoletek, a nawet poniszczonych gniazdek elektrycznych. Z nich są zrobione zwierzęta, ludzie, całe ozdobne ściany. Natomiast cały skalny park to labirynt małych ścieżek. Nie da się skrócić drogi. Trzeba przejść całość, aby wyjść drugimi drzwiami. Kiedy tak

zwiedzamy to miejsce powoli zaczyna padać, więc na chwile siadamy w małym barze aby zjeść lokalne ciastko. Potem wracamy riksza do centrum, a tam cała masa wody. No tak skoro beton, to woda nie ma jak spływać. W sklepie kupujemy sporą ilość herbaty, co ma nam zapewnić zapas indyjskiej herbaty na dłuższy czas w domu. Wsiadamy w miejski autobus i wracamy na dworzec kolejowy. Z przechowalni bagaży odbieramy swoje plecaki. No i czekamy na pociąg.

Do zwykłych pociągów ludzie wskakują jeszcze zanim pociąg się zatrzyma na peronie, aby zdobyć miejsca. Masakra jakaś z tym forsowaniem wejść, ale tłum szybko znika w wagonie. Na peronie kupuję sobie indyjskie czasopismo w hindi o wdzięcznej nazwie „Saheli” czyli przyjaciółka.

Nasz pociąg odjeżdża do Delhi o 18:25. Świetnie. To super szybki pociąg, więc jest i jedzenie. Za dużo. Najpierw butelka wody, potem chipsy, ciasteczko, kanapka, herbata, potem jeszcze zupa pomidorowa z paluszkami, aż w końcu ciepły posiłek dał, ser w sosie pomidorowym, ryż i ciapati. Nie da się tego zjeść. Jakby było tego mało na koniec niosą lody. Nasze PKP ze swoją herbatką czy kawą w cenie biletu może się schować. Super szybki pociąg, którym jedziemy ma siedzenia, a nie łóżka, jest zdecydowanie droższy od zwykłych pociągów. Widać, że nie każdego na ten pociąg stać. Tu nie ma biednych Hindusów podróżujących z kartonami, workami i Bój jeden wie czym jeszcze. Tutaj każdy ma telefon, niektórzy pracują na laptopach. Trochę zimno bo klimatyzacja działa pełną parą.

Hindus który koło nas siedzi dopytuje Pawła co takiego pokazuję na opakowaniu paluszków do zupy. Paweł tłumaczy mu, że trochę znam hindi. Gość się ucieszył i pyta Pawła czy on też. Ale Paweł mówi, że nie ma takiej potrzeby bo większość rzeczy i tak jest napisane po angielsku, a wiele angielskich słów jest również zamienionych na indyjskie literki. A ja właśnie powiedziałam, że na opakowaniu po angielsku jest napisane „bread stick” czyli paluszki, a obok w hindi „brejd stik” czyli to samo. Hindus popatrzył na oba napisy i roześmiał się, że faktycznie mamy rację... Zresztą przez cały nasz pobyt w Indiach wszędzie wiele rzeczy napisane jest w alfabecie indyjskim czyli dewanagari, ale jak się to przeczyta to okazuje się, że są to słowa angielskie, czasem trochę śmiesznie brzmiące.

Pociąg właśnie jedzie przedmieściami Delhi. Widać, że jest po deszczu. Przy torach ponownie pojawia się biedota mieszkająca w namiotach. Chociaż bardzo często mieszkają też na dworcach kolejowych, bezpośrednio na peronach. Wracamy niestety do brudu i rozgardiaszu indyjskiego. W sumie Delhi to okropne miasto. Brudne, z całą masą slamsów, z biedakami którzy swoje potrzeby fizjologiczne załatwiają przy torach. Tam to dopiero musi być siedlisko szczurów.

10 minut po 22 docieramy na główny dworzec Delhi, W sumie dzisiaj dzień zgodnie z planem, mimo dwóch pociągów. Po pięćdziesięciu odpowiedziach, że nie chcemy żadnej rikszy i 10 minutach spaceru wracamy po 4 tygodniach do hostelu Zostel.

Kolejne minuty upływają na makabrycznie długim wpisie naszych danych do książki meldunkowej i w końcu możemy iść do pokoju. Wrrrr znowu BEZ OKIEN...

O 23 jesteśmy umyć i padamy do spania niczym kawki. Jutrzejszy dzień to ostatni w Indiach. Jeszcze trochę zwiedzania i ostatnie zakupy...

11.08.2015 (wtorek)

Wstajemy po 8 rano. Przepakowujemy dokumentnie nasze plecaki już na drogę powrotną do domu. Paweł dzwoni do gościa, bo dostał namiar na płytę z tybetańskimi mantrami. Ma się potem odezwać jak ją nam jeszcze dzisiaj dostarczy. Koło 10 oddajemy klucze do pokoju, a bagaże zostawiamy w pomieszczeniu przy kuchni. W owej bagażowni już kilkanaście plecaków stoi. Postanawiamy zjeść śniadanie w naszym hostelu, bo to całkiem fajnie wyglądający bufet ze sporym wyborem: ser żółty, jajka na twardo, jakieś tutejsze wędliny itp. Wprawdzie kosztuje to 150 rupii (8zł od osoby) ale to i tak nasz ostatni dzień w Indiach. To dalej tanio, ale normalnie za tyle

zjedlibyśmy obiad.

Po śniadaniu idziemy do metra. Oczywiście jak zwykle schowane tak, że szkoda gadać. Trzeba zostać detektywem, aby znaleźć wejście. W każdym zakątku świata metro jest widoczne z kilometra, ale nie w Delhi. Idziemy przez dworzec kolejowy, bo okazuje się, że za nim znajduje się stacja metra. Przechodzimy wiaduktem nad 16 peronami delijskiego dworca. Przy wejściu znowu na nas ktoś krzyczy, nie chce nas puścić, ale omijamy go sprawnie, mimo że coś tam dalej krzyczy. Wszędzie w Indiach spotykamy toalety dla mężczyzn. Zazwyczaj są to metalowe przepierzenia (nie budynki) za którymi znikają mężczyźni. To trochę przypomina parawany, ale metalowe. Smród dookoła straszny. Nie wiem dlaczego mogą tam załatwiać swoje potrzeby. Kobiety takich wstrętnych wychodków nie mają. Nie ważne czy to górski Ladakh, czy centrum Delhi „sikalnie” muszą być. Zresztą na wielu murach jest napisane, że zakazuje się sikać w ich pobliżu. Jakiś okropny to zwyczaj.

Po paru minutach docieramy do metra. Najpierw obowiązkowe prześwietlanie plecaczków i „macanko”. Potem trzeba dostać się do pociągu metra, co jest sztuką bo Hindusi pchają się niemiłosiernie. Aby wsiąść trzeba sprawnie się wepchnąć. Możemy jechać na Dilli Haat. Miejsce – bazar, gdzie mieszczą się stoiska z pamiątkami z całych Indii. Robimy ostatnie zakupy szali, obrazków, torebek, poszewek na poduszki, spodni i sama już nie wiem czego tam jeszcze. W trakcie naszych zakupów zaskakuje nas ulewa, którą przeczekujemy w lokalnej restauracji pijąc sok z ananasa.

Po zakupach wracamy metrem na stację Sekretariat. Gdy wychodzimy z metra jesteśmy na Radż Path – czyli Drodze Królewskiej, która łączy indyjski parlament z Bramą Indii. Odległość jak tak duża, że bierzemy riksę, aby podjechać pod bramę. Wzdłuż Radż Path, po obu jej stronach znajduje się zielony par, gdzie ludzie siedzą sobie na trawie.

Jedziemy chyba po linii prostej ze dwa kilometry. Docieramy pod Bramę Indii. Pierwotnie była to brama wzniesiona ku czci wszystkich Hindusów poległych na wojnach. Zbudowanym przez Edwin Lutyensa ku chwale indyjskich żołnierzy, którzy zginęli w I wojnie światowej i na wojnach z Afganistanem. Budowę ufundował 10 lutego 1921 roku książę Wielkiej Brytanii. Nazwiska poległych żołnierzy zostały wyryte na ścianach Bramy. Budowę ukończono w roku 1931. W 1971 utworzono grób nieznanego żołnierza.

Na górze napisano wielkimi literami: Zmarłym z indyjskich armii, którzy polegli z honorem we Francji i Flandrii, Mezopotamii i Persji, Afryce Wschodniej, półwyspie Gallipoli i wszędzie na Bliskim i Dalekim Wschodzie oraz w uświęconej pamięci także tym, których imiona zostały zapamiętane, a którzy polegli w Indiach lub na granicy północno-zachodniej podczas trzeciej wojny afgańskiej.

Mierząca 42 m Brama jest położona w bardzo ważnym punkcie miasta, w którym zbiega się wiele ulic. Ruch odbywa się w pobliżu tego zabytku zawsze, chyba, że zakażą tego władze - z różnych przyczyn (np. ataku terrorystów). Trawniki wokół bramy zawsze przyciągają wielu ludzi na odpoczynek, szczególnie nocą, kiedy Brama Indii jest oświetlona.

Chyba trzeba się spieszyć, bo zbierają się coraz czarniejsze chmury, to nie wróży nic dobrego. Co chwile ktoś nam chce wcisnąć jakieś chińskie badziewie do kupienia. Zaczyna kropić wielkimi kroplami. Czas szybko wsiadać do kolejnej rikszy, aby pomknąć do Jantar Mantar. Jadąc riksą leje jak z cebra, błyska się, wali grzmotami. Nie wiem jak siedzieć w tej rikszy bo deszcz zacina tak, że po paru chwilach jestem mokra. Ulice w parę minut zamieniają się w potoki rzeczne. Kiedy docieramy po Jantar Mantar nie da się wsiąść tak leje. Siedzimy więc z riksaszerm i czekamy, aż przestanie lać. Przyglądam się ludziom wciśniętym niczym sardynki pod wiatą przystanku autobusowego.

W końcu przestaje mocno lać, możemy wsiąść, ale okazuje się, że nie da się wejść do Jantar Mantar, bo oddziela nas od wejścia woda po kostki. Trzeba poczekać aż to spłynie.

Woda opada, kupujemy bilety i wchodzimy. Całkiem fajne miejsce ten Jantar Mantar. Miejsce to jest wielkim starodawnym obserwatorium astronomicznym. Robi wrażenie, ale

zwiedzamy je pod parasolką, bo cały czas mniej lub bardziej kropi. Obserwatorium astronomiczne wybudowane w 1724 roku w Delhi w Indiach przez maharadżę Sawai Jai Singha II.

W obserwatorium mieszczą się cztery kamienne instrumenty pomiarowe wykonane z czerwonego piaskowca: Samarat jantra, Ram jantra, Dżajaprakasza jantra i Miśra jantra. Wszystkie przyrządy, oprócz Miśra jantra, zostały zaprojektowane przez Jai Singha. W obserwatorium nie umieszczono żadnego instrumentu optycznego, choć w Europie znany był już teleskop. Jantar Mantar w Delhi jest uważane za najstarsze obserwatorium astronomiczne tego typu na świecie.

Maharadża Sawai Jai Singh II zbudował jeszcze cztery inne obserwatoria astronomiczne. Pozostałe znajdowały się w miastach: Mathura, Jaipur, Benares i Ujjain.

Stąd udajemy się na Connegout Place, czyli wielkie rondo z kwartałami, w których znajdują się nowoczesne sklepy. Szukamy jakiegoś sklepu muzycznego, aby kupić trochę płyt. W końcu zostajemy skierowani w odpowiednie miejsce, gdzie wybór jest spory. Zarówno ja i Paweł znajdujemy coś dla siebie. Paweł Preema Joshuę grającego na sitarze, a ja kilka płyt z ostatnich bollywoodzkich hitów filmowych.

Zamiast na obiad iść do restauracji, trafiamy do KFC, gdzie zjadamy po dwa hamburgery. Potem u gazeciarza kupuję dwie codzienne gazety w sumie za 8 rupii, czyli obie za 40 groszy (!!!) Czas wsiąść do rikszy i wrócić do hotelu bo już jest późne popołudnie. Jednak naszemu riksarzowi (tzw. otowali) nie chce się jechać pod sam hotel i wysadza nas przy bazarowej uliczce Pajar Ganj. I to jest błąd. Idziemy tam, a tam okazuje się, że można znaleźć wdzianka i spodnie indyjskie za 100 – 200 rupii. Szkoda, że nie wlaźłam do tej uliczki miesiąc temu, to bym nie kupowała ubrań w Ladakhu, bo tutaj są za grosze. Jeszcze trafiamy na jakieś lokalne wydarzenie. Hindus niczym bóg Siwa jedzie na prawdziwym byku. Mnóstwo fajerwerków przy okazji idzie w niebo i bardzo głośna muzyka. Nie wiem co to za wydarzenie niestety, ale spory tłum ludzi idzie w pochodzie. Znowu zaczyna padać. Trzeba wracać do hotelu. Nie mamy już pokoju, ale można siedzieć w hotelowym holu, co jak widać robimy nie tylko my. Przed 18 przychodzi gość z płytą dla Pawła. No to się udało, a tyle było z tym zachodu. Co to w ogóle za płyta? Wszystko zaczęło się w momencie naszego powrotu z wizyty Dalajlamy. Wtedy złapaliśmy stopa, a w samochodzie grała właśnie tybetańska mantra. Pawłowi tak się spodobała, że wziął namiary na płytę, ale okazało się, że jest wydawana przez agencję promującą tybetański buddyzm i niestety nie da jej się kupić w sklepach. Paweł szukał kontaktu drogą mailową i okazało się, że da się ją zdobyć w Delhi. Przyniósł nam ją pewien posłaniec. Normalnie rewelacja.

Postanawiam wrócić na bazar i wydać ostatnie 500 rupii, czyli jakieś 28zł. Nie ma to jak użyć hindi i targować się o różne rzeczy, dokładając że to już ostatnie godziny w Indiach. Za tę niewielką sumę kupuję kilka bransoletek, maseczkę do twarzy, paczkę herbaty, spodnie i spódnicę. Najlepsze, że spódnicę kupowałam jako ostatnią. Cena wyjściowa była 350 rupii, a ja miałam tylko 120 rupii. Chwila targowania i za 120 rupii dostaję moją spódnicę. Mogę wracać do hotelu, bo Paweł chyba już się denerwuje, że mnie długo nie ma.

W hostelu jest ogólnie dostępna łazienka, więc mimo, że nie mamy pokoju możemy wziąć w niej prysznic. Myjemy się suszymy, przebieramy i o 21 mamy taksówkę na lotnisko. Jadąc na lotnisko mijamy kilak sztafet i otwarte ciężarówki przerobione na muzyczne hipodromy. Te sztafety są ciekawe. Biegacze biegną boso, a za nimi jedzie motor z kolejnym biegaczem. I się co jakiś czas wymieniają. Nie wiem co to za impreza, ale biegną bardzo ruchliwą ulicą.

Docieramy na lotnisko. Znowu te męczące check pointy i obmacywanie, czy czasem nie mamy niebezpiecznych przedmiotów. Kiedy chcemy nadać bagaże okazuje się, że... Paweł widzi jakiegoś robala w swoim plecaku. Mówi, że to chyba karaluch. O ludu, spełnia się w końcu moja największa obawa, że nadejdzie taki dzień iż w plecaku przywieziemy do domu pasażera na gapę, właśnie w postaci karalucha. Każę wywalać wszystko z plecaka, aby się go pozbyć. Misternie spakowany plecak Pawła zostaje wybebeszony, ale karaluch zlokalizowany i zatłuczony. Ufff.... Chyba dostał się tam w czasie pobytu naszych plecaków w podziemnej bagażowni hostelowej.

Czas szybko leci na lotnisku, bo na skutek wielu kontroli i długich kolejek nagle okazuje się,

że do wylotu nie zostaje dużo czasu, mimo że samolot spóźnia się 20 minut. Wylatujemy po 1 w nocy.

W samolocie zjadamy jeszcze późną kolację (?) i zapadamy w czterogodzinny sen. Budzę się na śniadanie, po którym jeszcze udaje mi się zasnąć i obudzić tuż przed lądowaniem w Zurichu. Po wylądowaniu musimy przemieścić się z jednego końca lotniska na drugie, co jest trochę stresujące, bo zabiera sporo czasu, a mieliśmy na przesiadkę 55 minut, która i tak już się skróciła, bo wylecieliśmy z 20 minutowym opóźnieniem. Pędzimy więc. Przy gate'cie do Warszawy czekamy tylko 10 minut i już nas pakują do samolotu, po czym 1,5 godziny później jesteśmy w Warszawie. Jeszcze nigdy tak szybko nie zeszła mi droga z Azji do Polski.

Teraz jeszcze tylko przejazd na dworzec Warszawa zachodnia skąd niedługo mamy pociąg do Krakowa. W domu jesteśmy późnym popołudniem. I tak oto kończy się nasza kolejna podróż do Azji....

Zakończenie

Jak to zawsze bywa, każda podróż dobiega końca. Jaka była? Fantastyczna. Delhi mimo że przytłaczające i nachalne, to kiedy człowiek jest na to przygotowany jakoś lepiej znosi. Osobiście w końcu mogłam czytać w hindi i stwierdzić, że jednak coś w tym języku rozumiem. Czytanie napisów i rozumienie to naprawdę niezła frajda.

A co z Amritsarem i Attari? Jedno i drugie spełniło moje oczekiwania z nawiązką. Złota Świątynia to miejsce, gdzie czas zatrzymał się kilka wieków temu. Panuje tu mistyczna atmosfera. A Guru ka Langar, czyli wielka jadłodajnia na długo zapadnie mi w pamięci. Z kolei granica indyjsko-pakistańska na przekór konfliktowi między oboma państwami w sumie daje pokaz wspólnoty, mimo licznych animozji i pokazu swojej siły.

Ladakh to faktycznie niesamowita kraina. W sumie to nie są Indie, to równie dobrze mógłby być inny kraj – inne warunki przyrodnicze, kultura, religia, ludzie, język. Tu wszystko jest inne. Ale najlepiej tu przyjechać zobaczyć i zapamiętać. Nie chciałabym mieszkać w tak surowym miejscu na stałe, gdzie sezon trwa około 3 miesiące, a potem idzie zima i większość wiosek jest odcięta od świata. Jednak ludzie i tybetański buddyzm nadają temu regionowi magii, a górskie krajobrazy czynią, że każdy podróżny czuje się tu jak w cudownym miejscu. Choć przecież nie jest łatwo, na dodatek gnębić nas może choroba wysokogórska, czy problemy żołądkowe, albo przez zmianę pogody mogą zejść osuwiska i koniec z możliwości przemieszczania się. Jednak mimo wszystko jest to miejsce warte zobaczenia. Surowy klimat uczynił z tutejszych ludzi silnych i gotowych przetrwać każde warunki, więc i my niektóre niedogodności powinniśmy być w stanie przezwyciężyć, aby zobaczyć ten piękny kraj wysokich przełęczy, uśmiechniętych ludzi, których wieku za bardzo nie da się określić przez ogorzałe twarze, miejsc magicznych w postaci klasztorów, gdzie mnisi jak przed wiekami recytują mantry mieszkając w spartańskich warunkach. To tutaj można spotkać Dalajlamę, duchowego przywódcę buddystów i zobaczyć jakim poważaniem cieszy się wśród ludności.

I na koniec tej całej opowieści nie pozostaje mi nic innego jak napisać:

Juley Ladakh!